

**Blandine Le Callet**

**Ballada LiLi K**

*Z języka francuskiego przełożyła Bożena Sęk*

*WYDAWNICTWO SONIA DRAGA*

*Jak zawsze  
dla Pierrea-Andre*

## *Prolog*

Wżyciu zawsze jest jakieś „przedtem”, jakieś „potem”, zauważyłeś? I między jednym a drugim istnieje wyraźne, równe pęknięcie pomyślności albo niepomyślności - to kwestia szczęścia. Bo ono nie może się oczywiście uśmiechać do wszystkich. Jestem natomiast pewna, że nikt przed nim nie umyka.

Dla mnie pęknięcie dokonało się w dniu, kiedy ubrani na czarno mężczyźni w hełmach wyważyli drzwi i wtargnęli do pokoju. Wywlekli z łóżka moją matkę, która szamotała się, wrzeszcząc. Ciągle mam przed oczami jej rozchylony szlafrok i białe piersi pocięte czerwonymi pręgami. Ludzie w czerni śmiali się. Straszne były te śmiechy, które dochodziły zza osłon hełmów nie pozwalających dostrzec twarzy.

Matka ciągle krzyczała, więc jeden z nich warknął „Zamknij się!” i pałką założył jej chwyt na szyi. Zaczęła się dusić. Myślałam, że ją zabiją.

Rozciągnęli ją na ziemi, nałożyli jej kaftan bezpieczeństwa. Potem zakneblowali usta. Widziałam wszystko, jej łzy, oszalałe oczy, sińce na twarzy. Przestała się opierać. Wpatrzyła się we mnie. Zrozumiałam, co chciała mi powiedzieć. „Do zobaczenia, żabciu”. Zmrużyła oczy kilka razy. Każde mrugnięcie powieką było jak pocałunek. „Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię”. I uśmiechnęła się do mnie z kneblem w ustach.

Pragnęłam krzyknąć, dać wyraz swojemu strachowi, lecz byłam za słaba, niezdolna powiedzieć słowo, a tym bardziej się ruszyć. Dlatego tylko jęczałam, drapiąc pościel, kiedy ją zabierali. I znalazłam się naraz w jakimś dziwnym świecie podporządkowanym niewzruszonym zasadom.

## *Centrum*

Kiedy trafiłam do Centrum, nie byłam ani duża, ani gruba, ani w zbyt dobrym stanie. Zaraz zaczęli wmuszać we mnie jedzenie. Próbowali karmić, taką mieli obsesję, ale to było za duże paskudztwo. Za każdym razem odwracałam głowę, zaciskając zęby. Jeśli mimo wszystko udało im się wepchnąć mi do ust łyżeczkę czegoś, zaraz wszystko wypluwałam. Parę razy wymiotowałam żółcią i krwią. Zapisano to w raporcie.

W końcu przywiązali mnie do łóżka, potem wsunęli mi sondę do nosa i przez nią byłam karmiona. Nie mogę powiedzieć, że było to miłe, wołałam jednak sondę niż jedzenie tego ich obrzydlistwa.

Nie znosiłam najlżejszego nawet dotyku. To jest napisane na stronie trzynastej: „Krzyczy, ledwie ją dotknąć”. I zaraz potem: „Sedacja”. Sedacja oznaczała zastrzyk z anksjolityku, zapięte pasy i spokojną muzykę dla dodania całości ludzkiego charakteru.

W ten sposób udało im się mnie uspokoić i wozić od gabinetu do gabinetu na te wszystkie badania: byłam macana, osłuchiwana, mierzona, na wszystkie strony wyginana. Wbijali mi igły w ciało, podłączali do mnie jakieś maszyny. I jeszcze mnie fotografowali. Płakałam, kiedy błyskał flesz. W związku z tym dali mi ciemne okulary, które przytrzymywała gumka, i nic już nie mówiłam.

Jakiś czas później zoperowali mi dłonie. Bez problemu rozdzielili palce. Nie ma żadnych zniekształceń, tylko cieniutkie perłowe blizny, które staram się ukrywać, zaciskając mocno pięści, aby uniknąć niedyskretnych pytań.

Przez większość czasu trzymali mnie w zamkniętym pokoju spowitym w półmrok. Dryfowałam w swego rodzaju odrętwieniu, nieświadoma upływu czasu, i tak też było dobrze.

Jak tylko wynurzałam się z mgły, wołałam mamę. Nic innego nie umiałam powiedzieć prócz „ama, ama, ama”, godzinami tak robiłam w nadziei, że powtarzanie tego słowa bez wytchnienia w końcu ją do mnie sprowadzi.

Przyszedł jakiś pan. „Musisz przestać wołać mamę. Mama wyjechała. Rozumiesz?” Kiwnęłam głową. „Tu jesteś bezpieczna. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Musisz jedynie przestać wołać mamę”. Mówił łagodnie, patrzył natomiast zupełnie zimnym wzrokiem, toteż zrozumiałam, że za łagodnymi słowami kryje się groźba.

Czułam, że lepiej się nie sprzeciwiać. Jeszcze skrzywdzą mamę, jeśli nie będę posłuszna. Dlatego posłuchałam: przestałam ją wołać, ale nie przestałam myśleć o niej. Potrzebowałam tego, żeby znieść hałasy.

Dochodziły zewsząd, wdzierały się do mojego pokoju. Szepty za drzwiami, jęczenie

dzieci zamkniętych w sąsiednich pokojach, wszystkie te dźwięki były jak karaluchy na mojej twarzy, jak muchy gryzące w skronie. Nawet kręcąc mocno głową z lewa na prawo, nie mogłam się ich pozbyć. Wczepiały się we mnie, wgryzały w czaszkę, nigdy nie przestawały.

Najchętniej zatkałabym sobie uszy rękami i schowała się pod łóżko, i tam leżała zwinięta w kłębek. Może to by mi pomogło odzyskać tamtą ciężką, utkaną ze stłumionych dźwięków ciszę, która mnie chroniła dawniej, kiedy leżałam w swoim ciemnym kokonie. Byłam jednak przywiązana do łóżka i za bardzo osłabiona, mogłam więc tylko cichutko pomiaukiwać jak zagubione kocię.

Codziennie po południu odwiązywano mnie i sadzano w fotelu na kółkach, po czym wieziono na wielkie podwórze, żebym zaczerpnęła powietrza. Było to straszne z powodu światła, które raziło mnie w oczy, ale przede wszystkim z powodu śmigłowców. W tamtych czasach bez przerwy patrolowały z góry miasto, na pewno pamiętasz. Kilka lat po wydarzeniach; wtedy obowiązywał jeszcze najwyższy poziom procedur bezpieczeństwa.

Za pierwszym razem wpadłam w panikę. „Ama, ama, ama”. Błyskawicznie zabrali mnie do środka. „Pamiętasz, co ci mówiono? Nie wolno wołać mamy. Nie wolno jej wołać!” Po brzmieniu głosów poznałam, że nie są zadowoleni. Pomyślałam o panu, który u mnie był, o groźbie w jego oczach. Skuliłam się w fotelu. „Ama”. Bałam się o nią i to było jeszcze gorsze niż śmigłowce.

Od tej pory bardzo uważałam. Jak tylko usłyszałam w dali głuchy warkot tych wielkich, przysadzistych ważek i szum powietrza przecinanego wirnikami, zatykałam sobie uszy i z zamkniętymi oczami przygryzałam wargi. „Uspokój się, to nic. Wiesz, oni nas chronią. Zaraz odlecą”. Nie słuchałam tego. W tajemnicy wołałam matkę, bo ona jedna mogła wyciszyć jazgot potworów, które nade mnie nadlatywały.

Z czasem pamięć mi się zmąciła - pewnie przez te wszystkie środki uspokajające, którymi mnie faszrowali. Podstępnie rozstrajały mi umysł, wymazywały moją przeszłość. Dobrze pamiętałam chwilę, kiedy ci ludzie w czerni nas rozdzielili - to, owszem, pamiętałam - ale poza tym wszystko się zamazywało. Został tylko zlepek niepowiązanych wrażeń. Spomiędzy nich wyłaniał się jeden jedyny wyraźny obraz - nie mam pojęcia, czemu właśnie ten - obraz skweru z karuzelą załadowaną dziećmi.

Jestem wśród nich, większe mnie popychają. Śmieję się mimo to; dobrze się bawię na karuzeli, której każdy obrót pozwala mi zerknąć na matkę siedzącą na ławce z innymi kobietami. Te inne kobiety są brzydkie, skórę mają pokrytą krostami, uśmiech szczerbaty. Przy nich moja matka przypomina królową, anioła cudownie ochronionego przed takim wyniszczeniem.

Żeby nie zapomnieć, bez przerwy przywoływałam tę scenę, skwerek, karuzelę i nietkniętą twarz matki. Ale to nie wystarczyło: środki uspokajające nadal toczyły mi pamięć i mój anioł wlatywał co dzień odrobinę wyżej.

Każdego ranka ktoś przychodził mnie pogłaskać, czasami mężczyzna, czasami kobieta. Przez kilka minut ich palce muskały wierzch mojej dłoni, potem wolniutko zsuwały się do jej wnętrza i obejmowały ją, lecz nie ścisnęły. Napinałam się w więzach - to było takie wstrętne. Nie próbowałam się jednak wyrwać. Protesty nic by nie dały: byłam na ich łasce.

Po dłoni przyszła kolej na całą rękę, ramiona i szyję. Potem na stopy, kostki, łydki, uda. Głaskanie, masowanie, czasem lekkie, czasem silne, zawsze wtedy odchodziłam od zmysłów.

Z upływem tygodni i miesięcy wstręt zmalał. Nie wiem, czy pod wpływem przyzwyczajenia, czy rezygnacji, a może jednego i drugiego. Doszło do tego, że pozwalałam się byle gdzie dotknąć bez drgnienia, bez sprzeciwu. Nie byłam już dzikim zwierzątkiem, które złapali. Stałam się uległą, można powiedzieć: oswojona.

Tyle że zmiana była powierzchowna: w głębi moja natura nic się nie zmieniła. Mimo ich starań, mimo serii masażu zlecanych rok po roku w ramach leczenia podtrzymującego nie zdołali wyplenić odrazy, która sprawia, że czuję dreszcz, ilekroć ktoś mnie dotyka. Nie zniszczyli odruchu, który ciągle każe mi w miarę możliwości unikać kontaktu z innymi.

Sonda wywołała w końcu podrażnienie śluzówek. Wyjęli ją. I znów się zaczęła męka - rosołki, zupki, papki. Ledwie zobaczyłam łyżeczkę, odrętwienie mijalo jak ręką odjął i wysuwałam pazurki. Zapach jedzenia skutecznie znosił działanie środków uspokajających.

Nie rozumiałam, dlaczego zmuszają mnie do zjadania tych paskudztw. Tylko mama wiedziała, co lubię. Było to letnie, przyjemne w smaku, przepyszne. Kiedy zapominała nabrać tego na łyżeczkę, wtykałam rękę do puszek i wyjadałam palcami. Łapczywie, żarłocznie, całą buzię miałam umazaną. I ten zapach, ten smak. Bez przerwy o tym myślałam, przez co jeszcze większy stawiałam opór.

Ale byłam za słabym zawodnikiem. Oni mieli pasy przy łóżku, rozwieracze. Z tym nie dało się walczyć. Jak tylko zmusili mnie do przełknięcia trzech, czterech łyżeczek, podłączali kroplówkę z glukozą i witaminami i zadowoleni dawali mi spokój. Do następnego razu.

Ostatecznie uległam; nie miałam już sił. Kiedy przysuwali łyżeczkę, bez przymusu otwierałam usta, gryzłam, połykałam. Skończyło się używanie rozwie - raczy, przywiązywanie pasami, niczyje ręce nie trzymały mi głowy, nie ciągnęły za podbródek. Czułam nadal wstręt, lecz zarazem ulgę.

Odzyskiwałam wigor, przybierałam na wadze. Dochodziłam do siebie. Kiedy byłam w

stanie sama siedzieć, mogli zacząć reedukację. Zapomniałam, jak się mówi, chodzi, wszystko zapomniałam. Nauczyli mnie tego od nowa.

Pamiętam, że logopedce śmierdziało z ust, jakby miała w gardle zdechłego kota. Od samego początku źle to wpływało na nasze stosunki. Ledwie otworzyła usta, smrodliwy oddech owiewał mi twarz i żołądek się wywracał, aż musiałam zaciskać usta, żeby pohamować odruch wymiotny. Uważała, że odmawiam współpracy, więc jeszcze bardziej przysuwała twarz do mojej: „Popatrz, jak ja robię. No popatrz!”. I wtedy było jeszcze gorzej.

Początkowo się opierałam. Próbowałam ją nawet podrapać, to jest napisane w raporcie. Ale była cierpliwa. Zaproponowali, że będą mnie przywiązywać do fotela, lecz tego nie chciała. Powiedziała, że nie poczynię żadnych postępów, jeżeli sama nie będę chciała. Wszystko musi wychodzić ode mnie, kiedy będę gotowa. Muszę przyznać, że to mi się spodobało - choć raz znalazł się ktoś, kto nie chciał mnie przywiązać. Dlatego postanowiłam się sprężyć i znieść smród jej oddechu.

Przeciwności chyba zmuszają do inwencji. Po jakimś czasie znalazłam sposób: ilekroć mówiła, wstrzymywałam oddech. Pewnie, że dalej czułam ciepły oddech na twarzy. Bez smrodu jednak dało się wytrzymać. I to był początek naszej prawdziwej współpracy.

Potrzebowałam półtora roku codziennych sesji, całej masy chwil na bezdechu połączonych z widokiem w zbliżeniu jej gardła, śluzówek, porcelanowych równiutkich zębów, lecz udało się: nauczyłam się od nowa mówić prawie normalnie. Pozostał mi lekki obcy akcent, który nie wiadomo skąd się wziął, jakiś obcy zaśpiew, inna melodia zdań. Owszem, przyznaję, że ledwie to słysząc, niemniej daje się zauważyć i chociaż zawsze mi mówiłeś, że lubisz mój sposób mówienia, zauważyłam, że niektóre osoby wprawia to w zakłopotanie.

Z chodzeniem nie było łatwo, bo dostawałam zawrotów głowy, kiedy wsadzali mnie w uprząż. Zawieszona na linach z głową tak daleko od podłogi traciłam wszelkie punkty odniesienia. A gdy liny zaczynały się przesuwac na szynach pod sufitem, dostawałam torsji. „To normalne - mówił pan Takano, kinezyterapeuta. - Nie zniechęcaj się. Dasz radę”.

Każdego popołudnia wsadzał mnie w tę ruchomą uprząż i przez godzinę czy dwie włóczył w niej tam i z powrotem, z lewa na prawo, w przód i w tył.

„No już! Stań na nogach!” Kompletnie oszołomiona pozwalałam się przenosić w uprzęży. Stopami dotykałam podłogi, lecz nogi miałam zupełnie miękkie. Między mną a moim ciałem nie funkcjonowało połączenie.

Mimo wszystko pewnego dnia się okazało, że to nie takie trudne. Ustały zawroty głowy, ustały wymioty. Takano mi pogratulował. Spadł mu kamień z serca, jak sądzę, że nie

musi już zmywać całej podłogi po każdym zajęciach. A ja się cieszyłam, że sprawiłam mu przyjemność. Lubiłam Takana. Miał poczucie humoru, żonę, sześcioro dzieci i zawsze jakąś historyjkę do opowiedzenia.

Pewnego dnia postawiłam stopę na ziemi - to znaczy postawiłam naprawdę, mocno przyciskając podeszwę. Poczulałam dreszcz przebiegający mi przez nogę, jakby ją obudziło wyładowanie elektryczne. Takano zobaczył moje zdziwienie. Zachęcił mnie: „Dalej! Oprzyj się na stopach!”. Zrobiłam, jak powiedział. Jeden krok jakimś cudem. Potem drugi nieśmiało, zachwycona. I naraz zrozumiałam, że to nie jest kwestia przymusu. Nie wykonywałam czyjegoś rozkazu: ja chciałam chodzić. Gdzieś w głębi ducha chciałam tego. Po raz pierwszy ich żądania zbiegły się z moim pragnieniem.

Chodzenie wszystko zmieniło, nareszcie stałam mocno na nogach, z podniesioną głową. Po miesiącach obmacywania i poklepywania mnie przez obce ręce, wożenia w fotelu na kółkach nagle odzyskiwałam władzę nad sobą. Moje życie przestało być strumieniem absurdalnych zdarzeń. Odzyskiwało formę, zwartość. Mogłam odróżniać dzień od nocy, wieczór od rana, wczoraj od jutra. Jakbym się przebudziła z nienormalnie długiego snu.

Od tej pory zaczęłam sobie wszystko układać. Codziennie ćwiczyłam wstrzymywanie oddechu. To było przyjemne z powodu zawrotów głowy i walenia serca, które powodowało. A przede wszystkim było użyteczne. Odkąd nie oddychałam w trakcie posiłków, dużo lepiej znosiłam pożywienie. Smak potraw się rozmywał, stawał się znośnie mdły i chociaż pozostawała ich odrażająca konsystencja, było o niebo łatwiej.

Po kolacji zostawałam sama w pokoju. Zaproponowali mi parę razy, żebym się przyłączyła do innych, pobyła z nimi, zanim pójdę spać, lecz odmówiłam. Innych się bałam. Codziennie ich obserwowałam z sali reedukacyjnej. Z nosem przyklejonym do okna patrzyłam, jak się bawią na głównym podwórzu przed budynkiem. I chociaż potrójne szyby w oknach tłumiły ich krzyki, chociaż dzieliło nas trzydzieści pięter, nie mogłam powstrzymać dreszczu. To akurat wiedziałam, byłam tego pewna: nie dałabym rady żyć między nimi; za bardzo się od nich różniłam, przede wszystkim jednak nie byłam w stanie znieść hałasów rozbrzmiewających w powietrzu, tych krzyków, śmiechów, oddalonego płaczu, całego tętniącego życiem świata, który wrzał u moich drzwi. To było zbyt przerażające. Nigdy bym do tego nie przywykła.

Myślałam o tym od dawna, ale brakowało mi odwagi. Bałam się, że będą niezadowoleni, że znowu mnie przywiążą. W końcu pewnego wieczoru zrobiłam to jednak, dłużej nie mogłam wytrzymać: schowałam się pod łóżkiem. Owinięta kołdrą przytuliłam się do ściany i skuliłam - z poduszką na głowie. I zdołałam oddalić hałasy. Przez grubą, tłumiącą



poduszkę docierały jeszcze ich szczątki, lecz ledwie słyszalne, taki tylko pomruk. Najgorsze ginęło gdzieś wśród włókien pościeli. Tak rozkoszna była ta pozorna cisza, że po prostu nie mogłam w nią uwierzyć.

Domyślałam się, że wszystko widzieli - nad łóżkiem wisiała zamocowana kamera. Niedługo zareagują. Przyjdą i wyciągną mnie, powiedzą: „Tak nie powinnaś, nie wolno, nigdy więcej tego nie rób”. Skuliłam się więc jeszcze bardziej pod łóżkiem i czekałam.

Ale nikt nie przychodził, tak że w końcu zasnęłam zawinięta w splątaną pościel jak w gnieździe otaczającym mnie zewsząd. Wtedy przeżyłam pierwszą prawdziwą noc, odkąd tu trafiłam.

W następną noc robiłam tak samo. Idealnie oczywiście nie było. Nic nie mogło dorównać wygodzie mrocznego ciepła, z którego mnie wydarto. Lepsze jednak to niż nic. Jakaś namiastka błęgiego spokoju i bezpieczeństwa.

Wykazali się rozsądkiem i nie próbowali nic zmieniać. Tylko pod łóżkiem położyli cienki materac, żeby mi się wygodniej spało.

Mijał miesiąc po miesiącu: reedukacja, posiłki, ćwiczenia bezdechu, nocne pod łóżkiem. Pod koniec drugiego roku mówiłam prawie idealnie, chociaż słownictwo miałam dość ograniczone jak na dziecko w moim wieku. Nauczyłam się od nowa chodzić, posługiwać rękami, mimo że ciągle jeszcze byłam bardzo niezgrabna. Umiałam wejść na schody, skakać ze złączonymi nogami, zrobić fikołka do przodu i do tyłu. Posiłki zjadałam bez grymaszenia i bez oddychania. Byli zadowoleni. Chwalili mnie za postępy. „Odzyskuje chęć do życia”. Tak napisali w raporcie. A pewnie.

Żyłam jednak połowicznie. Brakowało mi matki. Bez przerwy o niej myślałam. Ale kryłam się z tym - rozumiałam, że nie wolno o niej mówić. Nawet gdybym mogła, co bym powiedziała? Zapomniałam prawie wszystko z czasów, kiedy żyłam z nią. Pamiętałam wyłącznie jakieś strzępki: czerwoną sukienkę, szum lejącej się wody, zapach jedzenia, które szykowała dla mnie. Nie udało mi się zachować nawet jej twarzy, tylko kontury równocześnie wyraźne i zamglone, jej uśmiech wtopiony w coś w rodzaju świetlistej mgły jakby dla przypomnienia, jaka nas obie dzieli teraz odległość.

Zabrali mnie pewnego ranka i zaprowadzili do sali, w której bawiło się pięcioro dzieci, dwie dziewczynki i trzech chłopcy. Od razu zrozumiałam, co sobie wbili do głowy. Nie próbowałam protestować. Wiedziałam, że to na nic. Kiedy powiedzieli: „Pobaw się z dziećmi, tylko parę chwil, no idź, nie bój się”, podeszłam naprzód krokiem, jakim lunatyczka idzie po parapecie. Myślę, że przeczuwałam, co się stanie.

Ledwie dzieci zauważyły moją obecność, podbiegły i otoczyły mnie. Stwierdziłam, że

są dziwne, dość brzydkie, krótko mówiąc, twarze miały jakieś koślawe. Niesymetryczne. Tak, to jest to, stwierdziłam: są niesymetryczne. Przyglądały mi się osobliwie. Chyba intrygowały je moje ciemne okulary. Jak ekran między nimi a mną.

Zaczęły mnie wypytywać: „Jak się nazywasz? Czemu masz okulary? Czemu jesteś taka chuda? Czemu się trzęsiesz?”. Mówiły szybko, wszystkie równocześnie, nie cichły ani na chwilę. Pragnęłam jednego: zatkać uszy rękami i odwrócić się tyłem. Ale wiedziałam, że nie tego po mnie oczekiwali, więc stawiałam dzieciom czoło: odpowiadałam mechanicznie na wszystkie pytania. Pewnie potem ja powinnam była je zagadnąć, lecz to było ponad moje siły.

Kiedy zaproponowały, żebym się z nimi pobawiła, zgodziłam się - nie miałam wyboru. Tylko że nie znałam ich zabaw. Próbowaly mi wyjaśnić zasady, lecz nic z tego nie rozumiałam. „Głupiaś czy co? Przecież to proste!” Ich niecierpliwość przeraziła mnie, była jak groźba, przez co jeszcze mniej rozumiałam. Któryś chłopak w końcu rzucił: „Powalona jakaś”. Nie złośliwie, nie naprawdę. Ale znaczyło to, co miało znaczyć: nie byłam taka jak te dzieci i one o tym wiedziały.

Dały mi wreszcie spokój i poszły się bawić w drugi kąt sali. Nie spieszyło mnie to, przeciwnie: z ulgą patrzyłam, kiedy odchodziły. Potem zaczęły coś między sobą poszeptywać, od czasu do czasu zerkając ukradkiem w moją stronę. W pewnej chwili jedna z dziewczynek podeszła do mnie.

- Założę się, że nigdyś tego nie robiła?

- Czego?

- Robiłaś to?

- Ale co? O czym mówisz?

Nie odpowiedziała. Oczy jej niepokojąco błyszcząły.

- Więc robiłaś to?

Pozostałe dzieci podeszły bliżej, żeby nie uronić niczego z przedstawienia.

- Robiłaś?

Stałam jak sparaliżowana, brakowało mi tchu, żołądek miałam ściśnięty, lecz to nie wystarczało, by zdusić strach. Do oczu ukrytych za ciemnymi okularami napłynęły mi łzy. A dzieci się śmiały. Wyczuwały, że jestem spanikowana, i to je podniecało.

Wtem dziewczynka rzuciła się na mnie. Padłam na plecy jak długa. Przygniatała mnie całym ciężarem ciała. Poczulałam, że brutalnie wciska mi rękę pod spódnicę i zdiera majtki.

- To już robiłaś?

Wrzasnęłam, czując jej palce.

Drugą ręką zaczęła drapać mnie po udach. Szarpałam się i krzyczałam, lecz na darmo,

była silniejsza niż ja. Każdy był silniejszy niż ja. Nie puszczała mnie, a reszta ze śmiechem wrzeszczała: „Głupia! Głupia! Głupia!”. Okulary poleciały gdzieś w drugi koniec sali. Światło mi oślepiło załzawione oczy. Zobaczyłam, że nadbiega wychowawca. Szamotałam się jeszcze długo po tym, jak nas rozdzielili.

Niewyraźnie pamiętam następne dni, ale według raportu nie ma się czym chwalić. Ilekroć ktoś do mnie podchodził, wrzeszczałam. Okulary się rozbiły wtedy w sali. Dali mi inne. Nie chciałam ich zdejmować nawet na noc. Znowu zaczęłam dostawać środki uspokajające i kroplówkę z glukozy. I wszyscy czekali.

Nie otwierałam oczu. Nie chciałam nikogo widzieć. Od czasu do czasu przychodzili, żeby mnie obmacać, umyć, zmienić kroplówkę albo pobrać krew. Nie otwierając oczu, pozwalałam im się krzątać. Słyszałam, jak szepczą: „Biedne dziecko, to było niepotrzebne”. Mówili jeszcze, że nie należało tego robić, że nie byłam gotowa. Mówili: „Podobno Kauffmann jest wściekły”.

Nie do wiary, jak dobrze mi to zrobiło. „Biedne dziecko”. Niektórzy użalali się nade mną. Nie zgadzali się na to, co mi zrobiono. To było jak wyłom w murze, pęknięcie w systemie. Nadzieja. Dojrzałam cały pożytek, jaki mogę z tego wyciągnąć. Zaczęłam udawać ataki nerwowe, napady strachu i płaczu tak przekonywająco, że w końcu sama nie wiedziałam, kiedy udaję, a kiedy to jest naprawdę.

Nie starali się mi przeszkadzać, uspokajać mnie zastrzykami czy czym tam. Po raz pierwszy czułam, że są bezradni, zakłopotani i może świadomi, że popełnili błąd. Widziałam to po ich oczach, gdy spojrzeniem uciekali w bok. Domyślałam się po ostrożnych ruchach, jakbym była z jakiegoś delikatnego budulca, który bali się uszkodzić dotykiem. Wiesz co? Poczucie winy - jedynie ono jest prawdziwe. Wystarczy tak się ustawić, żeby inni poczuli się chociaż trochę do winy wobec ciebie, a dostaniesz od nich, co tylko zechcesz.

Kiedy łagodnie zapowiedzieli, że niedługo będę mogła wyjść z izby chorych, zawołałam przerażona:

- Nie chcę wracać do pokoju!
- Nie chcesz? Dlaczego?
- Jest za blisko innych! Nie chcę! Boję się!
- No przecież...
- Nie chcę tam wracać. Proszę, dajcie mnie daleko od innych!

Popatrzyli po sobie zakłopotani. Tej komplikacji nie przewidzieli. Nie powiedzieli jednak nie. Żeby mocniej wbić szpilę, wylałam kilka jak najprawdziwszych łez, wykręcając sobie palce tak, by dobrze wyeksponować blizny. Krótka mówiąc, odegrałam komedię. Teraz

pozostało tylko czekać.

Trwało to krócej, niż się spodziewałam. Kilka dni później ulokowali mnie w bocznym skrzydle głównego budynku, bardzo daleko od innych wychowanków. „Będiesz tu przejściowo”, powiedzieli. Docelowo zamierzali na powrót mnie przenieść do sektora dziecięcego. Było mi obojętne, co będzie potem: na razie miałam spokój, błogi, ataktyczny. I wiedziałam, że trochę czasu upłynie, zanim znów będzie mowa o socjalizacji. Poczucie winy, mówię ci, jedynie ono jest prawdziwe.

Dowiedziałam się dużo później, czytając swoje akta, że po tej aferze przeprowadzono dochodzenie wewnętrzne, którego wyniki okazały się druzgocące. Doświadczenie, któremu mnie poddano, było sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Nie zostałam odpowiednio przygotowana, by przez nie przejść. Przede wszystkim jednak, choć to się w głowie nie mieści, nie zadbano o to, aby zweryfikować profil dzieci, między które mnie wprowadzono. Porażka. Poleciało parę głów: psychiatrę i dwóch terapeutów wyrzucono za poważne uchybienia. Dobra robota.

Ciągle jeszcze zdarza mi się snić o tej napaści. Widzę twarz dziewczynki. Jej usta, złe oczy. Czuję przygniatające mnie ciało. Brutalne palce na mojej skórze. „Robiłaś to?” Jest o niej mowa w moich aktach. Nosila imię Bianca i pochodziła z Zony. Miała trochę ponad cztery lata, kiedy ją zabrano z miejsca nielegalnych przedstawień razem z sześciorgiem innych dzieci w mniej więcej tym samym wieku.

Przez kilka tygodni dawali mi spokój. Nie śmieli do niczego mnie nakłaniać. Dobrze ten okres wykorzystałam: marudziłam przy stole, wymuszałam zwalnianie z reedukacji. Ze zmęczenia. Większość czasu spędzałam w swoim pokoju pod łóżkiem. Nie mogłam się przełamać i znowu zacząć mówić.

Potem stopniowo wszystko wróciło do ładu - to znaczy do ich ładu. Tak czy owak taki stan nie mógł trwać wiecznie. Wszystko ma swój kres, zwłaszcza to, co przyjemne.

Codziennie spacerowałyśmy odtąd na ogromnym tarasie na dachu głównego wieżowca. Po tym, co mi się przydarzyło, uważali, że tak będzie dla mnie lepiej. Inne dzieci bawiły się na dole, na podwórkach, w ogrodach. Ja byłam na dachu. Z jednej strony bardzo dobrze. Z drugiej niekoniecznie, bliżej bowiem miałam śmigłowce - zawsze to samo, nigdy się człowiek nie wyrwie: wiecznie tkwi między Scyllą i Charybdą, młotem i kowadłem. I ja między jednym a drugim.

Codziennie przez pół godziny musiałam krążyć po dachu z głową wciśniętą w ramiona, w ciemnych okularach na nosie, wypatrując nadlatujących czarnych szerszeni. Wychowawczynie monotonicznie powtarzała: „Oddychaj, to ci dobrze zrobi. Wdychaj świeże

powietrze!”. Ależ mnie wkurzała tym swoim

świeżym powietrzem! Ja lubiłam wyłącznie atmosferę zamknięcia, powietrze smrodliwe, zalatujące stęchli - zną, takie jak to, którym oddychałam pod łóżkiem zawinięta w lekko wilgotną pościel. Przypominało mi niegdysiejsze życie, utracone szczęście. Tylko jak jej to wytłumaczyć? Na pewno by nie zrozumiała. Domyślałam się tego po samym jej wyglądzie: okrągłe policzki, świeża cera, kretyńska mina.

- Oddychaj, no oddychaj!

Zamknij się albo cię zrzucę z dachu.

- Oddychaj, to bardzo zdrowe!

Uśmiechałam się do tej debilki, żeby się nie połapała. A w myślach zrzucałam ją z dachu, pchnięcie przez parapet i hop! wielki haust powietrza.

- No, całą piersią! Dotleniamy się!

Udawałam, że robię, co każe - do niczego to nie zobowiązuje, a o ileż jest prostsze koniec końców. Tak jak ona rozkładałam ręce, wypinając pierś z błogością na twarzy. W rzeczywistości prawie cały czas na dachu spędzałam na bezdechu.

W styczniu roku 2098, dwa lata z hakiem po moim przybyciu, zostałam włączona do programu edukacyjnego Centrum. Zważywszy na moje „ewidentne trudności w socjalizacji”, korzystałam ze specjalnego toku nauczania indywidualnego i lekcji prowadzonych na przemian przez nauczyciela i nauczycielkę. Pamiętam, że oboje byli bardzo bladzi i dosyć brzydki, zwłaszcza on - niektóre przypadki nie kwalifikują się do chirurgicznych poprawek. Nie odnosili się do mnie ani życzliwie, ani wrogo, zawsze jednak wykazywali się cierpliwością, mówili równym, cichym głosem jak do bardzo wrażliwego dziecka albo do osoby z zaburzeniami charakteru, z którą należy się obchodzić jak z jajkiem. Nie można powiedzieć, że ich lubiłam - powiedzmy, że mi nie wadzili, co znakomicie wpływało na nasze stosunki.

W sumie dość szybko się spostrzegli, że jestem wyjątkowa. Nie ja tak twierdzę, tak napisali w sprawozdaniu wysłanym na początku marca do członków komisji: „Umiejętność czytania opanowała w miesiąc. Zdumiewająca pamięć, zadziwiające wyniki w liczeniu w myśli. Pewne problemy z pisaniem, lecz odnotowuje się stałe postępy”.

Zrobili mi całą masę różnych badań i testów. Dla mnie to było łatwe. Wyniki stwierdzały, że jestem wybitnie uzdolniona. Nie mogli w to uwierzyć. Kilka razy powtarzali testy, aby się upewnić, że nie wkradł się błąd. Ale nie, wszystko się zgadzało. Nie było więc wątpliwości: kogoś takiego jak ja nazywa się „przypadkiem”, w co było tym trudniej uwierzyć, że z powodu swojej przeszłości powinnam być raczej opóźniona umysłowo.

Członkowie komisji znaleźli się w wielkim kłopotcie: mieli na głowie istne dziwo. Wybitnie uzdolnione, aspołeczne, z licznymi traumami. Nikt nie wiedział, co ze mną począć. I tu na scenę wkroczył pan Kauffmann. Zmienił moje życie.

## *Pan Kauffmann*

Z pewnością słyszałeś o panu Kauffmannie. Wszędzie się o nim mówiło w czasach afery. W krajowych wiadomościach, radiu, sieci... w całym medialnym badziewiu. Niczego ostatecznie nie udowodniono, ale zło się stało. Zło zawsze zostaje, zauważyłeś? Nawet jeżeli to nieprawda, zło najłatwiej się zapamiętuje. Uważam, że to ohydne.

Pan Kauffmann był znany na długo przed tym, nim jego nazwisko zaczęto łączyć ze skandalem - znany od dobrej strony, zaznaczam - jako terapeuta, wielki specjalista od dzieci po przejściach. Potrafił je stawiać na nogi jak nowo narodzone albo prawie, wzbudzać w nich pewność siebie, co graniczyło z cudem, ponieważ w większości te dzieci uważano za nieodwracalnie skrzywione. Właśnie dlatego pan Kauffmann był sławny i szanowany: bo jemu się udawało tam, gdzie innym się nie powiodło.

Mimo to mianowanie go szefem Centrum wzbudziło komentarze. Niektórym nie podobał się jego styl. Pan Kauffmann wyglądał specyficznie, przyznaję. Był gruby, nosił się pstrokato. Nie bardzo pasował do sztywniaków zasiadających w komisji. Był też prowokujący, o tak, można tak powiedzieć. Wcześniej czy później to musiało się źle skończyć.

Znasz mnie, jestem z natury nieufna. Wszystko przez ludzką naturę. Potrafi zaskakiwać, często przykro moim zdaniem, lepiej więc mieć się na baczności. Jednakże w przypadku pana Kauffmanna uczyniłam wyjątek. Zaufałam mu od pierwszej chwili, bez zastanowienia. Był inny i chyba to mi się spodobało. W ciuchach pełnych ozdób, ze śmiejącymi się oczami i aparycją dobrodusznego ogra.

Kiedy powiedział: „Cześć, Lilu, nazywam się Kauffmann, jestem dyrektorem Centrum”, odparłam bez strachu:

- Wiem. Widziałam pan zdjęcie w głównym korytarzu na drugim, koło zdjęć dawnych dyrektorów.

- Ach! Mój oficjalny portret, zapomniałem onim. Nieżle na nim wyszedłem, prawda?

- No, całkiem dobrze. Tylko na zdjęciu nie widać, że jest pan taki gruby.

Roześmiał się.

- Tak, tak, wiem! Lekarz przypomina mi o tym przy każdej wizycie, a ubezpieczyciel każe sobie przez to słono płacić.

Poklepał się obiema wielkimi jak bochny rękami po wydatnym brzuchu wciśniętym w zjawiskową kamizelkę haftowaną srebrem. Uśmiechnęłam się. Podobał mi się ten człowiek, naprawdę. Kiedy spytał, czy zgodzę się uczestniczyć w jego „programie nadzwyczajnym” -

programie nauczania, który opracował specjalnie dla mnie - przytaknęłam bez wahania. Byłam pewna, że będziemy się dobrze rozumieli. Czasami od razu ma się taką pewność. Niczego nie żałuję.

Później niektórzy twierdzili, że błędem było oddanie mnie w jego ręce, że zostałam bardzo skrzywdzona. Nawet Fernand się pod tym podpisywał: „Lubiłem go, Bóg mi świadkiem, ale naprawdę nie potrzebowałam tego”. Wszyscy myślą tak jak on. W pewnym sensie mają słuszość. Moje życie bez wątpienia byłoby prostsze, gdybym nie spotkała pana Kauffmanna. Lepiej bym się przygotowała do tego, co mnie czekało. Wiem, ale widzisz, niczego to nie zmienia: ani przez sekundę nigdy nie żałowałam tych cudownych lat, kiedy pozostawałam pod jego skrzydłami. I cokolwiek inni mówią, ja nadal wierzę, że pan Kauffmann był dla mnie prawdziwą szansą.

Odwiedzał mnie co rano, zostawał godzinę, czasem dwie. Gadaliśmy o wszystkim i o niczym, zwłaszcza on mówił. Ja niewiele się odzywałam. Wołałam słuchać jego opowieści. Potrafił je wymyślać na zamówienie, wystarczyło, żebym rzuciła trzy przypadkowe słowa, jak wyzwanie, i zawsze przyjemnością było go słuchać. Miał specyficzny sposób wypowiedzi, używał wielu nieznanym mi słów, okropnych przekleństw i dziwacznych wyrażeń. Często bawił się mieszaniem języków - znał ich biegle z piętnaście i był z tego bardzo dumny. Oczywiście nie wszystko rozumiałam. Mówił „To nic”, i słusznie, w końcu przecież liczyło się sedno. Kiedy pan Kauffmann opowiadał te swoje historie, nie czułam ani bólu, ani tęsknoty. Zdarzało mi się nawet zapominać, gdzie jestem - samo to dowodzi, jak było miło.

Przynosił czasem wiolonczelę i grał na niej, grał różne kawałki, które poruszały mi serce bardziej, niż to dozwolone. Normalnie nie przepadam za muzyką. Uważam, że nic nie dorównuje ciszy. Ale z panem Kauffmannem wszystko było inne: dźwięk instrumentu sączył mi się do uszu płynnie i uroczyście, nigdy ich nie raniąc. Potem łagodnie spływał do piersi. Gorąco. Wibrato. I nawet jeżeli melodia była smutna, że czasem aż się płakać chciało, czułam w głębi ducha, że dobrze mi to robi.

Mój stan się poprawił. Dużo mniej się bałam i w ogóle lepiej znosiłam życie. Niekiedy nawet się śmiałam - trzeba przyznać, że pan Kauffmann wiedział, jak do tego doprowadzić. Był taki śmieszny, taki wesoły i nieprzewidywalny. Nigdy nie potrafiłam zgadnąć, co wymyśli na lekcję danego dnia, w jakim języku będzie mówił, jak przyjdzie ubrany. Garderobę miał niesamowitą: dziesiątki szat, damaszko - wanych kamizelek, koszul z żabotem, aksamitnych marynarek i jedwabnych szalików w najróżniejszych kolorach. Każdy seans z nim był jak podarunek, niespodzianka, którą mi ofiarowywał, by na godzinę czy dwie złamać przygniatającą rutynę Centrum.



Najbardziej jednak lubiłam jego życzliwość. Wszyscy uważali mnie za porąbaną, za rozregulowany mechanizm, który pilnie należy zreperować. Tylko pan Kauffmann wstrzymywał się od ocen, niczego ode mnie nie żądał. Była w nim swoista delikatność, jak by to powiedzieć... czułość, no właśnie, czułość. Traktował mnie jak osobę bez problemów, z całym szacunkiem, co było cudownie krzepiące. Aczkolwiek nie wypełniało pustki, którą miałam w sobie.

Wciąż myślałam o swojej matce. Nosłam w piersi tęsknotę za nią upchniętą w odległy kącik, lecz wciąż tak samo żywą. Pielęgnowałam ją starannie, nikomu o niej nie wspominając. Nie śmiałam powiedzieć nikomu, nawet panu Kauffmannowi.

Codziennie patrząc na miasto z dachu, zastanawiałam się, gdzie ona jest, gdzie ją zamknęli, w którym budynku, przy której ulicy. Strasznie mnie dręczyło, że tego nie wiem. Wpatrywałam się w fasady w poszukiwaniu jakiegoś znaku, ale nie znajdowałam go nigdy. Może liczyłam, że moja wytrwałość zostanie kiedyś nagrodzona i wzrok zrobi mi się bardziej przenikliwy, a w końcu zyska moc przesywania nieprzezroczystych murów. Kamień, szkło, beton, nic mu się nie oprze. I nareszcie ją znajdę. Podczas gdy ja wypatrywałam sobie oczy w poszukiwaniu matki, wychowawczyni piała obok mnie: „Widzisz, jakie piękne te refleksy na dachach? A te drzewa przy ulicy? I tam pola zbóż? Wspaniałe, prawda?”. Myślała, że w końcu udało jej się otworzyć mi oczy na piękno świata. Idiotka. Kiwałam głową, aby nie wyprowadzać jej z błędu. Odpowiadałam: „Tak, tak, wspaniałe”, żeby umilkła zadowolona, żeby się zamknęła. I wracałam do swojej tęsknoty.

Nadal żyłam w odosobnieniu. Pan Kauffmann postanowił, że nie będzie mnie zmuszał. „Wiesz? Rozumiem cię. Naprawdę niełatwo współżyć z ludźmi. Zobaczmy później, na wszystko przyjdzie czas. Na razie zajmijmy się twoją edukacją”. Pan Kauffmann miał wobec mnie wielkie ambicje z powodu mojej wysokiej inteligencji. Ponieważ nie było mowy, żebym uczęszczała na normalne lekcje, umożliwił mi do nich dostęp za pomocą wideokonferencji - do wszystkich poziomów. „Nie krępuj się, dziewczynko, wybieraj, co ci się podoba”. Nie kazałam sobie tego powtarzać. Z zapałem wzięłam się do nauki. Wszystkiego - historii, geografii, chemii, matematyki, języków martwych i żywych. Musiałam jakoś zapełnić czas między dwiema sesjami reedukacyjnymi.

Bardzo ceniłam swoich nauczycieli - o ileż łatwiej lubić ludzi z dala, o ileż wygodniej. Nie ma problemów z przypadkowym dotknięciem albo śmierdzącym oddechem. Istny raj.

Kiedy we wrześniu pan Kauffmann przedstawił pierwsze podsumowanie moich wyników w nauce, komisja wydała bardzo pozytywną opinię. Oświadczyła nawet, że „jest pod wrażeniem” postępów, jakie poczyniłam. Pan Kauffmann zatarł ręce: „He, he,

dziewczynko, alem olśnił te wszystkie głąby” - tak nazywał zawsze członków komisji, kiedy mi o nich mówił. Głąby. Nie było to zbyt rozważne, tyle że pan Kauffmann nie należał do ludzi rozważnych - w każdym razie nie do tych, którzy gryzą się w język i przełykają stosowne słowa. „Skoro głąby są zadowolone, kapitalnie! Możemy sobie spokojnie dalej robić, co nam się podoba”.- Niczego więcej nie żądałam.

Na dziewiąte urodziny pan Kauffmann podarował mi kalejdoskop, „żeby widzieć wszystko w dobrym świetle, nawet jeżeli wszystko jest parszywe”. Spodobał mi się ten pomysł - czasami przynosi człowiekowi ulgę, kiedy bezkarnie może wszystko rozwalić. Byłam szczęśliwa, ale zwłaszcza wzruszona: pierwszy raz w życiu dostałam prezent. Nigdy jeszcze nie miałam niczego, co naprawdę należało do mnie. No może dawniej miałam, lecz tego nie byłam pewna.

Kontynuowaliśmy w swoim rytmie - opowieści, muzyka, rozmowy. Z czasem zaczęłam się trochę odzywać, zadawać pytania, wtrącać swoje trzy grosze. Jakoś naturalnie to przyszło, sama nie wiem jak i dlaczego. Niewątpliwie podrosłam i w pełni do niego przywykłam.

Pana Kauffmanna bardzo interesowało, co czuję, co myślę. Zawsze pytał: „Jak się masz dzisiaj? Jak ci się podoba ten kawałek? Lubisz ten kolor?”. Nikt nigdy nie zadawał mi tego rodzaju pytań, toteż ja pierwsza byłam tym zaskoczona. Próbowалам lepiej lub gorzej odpowiadać, lecz wcale nie jest łatwo mówić o swoich myślach i wyrażać uczucia. Jakby się wtedy wszystko wywracało na nice, wyciągało środek na wierzch, to nie jest naturalne. W każdym razie nie było naturalne dla mnie. Próbowалам, a jakże, nie znajdowałam jednak słów; brakowało mi ich, ponieważ późno nauczyłam się mówić i słownictwo miałam ograniczone. Tego nie da się odrobić ot, tak. Często nie znajdowałam właściwych określeń, milkłam wtedy, wszystko musiałam zachowywać w sobie, zamykać, więzić, nie było sposobu, aby to wyrzucić. Co doprowadzało mnie do wściekłości, a niekiedy nawet do łez.

Pan Kauffmann powiedział: „Nie martw się, dziewczynko, zaradzimy temu”. Nie miałam pojęcia, co przez to rozumie, wydawało się jednak, że doskonale wie, dokąd zmierza - a on, nie zwlekając, wziął sprawy w swoje ręce.

Zaczął mi każdego ranka recytować wiersze. Wszelkiego rodzaju wiersze, białe i rymowane, zadnych nie dyskryminował. Musiałam zamykać oczy - pan Kauffmann twierdził, że lepiej się słyszy z zamkniętymi oczami. Kiedy skończył, często mówiłam:

- Nie wszystko zrozumiałam.

-1 całe szczęście, dziewczynko! No, a teraz nauczysz mi się tego na pamięć.

Nie bardzo wiedziałam, na co mi to potrzebne, ale panu Kauffmannowi zależało:

„Nigdy nic nie wiadomo, może się kiedyś przydać”. Posłusznie zatem codziennie uczyłam się na pamięć wiersza, czasami dwóch. Bez żadnego wysiłku. Z łatwością je zapamiętywałam. Zawsze byłam chłonna.

Miesiącami pan Kauffmann z zapalem napełniał mnie słowami. Pozwalałam na to, niezbyt pojmując, czemu ma służyć. Nie wydawało mi się, żebym robiła jakieś postępy - nadal miałam kłopoty z wypowiedziami. „Trzeba być wytrwałym - mówił pan Kauffmann. - Może trochę zejść, zanim się pouklada... ale się pouklada. Ufasz mi, prawda?” Odpowiadałam: „Tak, oczywiście”, w głębi ducha jednak sama nie wiedziałam. „Ucz się wierszy, Lilu. Obiecuję, że w końcu zrozumiesz, do czego służą. W końcu to poczujesz”. Jak zwykle miał słusność.

Pewnego dnia, gdy stałam na dachu i myślałam o matce, patrząc na deszcz padający na miasto, nagle przyszedł mi na pamięć wiersz. Mówił o smutku i był idealny - to znaczy idealnie pasował do tamtej chwili: deszcz i mój smutek, i miasto u moich stóp. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy.

Podeszłam na sam skraj dachu. Powiedziałam: „Posłuchaj, mamó: Łzy mżą na dnie serca, jak deszcz mży ponad miastem”. Te słowa jakby były moje. Jakby wiersz, cały wiersz był mój. Jakbym go ułożyła.

Powolutku szeptem kilkakrotnie wyrecytowałam go mamie, gdziekolwiek się znajdowała. Chwilę później czułam się znacznie lepiej.

Powiedziałam panu Kauffmannowi:

- Wie pan? Chyba zrozumiałam, o co chodzi z wierszami. Miał pan słusność.

Uśmiechnął się.

- Byłem pewien, dziewczynko. Byłem pewien.

I w najlepsze wystartowaliśmy znowu ze słowami. Teraz, gdy rozumiałam, o co w tym biega, uczyłam się jeszcze łatwiej, uczyłam się, czego popadło, nie zadając sobie pytań. Wierszy i prozy do upojenia, długich wykazów skomplikowanych słów, przysłów, porzekadeł, przekleństw i wulgaryzmów. Odradzałam się. Rozkwitałam.

Na początku września pan Kauffmann przedstawił komisji drugie sprawozdanie ze swoich działań ze mną. Już półtora roku pracowaliśmy razem i byliśmy bardzo dumni z rezultatów: coraz rzadziej miewałam problemy z wysłowieniem. Słowa same spływały mi na język, nie musiałam o nich myśleć. Wiersze rozkwitały w głowie razem z emocjami, i to w kilku językach, ponieważ pan Kauffmann koniecznie chciał, żebym była poliglotką.

Tym razem sprawozdanie pana Kauffmanna przyjęto z umiarkowanym entuzjazmem. Przyznając, że poczyniłam „bezsprzeczne postępy”, głęby stwierdzały równocześnie, że

program nauczania „zawiera niejaki nieśpójności”, czasami nawet bywa „nieadekwatny”. A chodziło o to, że tym sztywnia - kom nie w smak był język potoczny, przekleństwa, starożytna greka, łacina i inne fantastyczne pomysły, którymi pan Kauffmann z upodobaniem doprawiał moją edukację. To nie będzie sprzyjało mojej „socjalizacji”, mówili. Niedługo miałam skończyć dziesięć lat. Im więcej czasu upływało, tym bardziej zastanawiająca stawała się moja izolacja. Dziwiło ich, że tą kwestią pan Kauffmann nie przejmuje się

bardziej

Nie spodobało się panu Kauffmannowi, że podważane są jego metody działania. Położył jednak uszy po sobie - wtedy potrafił jeszcze szukać porozumienia. Przyznał, że przez swoją miłość do języka niewątpliwie za daleko się posunął w poszerzaniu mojego słownictwa. Obiecał, że odtąd w rozmowach ze mną będzie używał wyłącznie języka „najczystszo i w pełni parlamentarnego”. Krótko mówiąc, spuścił z tonu i pokajał się. Tamci, jak sądzę, nie dali się zwieść, z zadowoleniem wszakże przyjęli jego skruczę. Zwłaszcza że dla świętego spokoju pan Kauffmann poczynił jeszcze jedno ustępstwo, bez którego znakomicie bym się obesła.

Pewnego popołudnia czekał na mnie po zajęciach re - edukacyjnych.

- Co pan tu robi?

- Przyszedłem ci zaproponować spacer.

- Spacer? To znaczy... w Centrum?

- Jasne, że w Centrum. Odprowadzę cię po prostu do pokoju. To co, zgadzasz się?

- Tak, oczywiście.

Nie mogłam odmówić, przecież to kilka dodatkowych chwil z panem Kauffmannem.

Szybko jednak przyszło rozczarowanie, gdy zdałam sobie sprawę, że zamiast pójść wewnętrznymi korytarzami, pan Kauffmann skierował się ku wąskiemu, ciemnemu podwórku, które przylegało do głównego dziedzińca. Miejsce to nie dość, że było ponure, to jeszcze panował w nim dziki hałas z powodu dzieci wrzeszczących w trakcie zabawy po drugiej stronie muru.

- Czemu tędy idziemy? To zapyziały ką.

- E tam, po co zaraz takie wielkie słowa? Mnie się tu podoba. No chodź!

Posłuchałam niechętnie. Niespecjalnie gustowałam w numerach takich jak ten, który mi wycinał. Kiedy doszliśmy do mojego pokoju, oświadczyłam:

- Beznadziejny był ten spacer. Muszę przyznać, że nie spodziewałam się tego po dżentelmenie takim jak pan.

Uśmiechnął się.

- Naprawdę mi przykro, że ci się nie spodobało, dziewczynko, zwłaszcza że zgodnie z planem jutro zrobimy to samo.

Już otworzyłam usta, aby zaprotestować, lecz nie dopuścił mnie do słowa:

- Nie próbuj się ciskać! Z góry uprzedzam: negocjacji nie będzie. Sprawa jest przesądzona. Pomówmy oczym innym.

Potrafił dowieść autorytetu, gdy było trzeba.

Niemniej początkowo przeżywałam to strasznie. Jak tylko wchodziliśmy na podwórko, zaczynałam rzeźić, zatykając uszy rękami. Pan Kauffmann wznosił oczy do nieba.

- Jak rany, nie wydaje ci się, że przesadzasz? Przestańże jęczeć! Idź dalej!

Mamrocząc ze złości pod nosem, posłusznie ruszałam i starałam się iść jak najszybciej.

- Hej, wolniej! Nie pali się!

Rzucalam mu mordercze spojrzenia, ale wyraźnie ani go grzały, ani ziębiły. Gotowałam się z wściekłości.

Któregoś dnia, udając obojętność, zwierzył mi się:

- Wiesz? Czuję się dotknięty, że nie sprawia ci przyjemności ten kwadrans przechadzki w moim towarzystwie.

- To o wiele dłużej niż kwadrans.

- Dwadzieścia minut.

- Dwadzieścia, jeśli się idzie szybko. A pan mi każe iść powoli, więc to trwa dwadzieścia dwie minuty.

- I w dodatku mierzysz czas!

- Dobrze pan wie, że lubię dokładność.

- Dwadzieścia dwie minuty, niech ci będzie. Dwadzieścia dwie minuty romantycznej przechadzki u mojego boku. Nie powiesz, że to przerasta twoje siły!

Zacisnęłam usta i nic nie powiedziałam.

- Poważnie, Lilu, tak dłużej nie może być. Chodź, usiądziemy na chwilkę na ławce. Musimy pogadać.

Ławka była jak to podwórko: zapyziała, przerdzewiała, z łuszczącą się zieloną farbą, która chrzęściła pod pośladkami.

- Posłuchaj - rzekł pan Kauffmann - wbrew temu, co sobie najwyraźniej wyobrazasz, nie zmuszam cię do tych spacerów, żeby ci zrobić na złość.

- Czyżby? Myślałam...

Westchnął.

- Jak wiesz, mój ostatni raport komisja przyjęła chłodno. Jej zdaniem nie poświęcam dość uwagi twojej socjalizacji. Znasz mój pogląd na tę kwestię. Oczywiście nie omieszkałem im tego przypomnieć... Ale to takie ograniczone towarzystwo! Nie mogłem liczyć, że zmienią zdanie.

- Nie powinien pan tak się wyrażać - szepnęłam, lękliwie wskazując kamerę zamocowaną na murze nad samą ławką.

Wzruszył ramionami i machnął ręką na znak, że gwizdże na to. Po czym mówił dalej:

- Postanowiłem więc, że rzucę komisji jakiś ochłap, który będzie wyglądał na ustępstwo: zaproponowałem tym kretynom, że codziennie będę z tobą spacerował blisko dziedzińca, żebyś przynajmniej przywykła do obecności innych, skoro nie chcesz między nich wchodzić... hałaśliwej obecności, muszę przyznać - westchnął, zerkając niechętnie w stronę dziedzińca. - Propozycja bardzo się spodobała komisji, która jest zdania, że taki rytuał może wygenerować w tobie duże postępy. Nie wyprowadzałem ich z błędu, jak się domyślasz. Na razie wszyscy są zadowoleni, a my możemy liczyć chwilowo na spokój. Oddać troszkę, żeby zachować dużo, taka jest zasada, rozumiesz?

W milczeniu pokiwałam głową. Strategia pana Kauffmanna była całkiem rozsądna, chociaż z trudem mogłam to przyznać.

- Czyli rozumiemy się, dziewczynko, tak? Odtąd codziennie wolnym krokiem, bez jęków i skarg będziesz szła wzdłuż tego cholernego muru przez dwadzieścia dwie minuty. W zamian spokojnie będziemy mogli robić swoje i żaden głąb nie będzie nam się wtrącał.

Znowu ze strachem popatrzyłam na kamerę. W głowie mi się nie mieściło, że pan Kauffmann tak mówi o członkach komisji, chociaż wie, że jest nagrywany.

- Nie przejmuj się tym - powiedział. - No to co? Zgoda?

- Zgoda.

- Ekstra! Chodźmy dalej. Czas najwyższy, łeb zaczyna mi pękać od tych wrzasków!

\*

Na dziesiąte urodziny dostałam od pana Kauffmanna busolę, bardzo stare i piękne cudo, które należało do jego pradziada. „Żeby ci pomogła odnaleźć właściwą drogę w życiu”, oznajmił, kładąc mi ją na dłoni.

- No wie pan? To taka wyświechtana metafora! Mógł pan wymyślić coś innego.

- Skoro jest wyświechtana, znaczy, że się sprawdziła - odparł z szerokim uśmiechem.

Ja także się uśmiechnęłam i dokładnie w tej chwili poczułam, żeśmy się naprawdę pojednali.

Odtąd już się nie krzywiłam na przechadzki z nim po podwórku - wolnym krokiem

dwadzieścia dwie minuty dziennie. Reszta w niczym się nie zmieniła. Jadłam na bezdechu. W lekcjach uczestniczyłam za pośrednictwem wideokonferencji, odrabiałam zadania. Słuchałam, jak pan Kauffmann gra dla mnie na wiolonczeli i mówi słowa, które zapamiętywałam. Biegałam po wielkim kręgodromie na szóstym piętrze podziemnym. Skrupulatnie wykonywałam ćwiczenia uelastyczniające palce. Z zaciśniętymi zębami pozwalałam się masować. Wciąż byłam mała i chuda, „kupka kości”, „chudzina”, jak mawiał Takano. Ale byłam silna i zdrowa. Nadal robiłam postępy. A dokąd zmierzałam, nie miałam pojęcia mimo busoli, którą podarował mi pan Kauffmann.

Po południu oglądałam filmy edukacyjne i dokumentalne, chroniąc oczy za ciemnymi okularami. Ekran w moim pokoju nadawał je przez cały okrągły dzień: o życiu zwierząt, wielkich odkryciach, tajemnicach głębin morskich, cudach natury, stu największych arcydziełach. Wszystko miało mnie przekonać o harmonii i pięknie świata. Ale nie byłam głupia. Wiedziałam, że świat wcale nie jest taki piękny. Ani wesoły, ani spokojny. Wiedziałam za sprawą ludzi w czerni, którzy wyważyli nasze drzwi i zabrali moją mamę. Wiedziałam za sprawą śmigłowców, które krążyły nad naszymi głowami, i obrazów, które czasami przemykały mi przez myśli. Krótkie jak mgnienie oka, złowieszcze. Nie miałam pojęcia, skąd się brały. Były i już, żywe, wyraźne. Więc niech mi tu nie wciskają głodnych kawałków o foczetach, Wenus z Milo czy lasach amazońskich. Czułam, że za tym wszystkim kryje się chaos.

Często mówiłam do mamy. Recytowałam jej wiersze o smutku i o miłości, wmawiając sobie, że mnie słyszy. Wciąż tak samo mi jej brakowało, z czasem nawet coraz bardziej. Od czterech lat już czekałam, aż zdecydują się powiedzieć, gdzie ona jest, co się z nią dzieje. Od czterech lat nic o niej nie wiedziałam. Nie do wytrzymania stawała się ta pustka wokół niej. Czułam, jak z każdym dniem nadzieja wycieka mi przez palce.

I to właśnie sprawiło, że przełamałam milczenie pewnego popołudnia, gdy szłam z panem Kauffmannem wzdłuż odrapanego muru małego podwórka.

- Chciałabym pana zapytać o... o coś.
- O co takiego, dziewczynko?
- Czy pan wie, co się stało z moją mamą?

Zastygł w miejscu.

- Pierwszy raz mówisz o matce - szepnęła dziwnym tonem.
- Wiem, ale... ale... muszę...
- Chodź, Lilu. Pogadamy o tym spokojnie.

Usiedliśmy na skrzywionej ławce. Zerknęłam ukradkiem na kamerę zawieszoną

dokładnie nad nami. Pan Kauffmann zachichotał.

- Już ci mówiłem, żebyś się tym nie martwiła.

- Ale...

- Wiesz, dlaczego wybrałem na nasze spacerowanie to zaprzyjaźnione podwórko? Właśnie dlatego, że wszystko jest tu zaprzyjaźnione.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc.

- Widzisz tamte kamery monitoringu? Kupę czasu upłynęło, odkąd wysiadły. A ta nad nami ledwie zipie: mikrofony ma badziewne, obiektyw zaświniony. Co oznacza, że niewiele rejestruje. Słowem, jesteśmy sami w tym zacisznym kąciuku, żaden kapuś ani zgred nas nie podsłuchuje. Prawdziwy luksus w dzisiejszych czasach. - Z zadowoloną miną skrzyżował ręce na swoim wydatnym brzuchu. - Jak więc widzisz, koniec końców temu miejscu nie brakuje uroku. - Spoważniał. - Wróćmy do tego, co ci leży na sercu, dziewczynko. Co chcesz wiedzieć o matce?

- Co się z nią dzieje i kiedy będę mogła ją zobaczyć.

Odchrząknął zakłopotany.

- Zobaczyć... Czy... czy pamiętasz ją?

- Sama nie wiem... Czasem wracają do mnie obrazy.

- Jakiego rodzaju obrazy?

Głos miał zmieniony, co mnie zaniepokoiło. - Trudno powiedzieć. Wszystko jest niewyraźne, takie zamazane.

Skrzywił się.

- Wie pan coś o mojej mamie?

Nie odpowiedział.

- Wie pan coś?

- To skomplikowane, Lilu...

- Co jest skomplikowane?

Otworzył usta, lecz zaraz je zamknął, jakby potrzebował jeszcze czasu, aby dobrać słowa. Po długiej chwili w końcu powiedział:

- Kiedy przywieźli cię tutaj cztery lata temu, nie podali żadnych informacji na temat twojej mamy. Ani nazwiska, ani wieku, nie zostawili nawet zdjęcia. Nie wiem, co się z nią stało, Lilu. Przykro mi.

- Nic pan nie wie!

Ze smutkiem pokręcił głową.

- Kilka tygodni po twoim przybyciu powiadomiono nas, że twoja matka została



pozbawiona praw rodzicielskich. Tylko tyle wiemy.

- Pozbawiona praw rodzicielskich? Co to znaczy? Pan Kauffmann na moment przytknął oczy. - To znaczy, że wszelkie prawne więzy między wami zostały zniesione. Oficjalnie nie jest już uważana za twoją matkę.

- Ale jak można zrobić coś takiego? To... to niemożliwe!

- To legalna procedura.

- Dlaczego to robią?!

- Nie wiem, Lilu. Nic nie wiem.

- Więc jak ją odnajdę?

Pan Kauffmann ze smutkiem na twarzy pokręcił głową na znak bezsilności. Nie przestawałam powtarzać: „Niemożliwe, niemożliwe” i naprawdę nie mogłam w to uwierzyć. Oznaczało za dużo nieszczęścia, za dużo rozpaczy. Powyżej pewnego progu przestaje się wierzyć - ludzka rzecz, prawda? Kiedy tak powtarzałam: „Niemożliwe, niemożliwe”, czułam, jak powstaje we mnie pustka, rozrasta się i z wolna wchłania moją pierś, absorbując materię, z której byłam zbudowana. Wkrótce wszystko pożre, miałam pewność, lecz było mi to obojętne. Nie chciało mi się już dalej żyć.

Zaczęłam się podnosić z ławki.

- Hola, dziewczynko, nie tak szybko! Jeszcześmy nie skończyli.

Pokręciłam głowę.

- Dla mnie to koniec.

- Nie poddawaj się.

- Czemu nic mi pan nie powiedział o mamie?

Nie odezwał się. Wyglądał na zdenerwowanego.

Zobaczyłam naraz, że maca się po kieszeni kamizelki i wyciąga z niej malutką buteleczkę, szybko odkręca i podnosi do ust. Opróżnił ją duszkiem. Następnie z powrotem zakręcił i schował do kieszeni. Siedział potem chwilę w milczeniu zapatrzony przed siebie. W końcu odwrócił się do mnie smutno uśmiechnięty.

- Sądziłem, że całkowicie ją zapomniałaś. Wszyscy tak sądzili. Dzieci na ogół zapominają, w każdym razie te, które są tutaj. Ale ty nie jesteś taka jak inne. Powinienem być o tym pamiętać: nie jesteś taka jak inne.

- Wie pan co? Chyba nie mam odwagi ciągnąć tego dłużej. Skoro nie mogę jej zobaczyć, szkoda czasu.

- Nie powinnaś tak mówić.

- Ale taka jest prawda. Lubi pan przecież prawdę, co? Oto ona: nie dam rady.

Znów na kilka chwil przymknął oczy.

- Może jest rozwiązanie.

- No przecież dopiero co powiedział pan, że nic się nie da zrobić!

- Teoretycznie tak, w praktyce... - Poklepał pustą buteleczkę w kieszeni. - Jeśli dobrze poszukać, zawsze się znajdzie sposób, żeby obejść zakazy.

- Chce pan powiedzieć, że... że mimo wszystko byłaby jakaś możliwość odszukania mojej mamy?

Pokiwał głową.

- Wiesz, znam różnych ludzi. Ludzi, którzy mogliby nam pomóc. Tylko... nie teraz. Póki mieszkasz w Centrum, nic się nie da zrobić. Za mocno pilnują. Ale przecież jesteś tu czasowo, Lilu. Kiedyś wyjdiesz stąd. Opuścisz Centrum i będziesz miała własne życie. I jeżeli wtedy nadal będziesz chciała się dowiedzieć, co się stało z twoją matką, jeżeli nadal będzie ci na tym zależało, pomogę ci. Przrzekam. Pomogę ci.

Nie bardzo wiedziałam, czy mogę mu wierzyć. Może mówił to, by jedynie wzbudzić we mnie nadzieję i nie dopuścić, żebym rzuciła się z dachu wieżowca.

- Ufasz mi, prawda? Wiesz, że nigdy bym cię nie okłamał?

Popatrzyłam mu w oczy, by wyczytać w nich, co faktycznie myśli, lecz nic to nie dało. Sama już nie wiedziałam, co myśleć. Ostatecznie odparłam: „Tak, ufam panu”. Dlatego, że w sumie to była prawda. I dlatego, że zawsze się wybiera wyjście najmniej rozpaczliwe.

Na początku bardzo się gryzłam z powodu matki. „Pozbawiona praw rodzicielskich”. Zastanawiałam się, co zrobiła, że tak ją ukarano, i wyobrażałam sobie napady z bronią w ręku, morderstwa, zamachy. Wszystko to jednak klóciło mi się z rzeczywistością - przecież była taka piękna, taki słodki miała głos. W końcu przestałam się nad tym zastanawiać; zasadniczo było mi to obojętne; była moją matką, koniec, kropka, i wiedziałam, że kiedyś ją odnajdę, nawet gdybym musiała czekać dłużej, niż przewidywałam. Oczywiście ciężko było myśleć o całej tej samotności, którą będę musiała znieść, zanim się z nią spotkam. Ale czułam, że stać mnie na cierpliwe czekanie.

Wróciłam do zwykłych zajęć: lekcje, spacer, posiłki, bezdechy. Od czasu do czasu pan Kauffmann pytał: „Wszystko gra? Trzymasz się?”. Odpowiadałam: „Tak, w porządku”. W pewnym sensie była to prawda, ponieważ wiedziałam przynajmniej, na czym stoję. „Pamiętaj o mojej obietnicy - mówił. - Nie poddawaj się”.

Kochany pan Kauffmann. Teraz, gdy już rozumiem, na jakie ryzyko gotów był się poważyć dla mnie, kocham go jeszcze bardziej niż przedtem, jeśli to możliwe. Byliśmy poniekąd spiskowcami, a mnie dobrze robiła świadomość, że dzielę z nim tak znaczącą

tajemnicę.

Trzeci rok programu przyniósł wielką zmianę. Pewnego dnia pan Kauffmann wkroczył do mojego pokoju, pchając przed sobą skrzynię na kółkach.

- Co to jest? - zapytałam.

Usiadł na łóżku z tajemniczą miną i uroczystym gestem podniósł wieko skrzyni.

- Chodź zobaczyć, dziewczynko.

Podeszłam do niego.

- Na to się mówi „książki”. Zobaczysz, nie będziesz mogła się od nich oderwać.

Uniosłam sceptycznie brwi. Gadanie, wcale to nie wyglądało zachęcająco. On tymczasem wydawał się bardzo podekscytowany. Wziął do ręki jedną i podniósł ją do moich oczu.

- Patrz dobrze, Lilu.

I nagle zobaczyłam, że książka się otwiera w jego rękach, rozpada na kartki cienkie, miękkie i ruchliwe.

Była niczym kwiat, który rozkwitł raptownie, niczym ptak, który rozłożył skrzydła.

- Zatkło cię, co?

Nie odpowiedziałam. Patrzyłam na jego grube palce, którymi przerzucał kartki pokryte czarnymi znakami i kolorowymi plamami.

- No co, zapomniałaś języka w gębie?

- Mówi pan, że jak to się nazywa?

- Książka. Używało się ich przed grammabookami.

- A... co tam jest napisane?

- To zależy od książki.

Otworzyłam szeroko oczy. Nic nie rozumiałam.

- Zaraz ci wytłumaczę: widzisz, w grammabooku masz czysty ekran, na którym się wyświetla wybrany przez ciebie tekst. Książka składa się z zadrukowanych kartek. Kiedy tekst się na nich znajdzie, niczego nie można zmienić. Słowa są trwale zapisane na ich powierzchni. Chodź, dotknij.

Położyłam rękę na kartce. Pomacałam, potem palcem wskazującym podrapałam lekko litery. Pan Kauffmann mówił prawdę: były jak uwięzione.

- Tego się nie da skasować?

- Nie, to nieusuwalne. Nic się z tym nie da zrobić. I to jest właśnie najlepsze: razem z książką masz na zawsze tekst. Masz go naprawdę. Zostaje z tobą, nikt go nie może zmienić bez twojej wiedzy. W dzisiejszych czasach - dodał cicho - to naprawdę duży plus. *Ex libris*

*veritas*, dziewczynko. Z książek wyłania się prawda. Zapamiętaj: *Ex libris veritas*.

Nie rozumiałam, o co mu chodzi ani dlaczego przybrał taki uroczysty ton. Ale na wszelki wypadek pokiwałam głową. *Ex libris veritas*. W porządku, skoro tak mu zależy.

- Popatrz - ciągnął. - Kiedy skończy się czytać jedną stronę kartki, trzeba ją odwrócić i czytać po drugiej stronie. Bo jak strona się zapełni, potrzebna jest następna na dalszy ciąg tekstu.

- Dlatego tyle ich jest w jednej książce?

- Właśnie. - Wskazał skrzynię pełną książek. - Wybrałem ci kolekcję, która powinna cię zainteresować.

- Zostawi mi pan to wszystko?

- Tak, dziewczynko. Przynajmniej na jakiś czas. Musisz przecież mieć zajęcie.

- Nie prościej by było przesłać wszystkie teksty na mój grammabook? Zajęłyby mniej miejsca.

- Ha, ha, ha! Szybko się przekonasz, dziewczynko, że książki są o wiele wygodniejsze od gramma - booków. Można je czytać godzinami i oczy nie boją. To także duży plus.

Wzięłam pierwszą lepszą książkę z wierzchu, przerzuciłam parę kartek. Już miałam ją zamknąć, gdy na wewnętrznej stronie okładki zauważyłam nalepkę z takim oto tekstem: „Zadrukowany papier może zawierać substancje toksyczne i mikroorganizmy, które u osób wrażliwych mogą wywołać reakcje alergiczne, w tym zmiany chorobowe na skórze i zaburzenia oddychania. Zachować ostrożność. Nie zostawiać w zasięgu dzieci...” Daruję ci ciąg dalszy, znasz lepiej niż ja to ostrzeżenie ministerstwa.

- Co to znaczy? - zapytałam pana Kauffmanna.

Spurpurowiał.

- Właśnie miałem ci o tym powiedzieć. Nie zwracaj uwagi na te brednie, dziewczynko! To wszystko pieprzenie, głodne kawałki, które mają straszyć ludzi. A czemuż to? Ponieważ odnotowano kilka przypadków śmierci z powodu wstrząsu anafi - laktycznego i winę zrzucono na farbę drukarską albo na papier. Ostrzegają na wszelki wypadek. Niczego takiego nie udowodniono. Niemniej rozdmuchali sprawę, nastraszyli opinię publiczną i w efekcie uchwalili te pierdolone ustawy restryktywne. Fasolę z mózgu zrobili ludziom! - zaczął ryczeć. - Wprowadzili cenzurę pod pozorami przedsięwzięcia środków ostrożności!

Aż dygotał z oburzenia, twarz mu posiniąła. Nigdy go nie widziałam w takim stanie.

- Nic ci nie grozi, dziewczynko. Absolutnie. Mam nadzieję, że mi wierzysz?

- Pewnie, że panu wierzę - odparłam, żeby go uspokoić.

Ale ja, prawdę powiedziawszy, wcale nie czułam się uspokojona. Nalepka w

czerwonej ramce, z logo ministerstwa w prawym górnym rogu, robiła wrażenie. Z drugiej jednak strony nawet przez myśl mi nie przeszło, że pan Kauffmann mógłby mnie narażać. Dlatego, aby siebie przekonać, powtórzyłam:

- Oczywiście, że panu wierzę.

A on uśmiechnął się z wdzięcznością.

Odtąd nie rozstawałam się z książkami. W kieszeni zawsze miałam tomik w formacie in quarto, zgodnie z przepisami zabezpieczony przezroczystą koszulką. Otwierałam go, ilekroć znalazłam kilka chwil. Poświęcałam czytaniu wszystkie wolne godziny, godziny samotności, gdy czas niekiedy tak bardzo mi ciążył, że gdyby nie lektura, chyba bym nic nie potrafiła robić, tylko przełykać łyż.

Kiedy przeczytałam wszystkie książki ze skrzyni - bajki, powieści, albumy, kilka opracowań historycznych i socjologicznych, wiersze po łacinie i traktat na temat architektury - pan Kauffmann je zabrał i pożyczył mi inne. Pożarłam je z taką samą przyjemnością, tak samo gorączkowo. Nie wszystkie jednakowo mnie interesowały, lecz w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Właściwie poniekąd obojętna mi była treść książek. Szukałam w nich głównie władzy, jaką dawały. Dzięki nim mogłam się oderwać od życia. Zapominałam o Centrum, rządzącej w nim rutynie i o całości męczących ograniczeń. Zapominałam, że skonfiskowano mi mamę. Przebywałam gdzie indziej, daleko od tego świata, daleko od siebie. Czasem człowiekowi dobrze robi, gdy straci siebie z oczu.

\*

Jakże dziwnie jest myśleć, że kiedy ja zaczynałam się czuć naprawdę lepiej, po cichu szykował się upadek pana Kauffmanna.

Sądzę, że wszystko się zaczęło od książek. Głębom się to nie spodobało z powodu potencjalnego zagrożenia dla mojego zdrowia. Akurat wtedy władze zarządziły pierwszą zbiórkę książek należących do osób fizycznych, na pewno to pamiętasz. Te osły patentowane orzekły, że ministerstwo może uznać działania pana Kauffmanna za prowokację, i zażądały, by jak najszybciej odebrał mi książki. Wówczas po raz pierwszy tak otwarcie poddano krytyce jego metody.

Pan Kauffmann wpadł w szewską pasję. Huknął, że nie będzie słuchał niczyich rad: wie, co robi, ma swoje lata i ani myśli pracować pod dyktando bandy zakonserwowanych w rutynie, niedouczonej ciemniaków, cykorów, którzy przed byle gryzipiórką prężą się na baczność. I aby pokazać, w jak głębokim poważaniu ma ich zdanie, postanowił przyłożyć z grubej rury: na jedenaste urodziny podarował mi stare srebrne pióro, buteleczkę atramentu i ryżę papieru, który wyniuchał u antykwariusza w Zonie.

Tamtym nie przypadło to do gustu. Oni także, jak wszyscy, mieli swoją dumę. A pan Kauffmann radośnie ją podeptał; to musiało boleć. Do tej pory kładli uszy po sobie i raczej się nie sprzeciwiali. Ale nawet człowiek spokojny i grzeczny może mieć w końcu dosyć przelżykania gorzkich pigulek.

Nigdy nie poznałam wszystkich okoliczności tego, co się stało. Ilekroć próbowałam wyciągnąć coś z Fernanda, zawsze się wymigiwał od odpowiedzi. „Po kiego grzyba chcesz w tym grzebać? Co się stało, to się nie odstanie. Zapomnij i idź dalej, Lilu”. Sztampowe teksty, z których się korzysta, żeby nie przywoływać przykrych wspomnień. Biedny Fernand! Bóg jeden wie, co by mu groziło, gdyby przerwał znowę milczenia, która otacza tę sprawę.

Ja zupełnie nie podejrzewałam, co się dzieje. Co prawda od czasu do czasu panu Kauffmannowi wymykała się jakaś uwaga wyraźnie świadcząca, że jego stosunkom z komisją daleko do doskonałości, tak często jednak słyszałam, jak jej członków, te głąby, obdarza niepoehlebnymi epitetami, że nie zwracałam na to uwagi. Znakomicie ukrywał swoje rozgrywki. Do samego końca mnie chronił.

Trzeci rok jego programu minął bez ustępstwa choćby na cal z jego strony. Komisja ponownie wyraziła zastrzeżenia. Dał jej do zrozumienia, że może się wypchać.

Pewnego ranka przyszedł z dość przystojnym młodym mężczyzną, który patrzył na mnie bez uśmiechu. Co mu strzeliło do głowy, żeby mi przyprowadzać tego faceta? Zmarszczyłam brwi i natychmiast nałożyłam ciemne okulary. Pan Kauffmann udawał, że nic nie zauważa.

- Lilu, przedstawiam ci Fernanda. - Po czym zwrócił się do mężczyzny. - Fernandzie, poznaj Lilę.

Nieznamy się uśmiechnął.

- Miło mi - powiedział, wyciągając do mnie rękę.

- Pan Kauffmann pewnie pana nie uprzedził, że nie mogę ścierpieć kontaktu fizycznego z ludźmi - rzekłam cierpko, patrząc na zawieszoną w powietrzu dłoń jak na coś obscenicznego.

Uśmiech w jednej chwili znikł mu z twarzy, ręka opadła miękko wzdłuż uda. Do budy won, leżeć i ani mrumru, to cię oduczy podlizywania się.

- Nie zwracaj na to uwagi, Fernandzie - odezwał się pan Kauffmann. - Lila robi ci chrzest bojowy. Ale przejdzie jej. Szybko. Prawda, Lilu?

Najpierw odchrząknęłam, bo w gardle jakby mi siedział wielki kot, potem rzuciłam ponuro:

- Taaa, przejdzie. Tylko chciałabym, żeby mi to wyjaśniono.

- Proszę bardzo: otóż obecny tu Fernand został mi przydzielony do pomocy przy realizacji programu.

- Co to znów za bzdury?

- Hm... to nie bzdury. Komisja uznała, że w naszych kontaktach jest za dużo wyłączości.

- Gadanie!

Pan Kauffmann pokręcił głową.

- Wiesz, Lilu, długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że komisja tym razem ma słuszność: dla ciebie lepiej będzie, jak nauczysz się stykać z innymi ludźmi.

- Przypominam, że nie tylko pan jest w moim życiu! Stykam się z panem Takanem na codzienne oklepywanie, z tą facetką, która przynosi mi jedzenie, z idiotką, która dawniej pilnowała mnie na dachu i zagląda tu czasem, żeby opiewać piękno świata, poza tym...

- Lilu, tak czy owak nie mamy wyboru: komisja tak zdecydowała i musimy się podporządkować.

- Odkąd to pozwala pan tym tępakom dyktować sobie, co należy robić?

Pan Kauffmann się rozkaszał, a Fernand patrzył na mnie w osłupieniu. Naburmuszyłam się.

- Lilu - podjął pan Kauffmann spokojnie - w tym wypadku zgadzam się z komisją, zwłaszcza że pozwolono mi wskazać osobę, która razem ze mną będzie prowadziła dalej program. Wybrałem Fernanda. Całkowicie mu ufam.

- Zostawia mnie pan!

- Ależ skąd, dziecino! Ależ skąd!

Mógł sobie gadać, co chciał, nie byłam głupia.

- Będziemy się widywali co drugi dzień, Lilu. Będzie dobrze. Daję słowo, będzie jak dawniej.

- Pan naprawdę ma mnie za idiotkę!

Ależ byłam na niego zła, że taki jest spokojny i jakby obojętny na to, co nas spotyka.

Nachylił się.

- Spójrz na mnie, Lilu. Spójrz mi w oczy.

Zrobiłam, o co prosił. Zwrócona do niego twarzą wpatrzyłam się w jego szare oczy. Nie wyobrażasz sobie, ile zobaczyłam w nich smutku. Mimo luzackiego gadania i zgrywania twardego jemu także było bardzo przykro. Równie przykro jak mnie. Tylko że u niego koncentrowało się to w oczach.

- Zrozumiałaś?

Kiwnęłam głową. Wtedy się uśmiechnął.

Izaczęło się życie na pół gwizdka, czasy, gdy oboje staraliśmy się nadrabiać miną. Pan Kauffmann był zdania, że człowiek nie powinien się poddawać smutkowi: „Korzystajmy z chwil, które spędzamy razem, dziewczynko, i nie trujmy się niczym bez potrzeby”. Zrobiliśmy, jak mówił: rozkoszowaliśmy się każdą minutą. Pan Kauffmann przynosił mi książki, grał na wiolonczeli. Czasem szliśmy na dach i na wolnym powietrzu recytowaliśmy wiersze. Było niezupełnie tak jak dawniej, lecz mimo wszystko udało nam się przeżyć piękną wiosnę.

Z Fernandem na początku było dość trudno. Chociaż wiedziałam, że nie ma w tym jego winy, byłam zła, że zajął miejsce pana Kauffmanna. Dałam mu popalić - musiałam przecież wyraźnie okazać dezaprobatę. Kiedy przychodził, pozwalałam mu mówić. Ja usta otwierałam tylko, żeby ziewnąć, i to jak najhałaśliwiej. Albo wtykałam nos w książkę, którą trzymałam tak, by zasłaniała mi twarz. A on udawał, że niczego nie zauważa: gadał o tym i owym, a potem znowu o tym i owym. Krótko mówiąc, zapełniał ciszę. Czasem udawał zainteresowanie moimi książkami, kartkował je, włożywszy rzecz jasna rękawiczki ochronne. Obrzucałam go pogardliwym spojrzeniem z powodu tych rękawiczek. Moim zdaniem takie środki ostrożności były dosłownie śmieszne, czego nie omieszkałam zawsze dać mu do zrozumienia. Słowem, byłam wstrętą.

A Fernand wykazywał się cierpliwością, można powiedzieć nawet - stoicyzmem. Nie komentował, nie rzucał uwag. Udawało mu się jakoś okazywać zadowolenie na mój widok, co o czymś świadczy. W końcu zrobiło mi się go żal. No bo co by mi dało, gdybym go dalej dręczyła w ten sposób? Zaczęłam od rzucanych półgębkiem pojedynczych słów. Fragmentów zdań. Musiałam zachowywać ostrożność, dać sobie czas na przyzwyczajenie się do myśli, że jestem miła. I powoli lody puściły. Prowadziliśmy prawdziwe rozmowy. Nie było to nieprzyjemne, muszę przyznać. Fernand miał w sobie jakąś nadzwyczaj krzepiącą delikatność, cierpliwość i nijakość. Był miły, dyskretny itrochę mdły - ale kto by się nie wydawał mdły w porównaniu z panem Kauffmannem! Nie przeszkadzało mi to, przeciwnie. Doceniałam, że Fernand wie, gdzie jego miejsce, i trzyma się go. Czyli w tle. Tak było dobrze. Jednakże największą jego zaletą - tą, która ostatecznie pomogła mi go zaakceptować - był bezgraniczny podziw, jakim darzył pana Kauffmanna.

Lato minęło jak z bicza trząsał. Nadal niczego nie podejrzewałam. Żyłam spokojnie zamknięta w swojej bańce, dobrze chroniona przed światem. Nigdy dotąd pan Kauffmann nie był taki śmieszny, wesoły i bez troski. Można powiedzieć, że naprawdę się wykazał talentem aktorskim.



Pod koniec sierpnia jednak nareszcie oczy mi się otworzyły. Musiałam uznać fakty: coś w tym wszystkim nie grało. Pan Kauffmann bardzo się zmienił, mocno przytył. Nie dopinały się na nim te jego piękne haftowane kamizelki. Ale przede wszystkim pił, pił coraz więcej, i to w ogóle się z tym nie kryjąc. Zawsze miał przy sobie pięć, sześć buteleczek koniaku albo whisky pure malt w wewnętrznych kieszeniach palta. Wypijał je, kiedy byliśmy razem, zawsze każdą duszkiem, jakby od tego zależało jego życie. Potem siedział w milczeniu melancholijnie uśmiechnięty. Do szału mnie doprowadzało to świństwo, które w siebie wlewał ukradkiem.

- Czemu pan tyle pije? To zabronione i dobrze pan wie dlaczego: picie jest groźne dla zdrowia!

- Może, dziewczynko, może...

- Coś pana martwi?

- Nie, dziecko, wszystko w porządku.

- Nie lubię, kiedy mnie pan traktuje jak kretyn - kę. Przykro mi wtedy, przecież pan wie.

- Och, dziewczynko, nie mów tak! Naprawdę to nic poważnego. Dokuczają mi paru takich ćwoków z komisji. Ale nie przejmuj się, bywało gorzej! Niedługo wszystko się pouklada. Wierzysz mi, prawda?

Oczywiście chciałam mu wierzyć, bardzo na rękę byłaby mi świadomość, że nie ma powodu do niepokoju. Widząc go jednak takiego przygaszonego, podchmielonego, z podpuchniętymi oczami i wydętym brzuchem, nie potrafiłam się pozbyć uczucia, że jakieś zagrożenie czyha tużtuż, i słabo mi się od tego robiło. Nie mogłam znieść myśli, że pan Kauffmann znalazł się w niebezpieczeństwie. Ponieważ kochałam go. Ponieważ był moją jedyną nadzieją na odnalezienie matki.

- Wierzysz mi, prawda? - powtórzył.

- Pewnie.

Powiedziałam tak, bo zasadniczo nie miałam powodów mu nie wierzyć. Uśmiechnął się.

- Wiem, o czym myślisz. Nie martw się: cokolwiek się stanie, możesz na mnie liczyć. Wbij to sobie do głowy, dziewczynko: cokolwiek się stanie, znajdę sposób, żeby dotrzymać obietnicy.

Nadszedł październik. Z panem Kauffmannem było coraz gorzej: nadal tył, pił jeszcze więcej i bez przerwy jakby nigdy nic żartował. Ale ja już mu nie wierzyłam.

Pewnego ranka wszedł niespodziewanie do mojego pokoju i podał mi ciężką paczkę

przewiązaną wstążką.

- Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, dziewczynko!

- Ale przecież dzisiaj jest czwarty! Urodziny mam dziewiętnastego.

- Wiem, wiem, dziewczynko - odparł beztrząsco - postanowiłem jednak, że odtąd już nie będę składał życzeń urodzinowych w same urodziny. To najlepszy sposób, żeby niespodzianka była prawdziwą niespodzianką.

- Pan tak uważa.

- To jak? Odpakujemy prezent? - zapytał, jakby pilno mu było przejść do czego innego.

Postawiłam paczkę na biurku. Pomógł mi zdjąć opakowanie. W środku był stary słownik, wielki, tak ciężkiego nigdy nie miałam w rękach.

- Chciałem ci podarować nowszy, ale coraz trudniej znaleźć wydania papierowe odpowiedniej jakości. Ten jest z początku ubiegłego wieku. Bardzo przyzwoity. A popatrz, dziewczynko, jaka okładka! Pokryta prawdziwym galuchatem! Rybią skórą! Piękna oprawa. Bardzo droga. Umyślnie kazałem tak zrobić, żeby książka była wyjątkowa.

Musnęłam słownik opuszkami palców. Okładka była taka mięciutka, aż łzy mi napłynęły do oczu. Natychmiast nałożyłam okulary słoneczne - chwila nie była odpowiednia, żeby się rozklejać.

- Dziękuję panu.

Głos lekko mi drżał.

- To ja tobie dziękuję, kochana. Dla mnie to wielki zaszczyt, że spotkałem osobę tak wyjątkową i inteligentną jak ty.

Ten komplement był zdecydowanie najpiękniejszym prezentem, jaki od niego dostałam. Na szczęście okulary zasłaniały mi oczy.

- Dbaj o ten słownik, Lilu. Jest w nim wszystko. Wszystko, czego będziesz potrzebowała. I pamiętaj: jest twój. Nikt nie ma prawa ci go odebrać. Nikt, rozumiesz?

Nigdy nie słyszałam, żeby się wyrażał tak podniosłe, i naraz mnie to zaalarmowało.

- Proszę pana, co się dzieje?

- Ależ nic, dziewczynko! Po prostu w tym roku daję ci szczególny prezent i chcę mieć pewność, że docenisz jego wartość.

- Jak pan może wątpić!

- A masz busolę, którą ci podarowałem dwa lata temu?

Zmarszczyłam brwi.

- Naprawdę dziwny pan jest dzisiaj.

- Masz tę busolę?
- No pewnie, co za pytanie! Jest w szufladzie szafki nocnej.
- To dobrze, dobrze.

Popatrzyłam na niego zaintrygowana. Nie mogłam zrozumieć, co się z nim dzieje. Nie zdążyłam zapytać. Z trudem wstał z łóżka.

- Już pan idzie?
- Tak, pora na mnie.
- Proszę jeszcze trochę zostać!
- Przykro mi, dziewczynko, naprawdę nie mogę.
- Zobaczymy się pojutrze?
- Postaram się przyjść, ale nie wiem, czy mi się uda.

Chwiejnym krokiem ruszył do drzwi. Ze znużeniem w ruchach. Otyła postać starego, zmęczonego fauna. Serce mi się ścisnęło.

- Proszę pana, czy coś jest nie w porządku?
- Skądże, dziewczynko! Czemu miałoby nie być w porządku?

Popatrzyłam mu w oczy. Wiedziałam, że w nich się skupia jego smutek. I zobaczyłam, że kłamie. Nie powiem ci, co się wtedy ze mną działo - uczucia potrafią czasem narobić takiego zamieszania. Miałam ochotę rzucić mu się w ramiona, objąć go, zatrzymać, mówiąc: „Proszę, niech pan jeszcze nie idzie, niech pan jeszcze trochę zostanie”. Nie myślałam nawet wtedy o strachu przed dotykiem, o wstręcie, jaki bym poczuła w zetknięciu z nim. W głowie miałam tylko pragnienie, żeby został ze mną. On jednak szepnął:

- Do zobaczenia, Lilu.

Głosem bardzo spokojnym, bardzo miękkim i jakby zrezygnowanym.

To mnie obezwładniło.

- Do widzenia.

Kiwnął głową, raz jeszcze uśmiechnął się do mnie, po czym wyszedł. I tak zakończyła się nasza historia.

Po jego wyjściu spostrzegłam, że zostawił na łóżku swój haftowany szalik. Poskładałam go starannie i włożyłam do szuflady szafki nocnej, by oddać mu go, kiedy się zobaczymy.

Pan Kauffmann nie zdążył znowu mnie odwiedzić. Został odwołany ze stanowiska 15 października, kilka dni przed moimi dwunastymi urodzinami. Powiadomił mnie o tym Fernand z tą swoją żalowaną miną zbitego psa, jak zwykle przygarbiony, jakby dźwigał na ramionach cały świat. Powiedział mi wszystko - w każdym razie dosyć, żebym z grubsza

zrozumiała, co się stało: wotum nieufności przegłosowane przez komisję pod koniec sierpnia, potem na początku września wezwanie przed Wielką Radę i w końcu odwołanie.

- Czemu nic mi pan nie powiedział?

- Nie chciał, żeby ci o tym mówić. Kazał mi przyrzec.

- I to wszystko przeze mnie? Przez książki?

Pokręcił głową.

- To dużo bardziej skomplikowane.

- No to niech mi pan wytłumaczy!

- To trudne, Lilu. Nie jestem...

- Mam chyba prawo wiedzieć!

- Tu nie ma co tłumaczyć. Pan Kauffmann posunął się do granic w tym, co uważał za swój obowiązek w Centrum. Zaryzykował parę razy, pozwolił sobie na więcej, niż mógł... i już. Nie ma go.

- Zobaczę się z nim jeszcze? Czy to możliwe, jeżeli nie jest już dyrektorem?

- Nie wiem, Lilu. Naprawdę nie wiem.

Był smutny, wręcz posępny. Poczułam zimną strzałę przeszywającą mi pierś, bezlitosny grot. I w tejże chwili zyskałam pewność, brutalną i absolutną, że to koniec.

\*

Wieczorem wyjęłam z szuflady piękny jedwabny szalik i ukryłam w poszewce poduszki równiutko poskładany, płaski, niewidoczny. Nie chciałam, żeby rzucił się komuś w oczy, mogliby go bowiem skonfiskować. Byłoby to niesprawiedliwe, bo należał do mnie. Pan Kaufmann mi go podarował, dopiero teraz to rozumiałam: wraz ze słownikiem szalik był jego prezentem pożegnalnym.

Aresztowali go w domu 3 listopada. Fernand nie miał odwagi powiedzieć mi o tym. Dowiedziałam się z wiadomości krajowych. Pan Kaufmann był podejrzany o handel narkotykami i o „działalność wywrotową”. Przywoływano także jakąś aferę obyczajową z udziałem byłych pensjonariuszy Centrum. Brednie.

Otej sprawie rozpisywano się przez blisko miesiąc. Co dzień wychodziła na jaw nowa porcja podłych oskarżeń, skandalicznych szczegółów. Twierdzono na przykład, że pan Kaufmann fałszował rachunki

Isprzeniewierzył ogromne sumy z funduszy Centrum. Pisano, że był narkomanem i wielkim miłośnikiem artykułów spożywczych objętych zakazem sprzedaży. Otyłość była jakoby najlepszym dowodem jego zepsucia. Krytykowano nawet jego ekscentryczne stroje.

Wszystkie szuje zgodnie świadczyły przeciwko niemu: pracownicy Centrum, których

zwolnić, zawistni koledzy, hipokryci i frustraci. Do studia telewizyjnego sprowadzili nawet jego gosposię, wylęknioną dziewczynę z Zony, którą przez ponad kwadrans obrabiali, aż z przerażeniem w głosie wyszeptała: „No, to prawda, że pił. Chociaż mówiłam mu: «Proszę pana, nie powinien pan». Ale on pił”.

Po czym nagle, z dnia na dzień, „sprawa Kauf - fmanna” zesła z afisza. Już nie było czym podsycać skandalu. Ludzie się znudzili. Przeszto o niej mówić; tylko w wiadomościach rzucano dwa, trzy zdania informujące, że śledztwo trwa.

- To oznacza, że niczego nie zdołali mu udowodnić - wytłumaczył mi Fernand. - Inaczej już dawno by go postawili przed sądem.

- Czyli uwolnią go!

- Możliwe. Tyle że wymiar sprawiedliwości nie zostawi go w spokoju. Dochodzenie będzie się ciągnęło latami i przez cały ten czas podejrzenia będą na nim wisiały. Pan Kauffmann jest skończony, Lilu. Skończony.

Pana Kauffmanna na początku grudnia zwolniono z aresztu za kaucją i nałożono na niego areszt domowy w jego mieszkaniu na wyspie Cité z zakazem przyjmowania gości i komunikowania się ze światem zewnętrznym. Mimo pesymistycznej opinii Fernanda ja nadal miałam nadzieję.

Pewnego dnia do mojego pokoju bez uprzedzenia wszedł jakiś facet, pracownik Centrum. Pchał skrzynię na kółkach. Kiedy zobaczyłam, że nałożył rękawiczki ochronne, natychmiast zrozumiałam, jaką parszywą robotę polecono mu wykonać. Nie pozwoliłam się onieśmielić.

- Czego pan tu szuka?

Zawahał się i po chwili, jakby odrobinę zażenowany, mruknął cicho:

- Przyszedłem po książki byłego dyrektora. Na polecenie komisji.

Podszedł do biblioteczki i zaczął zdejmować książki ustawione na półkach.

Zdarzają się chwile, kiedy trzeba przemóc w sobie wstręt. Pogodzić się z bezpośrednim zwarem dla dobra sprawy. I kopać, gryźć, bić. To właśnie zrobiłam: rzuciłam się na niego. Broniał swoich książek zębami i pazurami. Odwrócił się, chciał mnie powstrzymać, lecz pokazałam, co potrafię, i paznokciami rozorałam mu twarz. Biedak, zdrowo go poturbowałam. Niezbyt poważnie, ale jednak: parę siniaków, rozcięta warga i cała facjata podrapana. W zeznaniu znajdującym się w aktach stwierdza, że zaskoczyła go moja siła fizyczna; nie spodziewał się jej po tak niskim i wątłym dziecku. Oczywiście szybko sobie ze mną poradził: przytrzymał mi ręce i przygniótł mnie do podłogi, a ponieważ nie przestawałam się szamotać z krzykiem, wezwał ochronę.

Mięśniaki zjawiły się w trymiga. We trzech musieli mnie trzymać. Ich ręce na moich gołych ramionach, ich pięści zaciśnięte jak imadła na moich kostkach, ich pot, ich oddech... żołądek mi wywróciło. Ale nie miałam czym wymiotować, więc tylko czekałam. To ich rozbawiło.

Oni mnie trzymali, a ten podrapany wziął się do roboty, nie tracąc nawet czasu na otarcie krwi, która mu spływała po policzkach. Wyraźnie chciał jak najszybciej zrobić swoje. Kiedy wrzucał książki do skrzyni, wrzeszczałam ile sił w płucach, wyzywając go od gnojów, śmieci, padalców i tym podobnych. Ulgi mi to jednak nie sprawiało. A on dalej zbierał książki. Czułam, że jest mu trochę wstyd, co niczego nie zmieniało. Kiedy na półkach nie został ani jeden tom, opuścił wieko skrzyni i popchnął wózek do drzwi. Wtedy jeden z ochroniarzy zwrócił mu uwagę:

- Jeszcze jedna jest tam.

Palcem wskazywał słownik na szafce nocnej. Próbując się wyrwać, krzyknęłam:

- Jest moja! Nie macie prawa jej zabrać!

Ochroniarze wybuchnęli śmiechem.

- No, no, panienska ma parę w płucach!

- To prezent! Nie macie prawa!

Podrapany bez słowa patrzył na mnie, trzymając rękę na klamce.

- Rusz tyłek! - warknął jeden z ochroniarzy. - Bierz, co masz brać, i spadaj. Mam dość tej żmii.

Tamten nie zareagował. Z zakrwawionymi policzkami, opuchniętą wargą wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem.

- No co się wygłupiasz? - huknęli ochroniarze.

Dalej nic nie mówił. A ja błagalnie powiedziałam:

- Bardzo proszę, niech mi pan zostawi ten słownik. Jest mój. To prezent, pan Kauffmann dał mi go na urodziny.

W tym wzburzeniu nie zdawałam sobie sprawy, jak absurdalnie brzmi moja prośba skierowana do człowieka, któremu kilka chwil wcześniej zdefasono - wałam twarz. Powtórzyłam:

- Bardzo proszę!

- Zamknij się! - uciszył mnie jeden z osiłków, zatykając mi usta dłonią tak mocno, że pierścienie na palcach poraniły mi wargi.

Podrapany wzdrygnął się ledwie dostrzegalnie. Jeszcze kilka sekund patrzył na mnie. Potem odwrócił się i otworzył drzwi.

- A książki nie zabierasz? - zawołali za nim ochroniarze.

- Mówi, że należy do niej.

- I co z tego?

- Polecono mi zabrać książki byłego dyrektora.

- No i?

- No i ona mówi, że ta jest jej. Nie zabieram.

- A ty jej wierzysz!

Znów popatrzył na mnie. Jęczałam z ręką osiłka na ustach pełnych krwi z rozciętych warg. Podrapany uśmiechnął się smutno.

- Taaa, wierzę jej.

Przymknęłam powieki na znak podziękowania. Kiwnął mi głową. I ciężkim krokiem wyszedł pochylony nad skrzynią, uwożąc w niej skarby od pana Kauffmanna.

Dwa dni później przyszedł Fernand. Bez słowa usiadł na łóżku. Minę miał stropioną.

- Jak tam twoje usta?

- Jak widać - odparłam, wskazując strupy na pokaleczonych wargach. - Ale chyba nie przyszedł pan po to, żebym o tym rozmawiać.

- To prawda,- Lilu, przyszedłem w innej sprawie. Mam dla ciebie dwie nowiny. Dobrą i złą.

Wcisnęłam na nos okulary słoneczne i usiadłam na drugim końcu łóżka.

- Dobra nowina jest taka, że komisja pozwala ci zatrzymać słownik. Z początku nie chcieli o tym słyszeć, ale zagroziłem, że zażądam dochodzenia w sprawie takiego a nie innego potraktowania cię przez ochronę. To im zamknęło usta. I proszę. Słownik zostaje u ciebie.

Odwrócił się do mnie, patrząc, jak zareaguję. Nie wiem, czego właściwie się spodziewał. Może myślał, że okażę radość, podziękuję mu. Ja jednak nic nie powiedziałam. Jakoś nie byłam w nastroju. Wiedziałam, że jest jeszcze druga nowina, niedobra, nowina, która na kilometr zalatywała klęską. Mierzyłam Fernanda wzrokiem przez kilka sekund, po czym odwróciłam oczy, wstrzymałam oddech i czekałam, odliczając.

Doszłam do czterystu dwudziestu siedmiu, gdy Fernand wreszcie się zdecydował ledwie słyszalnym głosem powiadomić mnie, że poprzedniego wieczoru pan Kauffmann zmarł na atak serca.

Znalazła go gospoia - siedział w fotelu z szeroko otwartymi oczami. Obok na okrągłym stolyczku stało pudełko z cygarami z przemytu, popielniczka pełna niedopałków, piękny kryształowy kieliszek z resztką wina oraz pusta butelka po ChasseSpleen rocznik

pięćdziesiąty czwarty. Z tego, co wiem, rocznik wyjątkowy. Ostatni przed zniszczeniem  
winnicy.



## *Lucienne*

Załamalam się. Zostawili mnie w spokoju, zmieniali tylko kroplówkę i od czasu do czasu wstawiali mnie pod prysznic. Nie reagowałam, kiedy byłam rozbierana. Lekarstwa czyniły mnie bezwolną. Wszystko było mi obojętne.

Fernand przychodził codziennie. Siadał przy łóżku i mówił, uważając na słowa. Nie słuchałam go. Pragnęłam trwać skupiona na sobie i na całym smutku, który tętnił mi w żyłach.

Pan Kauffmann przyszedł jednej nocy - to znaczy nie jestem pewna, że to był naprawdę on. Nie wiem, co się dzieje z człowiekiem później - mam na myśli: po śmierci. To metafizyczna kwestia, której nie zdołałam zgłębić i wyrobić sobie zdania na ten temat. Sądzę, że niczego nie można wykluczyć z góry. Może więc to był on. Bardzo bym chciała. Ale jeśli to nie był on, tylko wytwór mojej wyobraźni, nic nie szkodzi. Najważniejsze, że porozmawiał ze mną.

- Rany, dziewczynko, w jakim ty jesteś stanie! Zawiodłaś mnie, wiesz? Taka zawodniczka! No w głowie się nie mieści!

- Cierpię przecież.

- To żadne usprawiedliwienie.

- Bez pana straciłam wszelką nadzieję.

- A o matce myślisz?

- Bez przerwy, tylko co z tego? Teraz na pewno nigdy jej nie odnajdę.

Powietrze zawibrowało tuż przy moim uchu.

- Przykro mi, że tak szybko zapomniałaś o mojej obietnicy.

- Wcale nie zapomniałam, ale... jak pan się z niej wywiąże, skoro pan umarł?

- Och, dziewczynko, dziewczynko! Naprawdę słabo mnie znasz. Kiedy ci powiedziałem, że możesz na mnie liczyć, cokolwiek się stanie, nie rzucałem słów na wiatr, uwierz mi. Wziąłem pod uwagę wszystkie możliwości.

Poderwałam się nagle zwrócona w stronę jego niewidocznej postaci.

- Chce pan powiedzieć, że dotrzyma słowa, jeśli chodzi o moją mamę? Tak? Ze mi pan pomoże mimo... mimo wszystko? Niech pan odpowie! To chce mi pan powiedzieć? Ze dalej mogę na pana liczyć?

Na policzku poczułam tchnienie ciepłego oddechu, jakby pocałunku bez dotknięcia wargami, jedynie przytakującego. Uśmiechnęłam się wtedy, składając ręce. Nie była to modlitwa, tylko podziękowanie.

\*

Nazajutrz rano usiadłam na łóżku. Odłączyłam kroplówkę, którą mi wkłuto w zgięciu łokcia. Potem jednym ruchem odrzuciłam przykrycie i stanęłam - a właściwie spróbowałam stanąć. Utrzymałam się na nogach pół sekundy i padłam na podłogę. Cóż, jako powrót do życia nie wyglądało to olśniewająco, ale jak to się mówi: liczy się pierwszy krok. A on został zrobiony. Minęło półtora miesiąca od śmierci pana Kauffmanna.

Wróciłam do życia na tyle normalnego, na ile się dało: lekcje, spacer, reedukacja. Cierpiałam bardziej niż przedtem, gdy opłakiwałam jedną osobę. Teraz, gdy było ich dwie, zastanawiałam się, czy zdołam pomieścić w sercu żałobę po obu. Zaczynało mi być naprawdę ciężko z tym morzem łez, które bezgłośnie w sobie gromadziłam.

Kiedy przyszło do wyznaczenia mi nowego wychowawcy, wybór komisji padł na Fernanda. Mimo że wszyscy wiedzieli, iż był protegowanym pana Kauffmanna. Zawsze jednak skrupulatnie przestrzegał procedur, no i doskonale znał moją historię. Komisja zatem poszła po najmniejszej linii oporu: mianowała go moim wychowawcą w zamian za zapewnienie, że nie będzie się porywał na żadne „dziwactwa” w stylu dawnego dyrektora i pokieruje moją edukacją zgodnie z ortodoksyjnymi zasadami. Fernand uroczyście to obiecał i sprawa załatwiona.

Okazał się stały w zachowaniach: ostrożny, powściągliwy, dyskretny. Żadne tam fajerwerki, z tym że Fernand generalnie nie jest osobą, która by wzbudzała płomienne emocje. Codziennie przychodził po mnie i szliśmy na spacer po podwórku, jak kiedyś z panem Kauffmannem. Już mi to nie wadziło. Z czasem przywykłam do dziecięcych wrzasków - niesamowite, co znaczy przyzwyczajenie.

Stare kamery zastąpiono nowiuteńkimi, w sumie było ich dziesięć na całej trasie, przez co jeszcze bardziej żałowałam czasów, kiedy mogłam spacerować z panem Kauffmannem, jakbyśmy byli sami na świecie. Na szczęście z ławką nic nie zrobiono. Niekiedy przysiadaliśmy na niej z Fernandem, by pogadać o jakichś banałach. Bywało, że siedzieliśmy w milczeniu, wspominając pana Kauffmanna, choć nie przyznawaliśmy się do tego przed sobą. Zwłaszcza to nas do siebie zbliżało: te chwile milczenia i wspólny smutek.

Poza tym Fernand niezbyt się do mnie wtrącał, sprawdzał tylko, czy zażywam codzienną porcję leków - antyhistamin i lekkiego środka psychotropowego, jak wszyscy, odbywam jak należy reedukację i uczę się regulaminową liczbę godzin. Nie był to z jego strony brak zainteresowania, po prostu nie chciał się narzucać, zniechęcać do góry nogami ustalonego porządku. Wiedział, że niełatwo się pozbiierać po odejściu kogoś takiego jak pan Kauffmann. Szanował moją żałobę. „Jeśli będziesz mnie potrzebowała, jestem na

miejscu”. Dziękuję, Fernandzie, dziękuję. To miłe, ale prawdę mówiąc, potrzebuję przede wszystkim, żeby mnie zostawiono w spokoju.

Myślałam, że zawsze już tak będzie, taka rutyna jak w starym małżeństwie: Fernand na swoim miejscu, a ja zaszyta w swoim kącie i skrywająca smutek, jak tylko się dało. Aie Centrum jednego mnie nauczyło: że człowiek zawsze robi sobie złudzenia.

W pewien niedzielny poranek Fernand przyszedł szeroko uśmiechnięty.

- Chodź, Lilu, zabieram cię na wycieczkę.

Od razu pojęłam, że trzeba się mieć na baczności - normalnie Fernand nigdy się nie uśmiechał, toteż za tym musiało się coś kryć.

- Na wycieczkę? Jak to?

- Och, nie dyskutuj chociaż ten jeden raz. Weź płaszcz i chodź, dobrze?

Posłuchałam niechętnie. Wyczuwałam jakiś podstęp, lecz nie było jak się dowiedzieć, skąd wyjdzie cios. Windą zjechaliśmy do głównego holu. Byłam coraz bardziej spięta. Kiedy zdałam sobie sprawę, że Fernand zmierza do wyjścia, stanęłam jak wryta.

- Gdzie idziemy?

- Cóż, jak widzisz, wychodzimy z budynku.

- Pocięło pana?

- Oj, Lilu, zachowuj się!

Pokręciłam głową.

- Nie mogę wyjść.

- Ależ możesz!

- Jak mówię, że nie mogę, to nie mogę! Ludzie... na zewnątrz są ludzie. To... to niemożliwe!

- Posłuchaj, Lilu, nie ma powodu do paniki. Wahadłówka na nas czeka, zobacz, przy samym wyjściu. Wystarczy, że zrobisz kilka kroków, i będziesz bezpieczna. To tylko kilka sekund na chodniku. Nie mów mi, że to ponad twoje siły!

Pokręciłam gwałtownie głową.

- Nie, nie dam rady.

- Na pewno dasz radę!

- Odbiło panu! Chcę jakiś anksjolityk!

- Nie potrzebujesz leków. Zaufaj mi.

- Chcę zastrzyk!

- Bądźże rozsądna!

Wstrzymałam oddech i nałożyłam okulary słoneczne. Potem zamknęłam oczy, aby

usunąć ze świadomości widok Fernanda czekającego z naszymi identyfikatorami koło automatu przy wyjściu. Nie wiem, jak długo tam stałam, nie oddychając. Co najmniej cztery minuty. W głowie mi się kręciło. Już zaczynałam się czuć troszkę lepiej, gdy tuż przy moim uchu powietrze zawibrowało jak za pierwszym razem.

- No idźże, dziewczynko! Idź, do ciężkiej cholery!

- Chyba się pan pod tym nie podpisze?!

- Co mówisz? - zapytał Fernand.

- Ostrzegam: jeśli nie pójdziesz, dostaniesz kopniaka w tyłek! - ciągnął głos.

- Kurde, wpieprza mnie pan!

- Lilu! - zawołał Fernand zgorszony.

- Dobra, idę.

- No nareszcie! - rzekli obaj równocześnie.

Rzuciłam się biegiem - piętnaście kroków po chodniku - i wsunęłam się na tył wahadłówki. Fernand usiadł obok mnie, zachowując stosowną odległość. Umościłam się odwrócona do niego plecami, żeby wyraźnie zaznaczyć swoją dezaprobatę. I ruszyliśmy.

Wahadłówka miękko sunęła po asfalcie. Prawie wcale nie hałasowała. Czułam jednak bliskość chaosu: miasta, świateł, wymieszanych dźwięków. Słyszałam, jak ta wrzawa odbija się od szyb gotowa mnie zaatakować, i byłam przerażona.

- Uspokój się. Nie masz powodu się bać.

Ten zdrajca próbował teraz pozować na samarytanina. Słowo daję, czasem nauka idzie w las.

- Popatrz na mnie, proszę.

Obróciłam się do niego ze spojrzeniem ciemniejszym niż moje przydymione szkła. Uśmiechnął się.

- Nic ci nie grozi, naprawdę. Szyby są ze szkła pancernego. Wszystko ma zabezpieczenia. Nie trzeba się bać.

- Czemu mi pan to robi?

- Przestań zgrywać męczennicę!

- Nie odpowiedział pan. Czemu mi pan to robi?

- Posłuchaj - odparł z westchnieniem - kilka dni temu komisja mnie poinformowała, że życzy sobie, byśmy wrócili do socjalizacji.

Natychmiast się spięłam. Pokiwał głową.

- Tak właśnie myślałem... Powiedziałem, że nie będziesz za bardzo chętna, ale oni nie dopuszczają dyskusji: zażądali, żebyś szybko przywykła do kontaktów z innymi.

- Dlaczego tak się na mnie uwzięli?

- Musisz coś zrozumieć, Lilu: nie możemy pozwolić, żebyś dalej żyła prawie zupełnie odseparowana od świata. Później, kiedy opuścisz Centrum, możesz mieć przez to naprawdę duży problem. Ludzie są wszędzie, na ulicach, w metrze, będziesz musiała się onich ocierać, nie będziesz miała wyboru. Jak sobie poradzisz, jeżeli nie przygotujesz się wcześniej?

Popatrzyłam na niego, słowem tego nie komentując.

- Jeżeli nie wysilisz się choć trochę, nigdy nie będziesz gotowa - przekonywał Fernand. - I istnieje ryzyko, że nigdy nie dostaniesz zgody na wyjście.

- Chce pan powiedzieć, że mogą nie wypuścić mnie z Centrum, kiedy dorosnę?

- Owszem, Lilu. Bo czy będzie inne wyjście, jeżeli okażesz się niezdolna do życia w społeczeństwie?

Zimno mi się naraz zrobiło, gdy zrozumiałam coś oczywistego, czego dotąd nie zauważałam: wymagania komisji wcale się nie brały z jakiegoś odgórnego nakazu. Narzucał je po prostu świat. Jeżeli chciałam się starać w przyszłości o opuszczenie Centrum, by odnaleźć mamę, musiałam się z tym pogodzić: z lepkiem dotykiem, śmierdzącymi oddechami, niemiłym zaduchem, z całym tym wstrętnym obłapieniem, które pociąga za sobą życie w społeczeństwie. Jak mogłam myśleć, że zdołam tego uniknąć?

Drżącym głosem wyszeptałam:

- Nie chcę skończyć u czubków! Proszę, niech pan coś zrobi.

- Nie panikuj, Lilu. Znalazłem rozwiązanie, a raczej wyjście alternatywne. Przedstawiłem je komisji i dostałem zgodę.

- Na czym ono polega?

- Zabieram cię na lunch do mnie do domu. Lucienne, moja żona, bardzo chce cię poznać.

Czekała na nas w drzwiach. Dość ładna brunetka z ciepłym uśmiechem na bladych ustach, lecz taka chuda i o tak niezdrowym wyglądzie, że niewiele myśląc, wypaliłam:

- Ale pani źle wygląda!

- Lilu! - zawołał Fernand.

Lucienne uśmiechnęła się jednak.

- Daj spokój, Fernand. Sam często mi to powtarzasz.

Zaprosiła mnie do salonu, Fernand tymczasem udał się do kuchni, aby dokończyć przyrządzanie lunchu. Usiadłyśmy na rozłożystej kanapie. Na stojącym naprzeciwko fotelu drzemał wspaniały tęczowy abisyńczyko futerku pięknej, głębokiej fiołkowej barwy.

- Wabi się Pasza - uprzedziła moje pytanie Lucienne. - Pasuje do niego to imię.

- Pasza... - powtórzyłam.

Kot podniósł łebek i zatrzymał na mnie oczy koloru zielonej toni.

- Chyba go zaciekawiaś - zauważyła Lucienne. W tej chwili Pasza odwrócił pyszczek i na nowo umościł się w kąciku fotela.

Lucienne się zaśmiała.

- Czasem odnoszę wrażenie, że on wszystko rozumie i z jakąś przewrotną przyjemnością robi zawsze na przekór.

- To nie jest niemożliwe. Prowadzono badania, które miały wykazać, że zwierzęta modyfikowane genetycznie są inteligentniejsze. Gdzieś o tym niedawno czytałam.

- No tak - mruknęła Lucienne - postępu nie da się zatrzymać.

Fernand zawołał „Gotowe!” z kuchni, z której dochodziły aż do nas wonie czegoś pieczonego. Lucienne szepnęła:

- Przyrządził szaszłyki...

Zrobiło mi się niedobrze.

- Czy mogłabym otworzyć okno?

- Proszę, nie krępuj się. Mnie też jest za gorąco. Kiedy do pokoju napłynęło świeże powietrze, rozpraszając kuchenne zapachy, wyczułam, że jej ulżyło tak samo jak mnie.

\*

Jadłam jak zwykle, ze wstrzymanym oddechem. Lucienne natomiast z rozpaczą wpatrywała się w szaszłyk na swoim talerzu. Trzy dorodne szarańcze błyszczące od marynaty jakby się z niej naigrawały nadziane na szpikulec. Fernand położył jej dłoń na ramieniu.

- Kochanie, postaraj się, przecież wiesz...

Kiwnęła głową i zaczęła jeść, żując powoli, niemal jak w zwolnionym tempie. Starła się bardzo, wkładała w to wiele wysiłku, żal jednak było patrzeć, jak walczy z każdym kęsem.

Mimo to lunch upłynął bez przeszkód. Lucienne zadawała mi mnóstwo pytań: czy dobrze mi jest w Centrum, czego się uczę, jaki jest mój pokój... W pewnej chwili przyszło mi do głowy, że robi to dla odwrócenia uwagi, że to sposób, by nie musiała dokończyć lunchu. Ale nie, wydawała się szczerze zainteresowana mną.

Chętnie odpowiadałam, uważając, by nie powiedzieć nic przykrego o Centrum. Lepiej zachować ostrożność, na wypadek gdyby komisja zapragnęła przejrzeć nagrania. Poza tym przy Fernandzie i tak nie mogłam sobie pozwolić na gadanie, co ślina na język przyniesie. Wypadłam więc na zadowoloną ze swojego losu, pozytywnie nastawioną, jak to oni mówią. Później ja także zadawałam pytania, by sprawić wrażenie, że się interesuję. Okrasiałam je jednym czy drugim komplementem - zawsze to sprawia przyjemność i podsyca przyjacielską

atmosferę.

- Mają państwo piękne mieszkanie, naprawdę bardzo miłe.

- Owszem - przyznał Fernand. - Mieliśmy szczęście, zważywszy na listy oczekujących.

- Dzięki panu Kauffmannowi - dodała Lucienne. Przebiegł mnie dreszcz, Fernand odchrząknął.

Lucienne jednak, nie zwróciwszy na to uwagi, ciągnęła melancholijnie:

- Osobiście interweniował w Biurze Gospodarki Mieszkaniowej, pamiętasz, Fernand?

Był taki miły...

Ze spłoszoną nieco miną zamrugła nagle powiekami. Spytałam przejęta:

- Pani też знаła pana Kauffmanna?

- Tak, dobrze go znałam...

Fernand zerwał się od stołu.

- Przyniosę resztę. Lilu, możesz pójść ze mną? Potrzebuję pomocy.

Udałam się z nim do kuchni, a Lucienne została sama, zapatrzona w trzecią szarańczę, której nie tknęła.

Fernand układał na tacy kokilki z kremem owocowym. Patrzyłam na niego bez słowa, czekając na wyjaśnienia.

- Możesz wziąć łyżeczki z drugiej szuflady? Wyjęłam trzy łyżeczki i podałam mu.

- Dziękuję.

- Kazał mi pan przyjść do kuchni, żebym wyjęła trzy łyżeczki z szuflady?

Nie odpowiedział.

- Czemu ukrył pan przede mną, że Lucienne znała pana Kauffmanna?

Równiutko ułożył łyżeczki na tacy.

- Jak go poznała?

- Nie chce mi pan powiedzieć?

- Ależ nie mam nic przeciwko temu, Lilu. To żaden sekret ani nic wstydliwego. Tylko nie mam ochoty mówić o tym, kiedy Lucienne jest w pokoju obok. Ona... ona bardzo przeżyła śmierć pana Kauffmanna. Ciężko jej było w ostatnich miesiącach. Nie chcę, żeby znowu się tym truła, rozumiesz?

- Mimo wszystko pan powinien był mnie uprzedzić.

- Wiem, Lilu, wiem. Porozmawiamy o tym później, dobrze?

- W porządku. Może być później.

Całe popołudnie przegadaliśmy jakby nigdy nic. Pohamowałam się i nie zadałam

Lucienne pytań, które we mnie buzowały - wszystkiego dowiem się później od Fernanda. Lucienne wyglądała na zmęczoną, lecz szczęśliwą. Od czasu do czasu mówiłam coś, co pobudzało ją do śmiechu. Dziwne były te wybuchy śmiechu na całe gardło, uciecha, która na moment zmieniała ją nie do poznania. Nie bardzo rozumiałam, co powiedziałam tak zabawnego, toteż czułam się odrobinę stropiona. Fernand wydawał się zachwycony.

Kiedy koło siedemnastej zaproponował, że mnie odwiezie, poczułam ulgę. Wykończyły mnie te socjalizacyjne starania; potrzebowałam samotności. Przed samym wyjściem spytałam Lucienne:

- Może mi pani powiedzieć, gdzie jest sracz?

Znowu się roześmiała w głos. Tym razem także się zdziwiłam, nie chciałam już jednak drążyć tematu, byłam zbyt zmęczona. Lucienne się śmiała, Fernand więc odpowiedział:

- W korytarzu ostatnie drzwi po lewej.

Trafić do ostatnich drzwi po lewej to nic trudnego. Nie wiem, co mi się stało, pewnie wszystko z powodu zmęczenia: dotarłszy do końca korytarza, otworzyłam drzwi po prawej.

Zobaczyłam bładożółty pokoik z białą kołyską pod przezroczystym pokrowcem, niskie krzeselko z jasnego drewna również osłonięte pokrowcem, stolik do przewijania, półki zastawione dziecięcymi akcesoriami - szczotka, butelki, waga, termometr przykładany do czoła, wszystko sterylnie zapakowane. Naprawdę dziwne to było, prawie niepokojące, te pokrowce na meblach, popakowane wszystkie przedmioty i kamera, która czuwała nad pustym pokojem.

Już miałam zamknąć drzwi, gdy w kącie zauważyłam wiolonczelę opartą o ścianę. I w tejże chwili wyczułam czyjaś obecność. Odwróciłam się. Ujrzałam Fernanda.

- Chyba... chyba się pomyliłam.

- Tutaj - odparł krótko, wskazując drzwi naprzeciwko.

\*

Potem na szczęście już nie zwlekaliśmy. Dłużej chyba bym nie wytrzymała. Kiedy Lucienne wyciągnęła do mnie chudziutką dłoń, odruchowo się cofnęłam.

- Wolę pani nie dotykać, jeśli można.

- A tak, prawda. Fernand mi powiedział, ale zapomniałam. Wybacz.

- Nic nie szkodzi.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Do rychłego zobaczenia, mam nadzieję.

I wtedy przyszedł Pasza, nonszalancko kołysząc puchatym ogonem. Popatrzył na mnie



tymi swoimi oczyskami barwy toni, później niespiesznie podszedł i otarł mi się o nogi. Na nagiej skórze poczułam miękki, jedwabisty dotyk, bardzo bulwersujący.

- Wygląda na to, że uznał cię za swoją! - zauważył Fernand.

Jakby na potwierdzenie Pasza miauknął, tylko raz, po czym znowu przeszedł mi między nogami, wywołując na skórze strumyczki dreszczy. To był znak, lecz wtedy jeszcze tego nie wiedziałam.

W drodze powrotnej Fernand zapytał:

- I co? Zadowolona?

- Tak, dziękuję. Miła ta pana żona, ale naprawdę dziwna.

Uśmiechnął się.

- Chyba była szczęśliwa, że cię poznała.

Myślałam, że zaczniesz obiecane wyjaśnienia, jednakże umilkł po tych słowach i udawał, że interesuje go widok za oknem. Tłumiąc niecierpliwość, odczekałam chwilę, aż może się zdecyduje, wreszcie zagadnęłam:

- I co? Długo pan tak zamierza udawać? Mamy do pogadania o jakichś dwóch, trzech sprawach, pamięta pan?

- Tak, Lilu, pamiętam. Cóż, to proste: Lucienne tak jak ty była pensjonariuszką Centrum. Właśnie tam ją poznałem w czasach, gdy zajmował się nią pan Kauffmann.

- Lucienne była jego wychowanką?

- Powinienem był ci o tym powiedzieć. Głupi byłem, że tego nie zrobiłem.

Byłam zbyt oszołomiona, by jakkolwiek to skomentować.

- Lucienne miała duże problemy. Pan Kauffmann bardzo nam pomógł. Poruszył niebo i ziemię, żeby ją wypuszczono z Centrum. Bez jego interwencji nigdy by jej nie pozwolili wyjść.

- Chce pan powiedzieć, że nadal by była w Centrum?

- Nie... Komisja mówiła o skierowaniu jej do ośrodka psychiatrycznego.

Głos mu drżał, czułam, że jest bardziej wzruszony, niżby chciał.

- Pozwolili jej wyjść, ale ma problem, tak? Problem z życiem?

- Tak, Lilu. I to duży problem.

- Pan Kauffmann poprosił, żeby zajął się pan mną dlatego, że jestem podobna do Lucienne, prawda?

Fernand pokręcił głową.

- Myślę, że wybrał mnie, bo uważał, że jestem kompetentny. Nie sądzę, żeby Lucienne odegrała w tym większą rolę.

Dojechaliśmy na miejsce. Fernand wysiadł pierwszy i otworzył mi drzwi.

- Droga wolna. Chodnik pusty. Można iść.

Pognałam do wejścia - piętnaście kroków, tyle samo co przedtem - i wbiegłam do holu, zostawiając Fernanda, by załatwił formalności z automatem. Kiedy dołączył do mnie, spytał:

- Chcesz, żebym cię odprowadził do pokoju?

- Nie, poradzę sobie.

- No to do jutra.

- Do widzenia. I dziękuję za dzisiaj.

- Nie ma za co.

Ruszyłam do windy, lecz dodał jeszcze:

- Widziałaś pokój, prawda?

- To nie było umyślnie.

- Wiem, wiem. Nie robię ci wyrzutów. Ale skoro go zobaczyłaś, mogę ci powiedzieć: już dawno staramy się z Lucienne o dziecko. Bez efektów. Dlatego jest smutna. Chciałem, żebyś wiedziała o tym i zrozumiała ją, i wybaczyła jej, jeśli wydawała ci się... „dziwna”, jak powiadasz.

W milczeniu pokiwałam głową. Pomyślałam o tym pokoju. O pokrowcach jak całuny.

- Przykro mi, że wam nie wychodzi.

- Jeszcze nie wszystko stracone. Ciągłe mamy nadzieję, że się uda.

- Aha, to dobrze... Jeszcze chciałam o coś zapytać: ta wiolonczela...

- Należy do Lucienne. Prezent od pana Kauffmanna.

Bardzo mnie poruszyła informacja, że Lucienne była jego wychowanką, i przez cały wieczór nienawidziłam jej za to. Wiedziałam oczywiście, że nie ja jedna byłam w życiu pana Kauffmanna. Miał wielu podopiecznych przede mną. Zawsze jednak uważałam się za jego ulubienicę, ponieważ byłam naprawdę wyjątkowa. I nagle odkrywałam, że innych lubił tak samo jak mnie - przynajmniej jedną osobę, którą nauczył grać na wiolonczeli, podarował jej instrument - i trudno mi było się z tym pogodzić.

Zasnęłam tego wieczoru pogrążona w smutku i opanowana przez niedobre myśli, z mocnym postanowieniem, że moja noga więcej nie postanie w domu Fernanda.

Przez całą noc śniłam o panu Kauffmannie, o Lucienne. Byliśmy na dachu. Pan Kauffmann grał na wiolonczeli. Posadzka zarzucona była książkami, z których kartki ulatywały wraz z muzyką. A Lucienne się śmiała. Ja także. Rano już nie byłam zła.

Zrezygnowałam z nienawiści, wolałam zaakceptować Lucienne, na ile będę w stanie,

tak jak zaakceptowałam Fernanda przez wzgląd na pana Kauffman - na. Wiedziałam, że obydwójce pomogą mi zachować onim świeże wspomnienie - i szczęśliwe. Nie mogłam sobie pozwolić na trwonienie czasu na zazdrość.

W następnych miesiącach kilka razy byłam u Fernanda i Lucienne, która zawsze serdecznie mnie witała, pamiętając, że nie znoszę dotyku. Fernand często zostawiał nas we dwie, żebyśmy się czuły swobodniej. Nie byłam głupia i domyślałam się, że później przegląda nagrania. Lucienne prosiła, żebym opowiadała o moim życiu w Centrum, pytała, co czytam, czego się uczę. Ja z kolei domagałam się, by grała mi na wiolonczeli. Jej muzyka często była smutna, lecz nie działała przygnębiająco.

Nigdy nie rozmawialiśmy o panu Kauffmannie. Mimo to był z nami; czułyśmy go obydwie i ta świadomość zbliżała nas, zamiast rozdzielać.

Zaczęłam bywać u nich coraz częściej: najpierw dwa razy w miesiącu, potem trzy, w końcu co tydzień. Nie bałam się już wyjść na chodnik. Nie bałam się przejazdu. Udawało mi się nawet wyglądać na miasto przez szybę w tylnych drzwiach, patrzeć na pomniki, ulice, ludzi, drzewa. Był to ogromny postęp. Czasami po wyjściu z wahadłówki Fernand zabierał mnie na krótki spacer. Kilkadziesiąt metrów najwyżej. Były na mnie wtedy poty, serce mi waliło, ale dzięki temu przywykałam.

Strażniczka budynku była chimera o odrażającym wyglądzie, nadzwyczaj niezgrabną. Jak tylko wchodziliśmy do holu, natychmiast się objawiała. Można by sądzić, że nas śledziła albo była zdolna wyczuć naszą obecność - z tymi istotami wszystko jest możliwe. „Staraj się nie patrzeć jej w twarz - uprzedził mnie Fernand. - Jest bardzo drażliwa”. Nakładałam więc zawsze okulary słoneczne i spokojnie szliśmy do windy odprowadzani inkwizytorskim spojrzeniem dziwnej szantrapy.

Ledwie stawałam w drzwiach, uroczyście witał mnie Pasza, ocierając się kilka razy nastroszonym ogonem o moje nagie łydki. Lucienne i Fernand nie posiadali się ze zdziwienia. Pasza zwykle stronił od poufałości. Nie był stworzeniem szukającym pieśczołot. Tylko wobec mnie zachowywał się inaczej. Co nadzwyczaj mnie łechtało.

Lucienne lepiej wyglądała. Więcej jadła, przybrała trochę na wadze. Fernand mówił, że to dzięki mnie. Dużo się przy mnie śmiała, chociaż na ogół nie rozumiałam, co ją tak bawi, ale wcale mi to nie przeszkadzało, ponieważ w jej śmiechu nie było złośliwości, poza tym czułam, że dobrze jej to robi.

Z czasem Pasza zmienił kolor z fioletowego na cynobrowy, z cynobrowego na fuksjowy, z fuksjowego na pomarańczowy, z pomarańczowego na turkusowy, z turkusowego na cytrynowożółty. Lucienne odzyskiwała powoli apetyt, w oczach nabierała ciała. Niekiedy

powiadała nawet, że jest szczęśliwa. Życie Fernanda na powrót nabierało barw.

Ja również się zmieniałam. Rosły mi piersi i owłosienie, niepostrzeżenie nabierały kształtu biodra - co mnie zaskakiwało, nigdy bowiem na swoje ciało nie zwracałam szczególnej uwagi. Samo o sobie przypomniało niedługo przed moimi trzynastymi urodzinami. Nie jest przyjemnie stawać się kobietą, ponieważ tyle się wtedy zmienia.

Kilka tygodni później dostałam pierwszy sensor z tubką żelu hipoalergicznego. Prezent od Ministerstwa Zdrowia. Spytałam Fernanda:

- Naprawdę muszę z tego korzystać?

- Ależ nie, Lilu. To nie jest obowiązkowe. Tylko... powiedzmy... zalecane dla osobistej równowagi. Wiesz, niedobrze jest nie zaspokajać potrzeb seksualnych. Sensor może ci pomóc.

Problem w tym, że nie odczuwałam żadnych takich potrzeb, ani krzty pożądania. Nic a nic. Może wiązało się to z tym, że byłam za chuda, albo z tym, że niechętnie pozwalałam się dotykać, nie lubiłam jeść, wachać zapachów. Taka natura z całą pewnością nie sprzyja rozwojowi zmysłowości. W każdym razie jedno nie budziło wątpliwości: nie czułam zupełnie potrzeby korzystania z tego ich gadżetu, choćby był nie wiadomo jak delikatny i ergonomiczny. Jednakże nie powiedziałam tego Fernandowi. Gdybym mu się przyznała, gotów by postawić na nogi wszystkich psychiatrów i ginekologów chętnych natychmiast zbadać mój przypadek; jedni pochylaliby się nad moją przeszłością, drudzy nad moją waginą. Na samą myśl o tym dostawałam bólu głowy. O ileż prościej było wyglądać na normalną. W zamyśleniu popatrzyłam na sensor, po czym pokiwałam głową.

- Tak, ma pan słuszność. Skoro już dostałam tego szczęścia, że go mam, spróbuję. Głupia bym była, gdybym tego nie zrobiła.

Dla właściwej równowagi Ministerstwo Zdrowia zalecało dwa orgazmy tygodniowo. Skrupulatnie zastosowałam się do wytycznych - to znaczy udawałam, że się stosuję: z wyjątkiem dość przykrego łaskotania sensor ani mnie grzał, ani ziębił. Może nie dość się przykładałam, nie wiem. Tak czy owak dla mojego tyłka lepiej było, żeby nikt się w tym nie połapał. Już sobie wyobrażałam swoje kłopoty, gdyby zaczęli mnie podejrzewać o oziębłość płciową. Dlatego symulowałam. Trudne to nie było: wystarczyło naśladować to, co widziałam podczas lekcji wychowania seksualnego. Dwa razy w tygodniu kładłam się więc na łóżku w ciemnym pokoju. Dokładnie naciągałam na siebie przykrycie, by zyskać odrobinę intymności. Smarowałam sensor żelem. Włączałam go na maksymalną prędkość i do dzieła: dziesięć, piętnaście minut pojękiwania, dyszenia, a na koniec fenomenalny orgazm znakomicie odegrany i w całości sfilmowany przez kamerę na podczerwień zamontowaną w ścianie. W

sumie nie tak trudno jest zapewnić sobie święty spokój.

\*

Rok minął jak z bicia strzelił. Byłam szczęśliwa, że mogę co niedzielę odwiedzać Lucienne i Fernanda, szczęśliwa przede wszystkim z powodu ciepła, którym Lucienne mnie obdarzała. Już nie wyglądała tak mizernie jak w początkach naszej znajomości. Poprawiła się zdecydowanie i chociaż nadal była krucha i drobna, bezsprzecznie miała się o niebo lepiej. Nigdy jej śmiech nie brzmiał tak pogodnie.

Pewnej niedzieli po lunchu Fernand oznajmił:

- Lilu, chcemy się z tobą podzielić wielką nowiną! Lucienne, powiesz jej?

Lucienne zarumieniła się lekko, po czym, trzepocząc rzęsami, wyszeptwała:

- Będziemy mieli dziecko.

Dalej mówił Fernand:

- Psychiatrzy wreszcie wyrazili zgodę na poczęcie! W czwartek Lucienne idzie na usunięcie implantu.

Śmiali się razem, wymieniając pełne miłości spojrzenia. Dziecko. Po tak długim oczekiwaniu to była dobra wiadomość. Powinnam była się cieszyć razem z nimi. Tymczasem przeciwnie: ogarnął mnie straszny smutek. Nie pytaj dlaczego, nie potrafię wytłumaczyć. Może dlatego, że ich radość była zbyt widoczna, albo przez to, jak opiekuńczo Fernand obejmował ręką jej ramiona, albo przez to, jak ona dotykała jego dłoni, szepcząc „kochanie”, może, nie mam pojęcia - czy coś takiego w ogóle się wie?

Patrzyli teraz na mnie obydwój, czekając na moją reakcję. Chwila nie była odpowiednia, aby się bawić w smutasa, który psuje dobry nastrój. Wzięłam się zatem w garść i z przekonaniem w głosie powiedziałam:

- Wspaniała nowina! Tak bardzo się cieszę!

Widząc promienny uśmiech, jaki mi posłali, upewniłam się, że to był dobry wybór.

Później Lucienne zapragnęła pokazać mi pokój dziecka: kołyskę, akcesoria na półkach, kocyk, który własnoręcznie ozdobiła wyhaftowanym szlaczkiem z kwiatków i ptaszków. Chociaż z zapałem mówiła o całym wyposażeniu, zwracała uwagę, jaki pokój jest jasny, a wystrój elegancki, czułam się równie nieswojo jak za pierwszym razem. Wszystko było takie czyste, poukładane, zabezpieczone, że wydawało się nierzeczywiste i w pewnym sensie przygnębiające.

Przy kołysce zainstalowano drugą kamerę.

- System ochrony wewnętrznej - wyjaśniła Lucienne. - Dodatkowe zabezpieczenie. Dla dobra dziecka.

Pokiwałam głową.

- Nie zabraknie mu aniołów stróżów.

Uśmiechnęła się, po czym podeszła do przeciwnego rogu.

- Popatrz - powiedziała, muskając palcem klawisz na ścianie.

Izobaczyłam przesuwające się drzwi, za którymi kryła się wielka garderoba.

Podeszłam bliżej wzruszona.

- Och, wygląda na bardzo wygodną!

- Wygodną?

Zarumieniłam się lekko.

- To znaczy jest bardzo pojemna.

- Ano tak... pojemna.

Z podziwem oglądałam ją przez chwilę. Garderoba była naprawdę obszerna i piękna - z powodzeniem można by się w niej wyciągnąć na całą długość. Wydzielała delikatny, lekko perfumowany zapach zamkniętego pomieszczenia. Wykładzina na dnie wydawała się mięciutka. A jaki miły musiał panować w niej mrok po zasunięciu drzwi!

Zalała mnie naraz tak silna fala tęsknoty, że do oczu napłynęły mi łzy. Zaraz nałożyłam na nos okulary słoneczne. Lucienne niczego nie zauważyła, pochłaniało ją demonstrowanie mi śpioszków i kaftaników, które w przezroczystych woreczkach wypełniały półki. Nie słuchałam jej, zahipnotyzowana widokiem wnętrza garderoby, opierając się pragnieniu, by przykucnąć i ręką sprawdzić miękkość dna, wyciągnąć się na nim na chwilę, chociaż na krótką chwilkę, i w spokoju pomarzyć o twarzy mojej mamy.

Na łydkach poczułam naraz znajomą pieśczoć. Pasza wsunął się między moimi nogami, wmaszerował do garderoby i umościł się w głębi.

- Pasza! - krzyknęła Lucienne. - Pasza! Zmykaj!

Kot ani drgnął wpatrzony we mnie, w oczach miał niepokojące refleksy.

- Nie mam pojęcia, co go napada: ledwie otworzę garderobę, pakuje się do środka. No już, Pasza, idź stąd!

- Czemu nie pozwolisz mu zostać?

- W garderobie dziecka? Nie ma mowy! Wszędzie miałabym sierść! Pasza, uciekaj!

Pasza ani drgnął.

- No to został nam ostatni sposób - mruknęła Lucienne. I krzyknęła przez otwarte drzwi pokoju: - Fernand, możesz otworzyć puszkę dla Paszy? Znowu schował się w garderobie.

- Jasne! - odkrzyknął Fernand.

- Puskę? Po co?

- Tylko jedzenie potrafi stąd wywabić tego zwierzaka - wyjaśniła Lucienne, obrzucając Paszę zirytowanym spojrzeniem.

Z kuchni doszło nas pobrzękiwanie łyżeczki o metal. Kotu zdrząły uszy.

- Słyszysz, Pasza? Zarełko dają! No idź! - zachęcała go Lucienne, udając entuzjazm.

Paszy się nie spieszyło: podniósł się z wyniosłością na szpiczastym pyszczku, który zadarł wysoko, po królewsku, i ze zjeżoną sierścią nadęty powoli opuścił garderobę. Kiedy kroczył w stronę kuchni, Lucienne uruchomiła automatyczne zamykanie garderoby, mrucząc przez zęby: „Oszaleję przez tego zwierzaka!”. Teraz, gdy miała się starać o dziecko, chyba mniej była chętna do matkowania kotu.

\*

Lucienne poszła chwilę poleżeć na kanapie w salonie, ja tymczasem udałam się do kuchni po szklankę wody dla niej. Ledwie przekroczyłam próg, w nozdrza uderzył mnie zapach. Tak gwałtownie, tak niespodziewanie, że musiałam się oprzeć o framugę.

Z zamkniętymi oczami wciągnęłam go głęboko. To był ten zapach, bez cienia wątpliwości, zapach niezapomniany, doprowadzający powonienie do szaleństwa, zgniatający rozkosznie trzewia, wyciskający łzy. Myślałam, że przepadł już na zawsze, a tu nieoczekiwanie wracał do mnie z zamierzchłej przeszłości. Wyraźny. Niezmieniony.

- Źle się czujesz, Lilu? - spytał Fernand.

- Nie, nie, nic mi nie jest - wybełkotałam, starając się ukryć poruszenie.

I otworzyłam oczy.

Natychmiast go zobaczyłam na talerzyku stojącym na blacie: delikatny pachnący krążek. Tak, to on. Poznałam kształt, kolor. I zapach, który wprawiał moją pierś w stan ekscytacji - częstoskurcz jak w najlepszych czasach. Podeszłam blisko talerzyka, by lepiej go powąchać, i powiedziałam do Fernanda:

- Zapomniałeś go podać na lunch?

Na moment zastygł zdumiony, po czym wybuchnął śmiechem.

- Och, Lilu, naprawdę nie przestajesz mnie zadziwiać!

Wziął talerzyk i postawił na ziemi. Pasza natychmiast do niego podbiegł.

- Czemu... czemu taki dobry pasztet dajesz kotu?

Fernand podparty pod boki znowu się roześmiał.

- Lubię, kiedy stroisz sobie żarty. To znaczy, że dobrze się czujesz.

Wtedy dopiero zrozumiałam coś, o czym nie miałam pojęcia. Zachichotałam w odpowiedzi, ale zbyt nerwowo, żeby dało się to uznać za szczere. Nie zauważył niczego, i

dobrze. Omiotłam kuchnię wzrokiem w poszukiwaniu wskazówki. I spostrzegłam puszkę. Na szczęście Fernand akurat wkładał brudne naczynia do zmywarki. Nie widział mojej miny. Drżącymi rękami podniosłam puszkę. Nie było wątpliwości. Pamiętałam ten obrazek, jakże znajomy: zielone oczy, różowy pyszczek i popielata sierść. Tym właśnie karmiła mnie mama.

Puszka była opróżniona. Tylko na obrzeżu zostało troszkę galaretki z drobinami mięsa oderwanymi od bloku, który Fernand wyłożył na talerzyk. Ostrożnie przejechałam palcem po wewnętrznej ściance; następnie, zerknąwszy na Fernanda, czy aby na pewno stoi do mnie tyłem, podniosłam palec do ust. Nie potrafię opisać emocji, które we mnie wezbrały. O mało nie zemdlałam.

Odtąd myślałam o jednym: jak wyłowić ten nieporównywalny z niczym cudowny smak, którego tak mi brakowało, jak znowu go pokosztować. Był w zasięgu ręki: wystarczyło zwędzić konserwę u Lucienne i Fernanda. Nie odważyłam się jednak. Nie czułam się zdolna aż tak ryzykować. Żyłam więc ze swoją obsesją i tylko goszcząc u nich, zawsze zaglądałam do kuchni, by w przelocie powąchać talerzyk Paszy albo, jeśli się dało, wydrapać okruszki przyklejone do ścianek puszeki zostawionej na płycie ociekowej przy zlewie. Na swój sposób, w sekrecie i samotności, przeżywałam męki Tantala.

Lucienne zaszła w ciążę na początku wiosny. Zaraz mnie o tym powiadomili. Nie jest to zbyt rozsądne, lecz są tacy szczęśliwi, powiedzieli, i tak długo czekali. Zrobiłam to, co wypada zrobić w takich okolicznościach. Mianowicie rzekłam:

- Moje gratulacje! - I zaraz dodałam: - Nie ma nic piękniejszego od dawania życia.

Od dawna trzymałam ten frazes w rezerwie, aż nadarzy się okazja, aby go użyć.

Dopiero kiedy zasiedliśmy do stołu, uświadomiłam sobie, jak bardzo Lucienne się zmieniła. Nie było już młodej, delikatnej kobiety, która wmuszała w siebie jedzenie, z melancholijną miną wysysając odnoże szarańczy. Teraz jadła za czterech, dosłownie się obżerała, opróżniała talerz i żądała dokładki, mówiąc: „To dobre dla dziecka”. A Fernand nakładał jej bez sprzeciwu szczęśliwy, że tak się opycha, taki szczęśliwy, aż niedobrze się robiło.

Po lunchu Fernand jak zwykle zostawił nas na chwilę same w salonie.

- Widziałaś, ile zjadłam? - zapytała Lucienne z triumfem w oczach.

- Pewnie, że widziałam.

- Dla dziecka, żeby się dobrze rozwijało.

Pokiwałam głową, starając się zachować zyczliwą minę, chociaż wzbierał we mnie niewytłumaczalny wstręt. Siedziałyśmy naprzeciw siebie, ja w fotelu, ona na kanapie, promieniejąca i spokojna, obiema rękami obejmując brzuch. Wydawała się taka kwitnąca,



taka zadowolona, taka odległa. Uświadomiłam sobie naraz, że mniej ją lubię teraz, gdy jest szczęśliwa, i wstyd wywołany tą niedobłą myślą wzbudził we mnie jeszcze większy smutek i dotkliwsze poczucie osamotnienia.

Przez całe popołudnie Lucienne miała ochotę na grillowane tofu. Odkąd była w ciąży, miewała zachcianki.

- Myślałam, że w pierwszym trymestrze zawsze są mdłości - zauważyłam.

- Nie w przypadku Lucienne! - oświadczył Fernand takim tonem, jakby już samo to było wyczynem nie lada.

Zaśmiali się oboje. Tak ich cieszyły te „zachcianki” Lucienne, że zaczęli mi je po kolei wymieniać, truskawki i jabłka, krem ryżowy, wątroba wołowa, myślałam, że się porzygam. Ależ mnie wkurzali swoim uszczęśliwieniem i opowieściami o cynaderkach w papryce o trzeciej nad ranem! Czemu ja miałabym się zatem krępować? Czy oni czuli choćby cień skrępowania, robiąc mi to? Kiedy Fernand wstał, by w kuchni przygotować Lucienne grillowane tofu, udałam się za nim.

Konserwy stały w stosikach na dole szafki. Nietrudno było zabrać jedną i dyskretnie wsunąć pod sweter. Później udałam, że idę po chusteczkę do płaszcza, i wtedy ukryłam puszkę w kieszeni.

Kiedy wróciłam do salonu, miałam zarumienione czoło i trochę zdenerwowaną minę. Niczego nie zauważyli, Lucienne zbyt zajęta chrupaniem kostek tofu, Fernand zbyt zajęty wpatrywaniem się w Lucienne. Tylko Pasza utkwiał we mnie to swoje dziwne spojrzenie. Przez moment mi się wydawało, że on wie, lecz oczywiście niczego nie wiedział, tylko sobie to wyobrażałam. Odczekałam jeszcze kilka minut, aż Lucienne dojadła tofu, po czym rzekłam:

- Wybaczcie, ale czuję się zmęczona. Byłbyś tak miły i odstawił mnie już do Centrum?

Znalazłszy się w swoim pokoju, z trudem oparłam się chęci, by zaraz rzucić się na konserwę. Nie pilnowali mnie już tak mocno jak niegdyś, wiedziałam o tym od Fernanda. Już nie uchodziłam za niebezpieczną. Niemniej przypadkowa kontrola zawsze mogła się zdarzyć. Dlatego zaczekałam.

Po zgaszeniu światel wśliznęłam się pod łóżko z okrągłą konserwą ukrytą w fałdach koszuli nocnej.

Naciągnęłam na głowę kołdrę, potem ostrożnie pociągnęłam za jęczyczek na wieku.

Zaraz rozszedł się silny, niesamowicie poruszający zapach. Przestałam się hamować. Zanurzyłam palce w puszcze - zawartość była letnia i miękka - wyjęłam je unurzane w

pasztecie i wsunęłam do ust. Eksplozja smaku na języku, odurzenie, nieopisana rozkosz. Przełykając, przycisnęłam rękę do piersi. W środku czułam chaotyczny łomot, co najmniej sto trzydzieści uderzeń na minutę. Bałam się przez chwilę, że stracę przytomność, ale nie doszło do tego - serce miałam mocne. Ogarnęło mnie rozgorączkowanie. Chciałam więcej. Czułam się wyposzczona i rozplamiona jak przed spotkaniem po latach. Znów zanurzyłam palce w puszcze i dokładnie je wylizałam. Byłam na powrót niegdysiejszą dziewczynką skuloną w cieplej norce. Szlochałam z radości, ssąc palce, słone łzy mieszały się z pysznym smakiem wypełniającym mi usta. Osunęłam się potem bezwładnie.

Czuję głód. A ona śpi w dużym łóżku. Rozsypane włosy zasłaniają jej twarz. Jak dobrze byłoby ją zobaczyć po tylu latach. Mogłabym podejść, odgarnąć włosy i wpatrzeć się w nią, jednym gestem wymazać to skandaliczne zapomnienie. Ale czuję głód, on dominuje. Za mała jestem, by otworzyć szafkę. Nie ma żadnego stołka, na który mogłabym się wspiąć. Zbieram okruszki ze stołu. Podnoszę z podłogi wczorajszą puszkę i zdrapuję cienką warstewkę wyschniętą na ściankach. To mi pomoże wytrzymać.

Wreszcie otwiera oczy. Przezornie odczekuję chwilę. Póki nie obudzi się do reszty. Wiem, że potrzebuje czasu, aby się otrząsnąć z oparów snu. W brzuchu mnie skręca.

- Mama, chcę jeść.

Krzywi się.

- Ciszey, dziecko, łeb mi pęka.

Kiedy ma taką minę, trzeba uważać, wszystko może się zdarzyć. Boję się, że się rozzłości, jeśli będę nalegała, ale głód jest zbyt silny. Powtarzam: „Mama, jeść. Chcę jeść, mama”. I zwijam się w kłębek, czekając, co będzie.

Słyszę, że wstaje, nadal jednak tkwię skulona, rękami zasłaniając twarz. Ona nie lubi moich „oczu zbitego psa”. Bo ją wkurzają, wpieniają, jakbym czyniła jej jakieś wyrzuty. A przecież niczego jej nie wyrzucam. Nie bardzo rozumiem, co znaczy „oczu zbitego psa”. To moje oczy i już. Nie lubi moich oczu. Chciałabym mieć inne, tylko jak to zrobić? Zaciskam więc mocno powieki, kiedy przechodzi obok. Przede wszystkim muszę unikać jej wzroku.

Kiedy mnie minęła, zerkam przez szparkę między palcami. Jest goła, zatacza się, plecy jej okrywają długie włosy. Otwiera szafkę: „No nie, kurwa, skończyło się!”. Grzebie na półkach, mamrocząc niewyraźnie „cholerstwo jakieś”, i w końcu znajduje. Słyszę zgrzyt otwieranej konserwy, brzęknięcie metalu o porcelanę, gdy wrzuca wieczko do zlewu. Zanurza w puszcze łyżeczkę wziętą ze stołu, „masz, dziecko”, gładzi mnie po policzku, „nie jedz za szybko, bo brzusek będzie bolał”. Potem na powrót ucieka w ciężki sen.

W dobre dni mówi: „Chodź, kochanie. Chodź do mnie”. Ręką poklepuje miejsce na

łóżku obok siebie. Drepczę do niej z puszką w rączkach, siadam na skraju łóżka. Obejmuje mnie w pasie, przytula policzek do mojego biodra, a ja zajadam rozanielona, bezgłośnie płacząc, takie to dobre, taka jestem szczęśliwa, taka nasycona.

Opróżniwszy puszkę, kładę się obok niej i godzinami leżę bez ruchu, uważając, aby jej nie dotknąć. Nie przeszkodzić jej przypadkiem. Słucham jej równego oddechu. Grzeję się o dwa palce od jej ciała. Jak przyjemnie jest mieć ją tuż obok. Jeszcze zostało trochę czasu, zanim wstanie i pójdzie pracować.

Po przebudzeniu nie pamiętałam jej twarzy, chociaż ją przecież widziałam; śniłam o niej, to wystarczyło, żeby sobie poryczeć od serca. Wiedziałam, że to wszystko dzięki puszcze, którą nadal trzymałam w rękach, dzięki cudownemu smakowi, który wrócił do mnie z otchłani zapomnienia. Jasne, to było to. Dla sprawdzenia wylizałam resztki galaretki przyklejone do wieka, lecz nie było ich dosyć, aby ją sprowadzić znowu. Parę okruszków, choćby i łapczywie zlizanych, to zdecydowanie za mało.

Kiedy na języku wyczuwałam już tylko smak metalu, przełknęłam łzy. Nie ma co się męczyć, trzeba poczekać na następny weekend, na następną puszkę i liczyć na kolejny sen. Znowu trzeba poczekać. Tego się nie bałam, przywykłam przecież, poza tym, podobnie jak w odniesieniu do obietnicy pana Kauffmanna, byłam pewna, że się opłaci.

Zgniotłam puszkę na podłodze. Metal bez trudu się spłaszczył pod dłonią. Ukryłam wszystko za tekturową okładką opasłego słownika. Było to ostatnie miejsce, w którym by szukali. Za bardzo się bali książek.

W następną niedzielę znowu u nich byłam i w kolejne także. Lucienne miała się znakomicie. Nadal dużo jadła, już się mocno zaokrągliła, utyła wręcz, chociaż to był początek ciąży. Oboje z Fernandem demonstrowali swoje szczęście, naprawdę bowiem im zależało, żeby się nim ze mną podzielić, lecz to nie było takie proste. Dobrze, że był również Pasza ze swoim złotym futerkiem, które niczym jedwabiste słońce ogrzewało mi palce.

Pod koniec maja pierwsze badanie ultrasonograficzne nie wykazało nic nienormalnego. Dziecko rozwijało się dobrze, było na razie jak krewetka, duże na trzy centymetry, Lucienne jednak już widziała w nim doskonałość. Stale do niego mówiła, jakby mogło ją słyszeć, rozumieć nawet - taką głosiła teorię: mały rozumie wszystko, podziela wszystkie jej odczucia. Codziennie grała mu na wiolonczeli, instrument opierała na zaokrąglonym brzuchu i godzinami swą śliczną dłonią trzymającą smyczek wodziła po strunach, jej drobny przegub tańczył w świetle. Często powtarzała ze śmiechem: „Zrobię z niego muzyka”.

Upływały tygodnie, minął czerwiec i lipiec. Zaczynałam przywykać. Ich szczęście

mniej mi przeszkadzało. Chyba je nawet podzielałam.

Na każdą wizytę przynosiłam dobrze ukrytą w torbie pustą puszkę po ostatniej uczcie. Zawsze dyskretnie się jej pozbywałam, wrzucając ją do pojemnika na surowce wtórne, i przy okazji kradłam nową z szafki kuchennej. Wieczorem oddawałam się w samotności rozkoszy pełnej łez i błogiego zadowolenia. Potem mama wracała, zawsze w tym samym śnie, w którym siedziałam na brzegu łóżka. Czas spełnienia obietnicy nadchodził, byłam tego pewna; niedługo wszystko mi wyjawia.

W niektórych starożytnych mitach mówi się o tym, że bogowie nie mogą ścierpieć szczęścia śmiertelnych. Uważają, że jest nieprzyzwoite, hałaśliwe i nadzwyczaj uwłaczające wszystkim nieszczęśliwym. Nie, bogowie zdecydowanie nie lubią ludzi szczęśliwych. Aby ich uciszyć, wymyślają potworne tragedie, które na zawsze odbierają chęć do życia. To oczywiście legendy, opowieści z innych czasów. Bogowie nie istnieją. Jednakże patrząc na to, co spotkało Fernanda i Lucienne, zastanawiam się czasami, czy nie należałoby w nich wierzyć.

\*

Pod koniec lipca drugie badanie USG ujawniło płęć dziecka - męską - a także atrofię górnych kończyn: przedramiona się nie rozwinęły. Powstał tylko ich zaczątek. Dwa wyrostki ze sterzczącymi na końcach malutkimi pączkami, załączkiem palców.

Wszczęto dochodzenie. Zbadano kariotypy Lucienne, Fernanda oraz ich przodków do trzeciego pokolenia wstecz. Prześledzono ich życie, sporządzono dzień po dniu wykaz wszystkiego, co jedli, pili i wdychali, szukając czynników teratogennych. Sprawdzone miejsca, w których byli w ciągu ostatnich dziesięciu lat, przeczesano ich mieszkanie, pobrano próbki. Nawet na Paszę padły podejrzenia. Niczego jednak nie znaleziono. W połowie sierpnia wnioski z dochodzenia ostatecznie zdjęły wszelkie podejrzenia z Lucienne i Fernanda. Nie można było im zarzucić żadnej nieostrożności. Atrofia przedramion. Niczyja wina - po prostu pech. Ubezpieczenie nie straciło ważności.

Fernand miał polisę, która pokrywała całość kosztów: przeszczepów, rehabilitacji, wszystkiego. Mimo wstrząsu oboje z Lucienne dzielnie się trzymali. Lekarze twierdzili, że przy właściwym postępowaniu nie będzie praktycznie żadnych powikłań. Dziecko będzie mogło w zasadzie normalnie żyć. Co nastrojało optymistycznie.

Bogowie są jednak zajadli; niełatwo się poddają. Kilka dni później dodatkowe testy, których zażądał ubezpieczyciel, ujawniły u płodu mutację genu IT15 położonego w chromosomie 4 locus p16.3 - mutację polegającą na wydłużeniu ciągu powtórzeń trójnukleotydomowych. Innymi słowy płód był nosicielem genu płasawicy Huntingtona,

nieuleczalnego świństwa, które, kiedy już się ujawni, robi z mózgu sieczkę i zabija przed sześćdziesiątym rokiem życia. Początkowo Lucienne i Fernand nie chcieli w to uwierzyć. Ich kariotypy nie wskazywały na żadne anomalie. Jakże mogli przekazać dziecku chorobę dziedziczną, skoro oni jej nie mają? Wyjaśniono im, że chodzi o bardzo rzadki przypadek mutacji samoistnej - mutacji genu, do której doszło na poziomie gamety, a może nawet już po zapłodnieniu. To zwalniało ubezpieczyciela z wszelkich zobowiązań. Naprawdę pech. Należało przerwać ciążę.

Lucienne nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała Fernandowi: „Nie wymagaj tego ode mnie, to ponad moje siły. Nie to, tylko nie to”. Za bardzo czekała na to dziecko, nie chciała się go pozbyć. Fernand próbował jej przemówić do rozsądku: „Lucienne, zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Jak sobie poradzimy, skoro ubezpieczenie jest nieważne? Jakie to dziecko będzie miało życie, Lucienne, bez ubezpieczenia, za to z groźbą wiszącą bez przerwy nad głową? Jakie my będziemy mieli życie?”. Odpowiedziała: „Gwiżdżę na to, nie obchodzi mnie, on jest mój, nie odbierzesz mi go i już”. Nalegał: „Lucienne, to bez sensu, nie możemy, nie możemy”, ale na darmo - żadne argumenty do niej nie przemawiały. Zachowywała się jak obłąkana, trzymając się oburącz za brzuch, wrzeszczała, że do niej należy to, co jest w spodku. Pragnęła tego dziecka i miała gdzieś, że jest ułomne, jakie się urodzi, takie będzie. Już je kochała. Nigdy nie pozwoli go sobie odebrać. Po jej trupie.

Fernand nic z tego nie powiedział lekarzom. Chciał ją chronić. Wiedział, że nie darują jej, jeśli się dowiedzą o łzach, krzykach, - odmowie dokonania aborcji. Znowu się zaczęły badania psychiatryczne. Wszystkie dotychczasowe ustalenia zostaną podważone. Może nawet cofną zgodę i odbiorą im nadzieję na inne dziecko.

Przerwanie ciąży zaplanowano na 2 września. Fernand nie odważył się powiedzieć o tym Lucienne, która bez przerwy powtarzała: „Upprzedzam, jeśli mi go odbiorą, zabiję się”. Wierzył, że jest zdolna spełnić groźbę, lecz nikomu nie mógł o tym powiedzieć. Bał się lekarzy. Bał się o Lucienne. Sytuacja wydawała mu się bez wyjścia.

Tymczasem faszerował ją anksjolitykami, które kompletnie dziewczynę otępiały. Kiedy nie spała, płakała. „Niech to się wreszcie skończy - mówił Fernand. - Nie mogę już patrzeć, jak ona cierpi. Niech to się skończy. Później będziemy mogli o wszystkim zapomnieć, zacząć od początku”. Nie śmiała mu powiedzieć, że jeśli sobie wyobraza, iż potem będą mogli zacząć od nowa jakby nigdy nic, to roi marzenia ściętej głowy. Sądzę, że w głębi ducha wcale w to nie wierzył.

Lucienne zniknęła 28 sierpnia. Po powrocie z pracy Fernand zastał mieszkanie puste. Lucienne nie zabrała niczego oprócz dokumentów, karty kredytowej i wiołonczeni. Nie

zostawiła żadnej wskazówki, gdzie się udaje - czy w ogóle sama to wiedziała? Tylko parę słów na swoim grammabooku: „Odchodzę z dzieckiem. Nie szukaj mnie. Lucienne”.

Fernand nie chciał powiadamiać policji.

- To nie sprawa dla policji. Chodzi o dobrowolne odejście. Banalne porzucenie domowego ogniska.

- Możesz powiedzieć o problemach Lucienne w ostatnim czasie, o jej stanie psychicznym, groźbach, że popełni samobójstwo. To wystarczy, żeby wszcząć poszukiwania. Dzięki implantowi szybko ją znajdą.

Fernand z desperacją na twarzy pokręcił głową.

- I co twoim zdaniem z nią zrobią, jak ją znajdą? Umieszczą w zakładzie psychiatrycznym i wbrew jej woli przerwą ciążę. Nie ma mowy! Wolę nie wiedzieć, gdzie się podziewa.

Mimo rozpaczy Fernand nie zamierzał czekać z założonymi rękami - wbił sobie do głowy, że sam odszuka Lucienne. W sumie okazało się, że to nie takie trudne. Wystarczyło pogrzebać w pamięci jej grammabooka.

Przeszukiwał historię, zaglądając na wszystkie strony, na których była Lucienne, i szybko stwierdził, że w dniach poprzedzających swoje odejście wiele godzin spędziła na stronie Fundacji Doktora Vesaliusa.

I w jednej chwili zrozumiał.

Znasz, jak sądzę, doktora Vesaliusa - wszyscy go znają: lekarz, filantrop, sutener, producent widowisk i dyrektor cyrku, „przyjaciół monstrów i odrzuconych”, jak sam o sobie mówi w reklamówce wyświetlanej w sieci. Dla niektórych to wcielony diabeł, lecz diabeł nietykalny i korzystający ze świetnego doradztwa. Od dawna Inspekcja Pracy i policja obyczajowa próbują go przygwoździć, lecz na niczym nie daje się przyłapać: diabeł stosuje się do przepisów przynajmniej na pozór - jego służby prawne bacznie czuwają. Przedsiębiorstwo prosperuje, toteż doktor Vesalius stał się miliarderem dzięki swoim superwidowiskom prezentowanym w Zonie, pokazom bliźniąt syjamskich i grubasów, orkiestrze monstrów, burdelom z chimerami i specjalnym filmom.

Dla Lucienne jednak, podobnie jak dla wielu innych, doktor Vesalius wcale nie miał diabelskiego oblicza. Był wybawcą, który przyjmuje pod swoje skrzydła wszystkich niechcianych, chroni ich, leczy, kształci. Był tym, który daje nadzieję i życie. W każdym razie pewien rodzaj życia.

Siedziba fundacji mieści się na rubieżach Zony, w 25. dystrykcie, inaczej mówiąc, na kompletnym zadupiu: panuje tam wszechobecny smród, rządzą drągi i przemoc. Naloty i

patrole niewiele zmieniają, o czym wiesz lepiej niż ja. To nie powstrzymało Lucienne. Trzeba wierzyć, że nie była tak delikatna, jak się wydawała. Albo zagrożenie dodało jej sił, tak jak w chwili rozpaczy wzbiera w człowieku energia.

Aby ją odnaleźć, Fernand postanowił wziąć urlop bezpłatny. Zorganizował swój wyjazd do Zony. Istną wyprawę. Wtedy pierwszy raz przekraczał granicę. Niby wiadomo, czego się spodziewać, ale to zawsze szok. Fernand jednak się nie bał. Był gotów na wszystko, byle odszukać żonę.

Kiedy zjawił się w siedzibie fundacji - w pięknym nowym budynku za wysokim murem otoczonym ruinami i ugorami - najpierw usłyszał, że Lucienne tam nie ma: „Na pewno pan się myli, nie znamy nikogo o takim nazwisku”. Nie uwierzył oczywiście. Powiedzieli: „Proszę nie nalegać, nie wolno nam ujawniać nazwisk naszych pensjonariuszy”. Wtedy zaczął krzyczyć: „Skończcie z kłamstwami! Lucienne na pewno tu jest! Oddajcie mi żonę, dranie, oddajcie mi żonę!”. Wyrzucili go.

Kiedy znów przyszedł następnego ranka, ochrona go nie wpuściła. Nikt nie miał ochoty słuchać, jak się awanturuje. Próbował stawiać opór, lecz zagrozili, że wezwą policję, jeśli będzie rozrabiał. Mieli doświadczenie w postępowaniu z wariatami. Sporo ich się kręciło w tym sektorze. Wiedzieli, w jaki sposób się ich pozbywać.

Fernand przez cały dzień krążył w pobliżu budynku. Wieczorem wrócił do pokoiku wynajętego w nędznym hotelu, z którego zostały tylko trzy dolne piętra. Nie mógł się zdecydować na powrót do domu. Byłoby to bowiem przyznaniem się do porażki.

Nazajutrz wrócił w pobliże siedziby fundacji i robił tak codziennie przez kilka tygodni. Już nie groził. Nie próbował nawet dostać się za ogrodzenie. Po prostu siadał w odległości kilku metrów od bramy. Czekał.

Oczywiście nie obeszło się bez przykrości ze strony płaczących się w okolicy band złożonych z pazernych ludzi o rozgorączkowanym spojrzeniu, rozchwianych zębach. Bez oporu pozwolił im się ograbić, stosując się do porady zalecanej przez wszystkie przewodniki - dopiero sprzeciw wzbudza w nich prawdziwą agresję. W przypadku Fernanda taka bierność nie była wcale dyktowana ostrożnością. Po prostu miał to gdzieś. Wszystko im oddał, zegarek, kurtkę, kartę kredytową, nawet buty. Nie dbał o tamto. Zależało mu tylko na jednym: musiał ją zobaczyć. Zabrać do domu.

Pewnego dnia z budynku wyszła kobieta, przekroczyła bramę i zbliżyła się do niego z powagą na pogodnej twarzy. Ledwie ją poznał. Lucienne piękna jak nigdy. W szóstym miesiącu ciąży.

Powiedziała: „Chodź ze mną, ale obiecaj, że nie będziesz robił scen”. Obiecał i

poszedł za nią w milczeniu. Ze wzruszenia nie mógł wymówić słowa.

Zaprowadziła go do zacisznego saloniku, który przylegał do holu, poprosiła, by usiadł. Zrazu nie chciał - był dość brudny, pokrywał go kurz unoszący się nad ruinami. Bał się, że powala poduszki. Machnęła ręką, aby się nie przejmował i nie krępował. Czowała się swobodnie jak u siebie.

Przyglądał się jej długą chwilę. Unikała jego wzroku. W końcu powiedział:

- A więc byłaś tutaj? Nie pomyliłem się!

- Tak, byłam.

- Czemu tak długo nie dawałaś znaku życia?

- Nie chciałam z tobą rozmawiać, Fernand. To za duże przeżycie.

- A dlaczego teraz zmieniłaś zdanie?

- Bo... bo jak patrzyłam na ciebie codziennie...

- Widziałaś mnie?

- Tak. W końcu zrozumiałam, że nie odejdziesz. Nie odejdziesz, póki się nie dowiesz.

Teraz już wiesz.

- Co my zrobimy, Lucienne?

Pokręciła głową.

- Już nie ma nas.

- Co ty zrobisz? - poprawił się, starając się zachować spokój. W głowie dudniło mu jedno: żadnych scen, obiecałeś, żadnych scen, inaczej cię wyrzucą.

- Zostanę tutaj z małym.

- Ale jak się utrzymasz?

- Fundacja wszystko nam zapewni. Mieszkanie, wikt, leczenie dziecka i jego wykształcenie. Wszystko.

- W zamian za co?

- Jak mały urośnie, będzie pracował dla doktora Vesaliusa. W jego warsztatach, a może w widowisku. Na razie nie wiadomo.

- Albo w jego burdelu? - krzyknął, niezdolny dłużej się hamować. - Takiej przyszłości chcesz dla naszego syna?

Odparła spokojnie:

- Nie dla naszego syna, Fernand. Dla mojego syna. Chcę mu zapewnić taką przyszłość, na jaką mnie stać. Ty nie dawałeś mu żadnej.

- Lucienne... och, Lucienne! - wyszeptał przerażony, że stracił panowanie nad sobą.

Chciał wziąć ją za rękę, lecz cofnęła się żywo.



- Fernand, musisz coś sobie uzmysłwić: z nami koniec. Nie wrócę do ciebie.

Wstała, dając do zrozumienia, że to faktycznie koniec - rozmowy i reszty. Była bardzo spokojna, zdeterminowana. I rozstali się, nie obiecując sobie, że znów się zobaczą - Lucienne tego nie chciała.

Rozwód ogłoszono w listopadzie. Za obopólną zgodą. Nikt nie miał ochoty komplikować spraw. Miesiąc później Lucienne poinformowała Fernanda, że dziecko przyszło na świat. Nie powiadomiła go, jak dała chłopcu na imię, zaznaczyła tylko, że nie życzy sobie, aby go uznał „zważywszy na okoliczności”.

Cóż więcej mogę dodać? Lucienne odeszła daleko, do innego świata, a ja z trudem sobie uświadamiałam, że więcej jej nie zobaczę. Brakowało mi jej, tęskniłam za jej łagodnością, udrękami, nadziejami, graniem. Uprzytomniłam sobie naraz, jaka byłam nieostrożna. Pan Kauffmann, Fernand, Lucienne - pokochałam ich wszystkich bez żadnych starań, nie zdając sobie z tego sprawy. Oczywiście nie tak mocno jak mamę, lecz wystarczająco, by teraz cierpieć. Podałam się uczuciom, czego nie powinno się nigdy robić. Teraz za to płaciłam, przy okazji stwierdzając, że ten aspekt życia jest dla mnie zakazany. Jako dobro luksusowe, zbyt ryzykowne dla sponiewieranych serc.

Postanowiłam odtąd uważać. Zachowywać dystans. I przede wszystkim się nie przywiązywać. Pilnować się, zamykać szczelnie - rezerwa, komfort, bezpieczeństwo. Było to nieodzowne, konieczność życiowa. Wiedziałam, że kolejne takie doświadczenie mnie zabije.

## *Fernand*

Upłynęło kilka miesięcy, zanim Fernand się pozbierał po odejściu Lucienne. „Pozbierał się” to i tak za dużo powiedziane. Stał się innym człowiekiem, chociaż pozornie się nie zmienił. Często się zamyślał, ni z tego, ni z owego urywał w pół zdania.

I milczał przez kilka minut. Wiedziała, że myśli o niej. Antydepresanty nic tu nie mogły poradzić. Kto jak kto, ale ja coś o tym wiedziała.

Nie tylko Fernand cierpiał. Pasza nikł w oczach. Wypadała mu sierść. Nie było to normalne linienie, po którym w ciągu kilku dni zmieniał kolor futerka, ale prawdziwe łysienie. Fernand opowiadał, że całymi dniami chodzi, pomiaukując i siejąc wszędzie kępki fosforyzujących kłaków. „Przykro na to patrzeć, ale co mogę zrobić?” Nic nie mówiłam. Bo i nie było co mówić. Pasza na własny sposób obchodził żałobę po swojej pani.

Pomimo strapienia - a może właśnie z powodu strapienia - Fernand postanowił całym sobą poświęcić się roli wychowawcy. Zdaje się, że czas był najwyższy. Miałam piętnaście lat. Zostały niecałe trzy lata do egzaminu, który zadecyduje, czy jestem gotowa wrócić do społeczeństwa, czy nie. Z tego, co mówił Fernand, wynik wcale nie był pewny.

- Co będzie, jak nie zdam?

- Zostaniesz uznana za niezdolną do życia w społeczeństwie i nie dostaniesz od władz zgody na wyjście. Albo zostaniesz tutaj, albo trafisz do innych struktur reedukacyjnych dla młodych dorosłych.

- A... na jak długo?

- Aż uznają, że nadajesz się do życia w społeczeństwie.

- Długo to może potrwać?

- Może się nigdy nie skończyć.

Przez moment się zastanawiałam, czy nie przesadza, żeby mnie nastraszyć. Ale nie, minę miał zupełnie poważną. Fernand generalnie nigdy nie przepadał za żartami. Cholera.

- Chcesz stąd wyjść, Lilu, prawda?

- No pewnie.

- Trzeba więc wziąć się do roboty. I to od zaraz. Czas szybko leci, ani się obejrzyysz, jak przyjdzie egzamin. Musisz się przygotować. A ja mogę ci pomóc.

- Niby jak?

- Odbudujemy twoją pewność siebie, prawdziwą pewność siebie, żebyś, gdy przyjdzie pora, miała wszelkie szanse zdać egzamin.

- Uważasz, że to takie trudne?

- Może nie trudne, ale powiedzmy, jest co robić. Jesteś... to znaczy... pewne cechy sprawiają, że... naprawdę jesteś inna.

- Jestem inna, wiem. Pan Kauffmann często mi to powtarzał. Ale raczej nie uważał tego za problem.

- Właśnie to zawsze interesowało go u ludzi: ich wyjątkowość.

- A ciebie to nie interesuje?

- Nie w tym rzecz. Staram się być pragmatyczny i robić co trzeba, żeby ci ułatwić powrót do społeczeństwa. Pan Kauffmann uważał, że jeśli pozwolić pensjonariuszom rozwijać ich... niepospolitość... na pewno im to nie zaszkodzi. Ja też długo byłem tego zdania. Teraz widzę, że to był błąd. Mrzonka.

- Mówisz tak z powodu Lucienne?

Nie odpowiedział. Nie musiał zresztą. Wiedziała, że wetknęła palec w ranę. Westchnęła.

- Co dokładnie zamierzasz ze mną robić?

- Popracować nad tobą, żebyś się zaadaptowała. Inaczej mówiąc, żebyś się stała zwyczajna.

- Och, tak, zwyczaj na, jak to brzmi! A jak dodaje ducha!

Udał, że nie zauważa ironii.

- Pan Kauffmann zawsze bardzo dbał o to, żeby pielęgnować niezwykle zdolności, które w tobie dostrzegał, wszystkie talenty, osobliwości, które czynią z ciebie osobę... fascynującą. Ale przez to zrobił z ciebie jeszcze większe dziwadło. Nie sądzę, żeby oddał ci w ten sposób przysługę. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Pewnie, że rozumiem.

- Wszystko jeszcze da się odkręcić. Możesz się wyzbyć ekscentrycznych zachowań, nauczyć się przebywać wśród innych, nie wyróżniając się. Wiesz, jestem pewien, że jeśli zaraz zabierzemy się do roboty, wszystko się uda. Ale powiedz nam się pod warunkiem, że ty będziesz chciała. Powiedz, Lilu, zgadzasz się?

Powiedziałam tak - nie miałam innego wyjścia.

I po raz pierwszy, odkąd Lucienne odeszła, zobaczyłam uśmiech na twarzy Fernanda.

Poczawszy od tego dnia, realizowałam jego program. Przykładałam się bardzo, aby, tak jak chciał, stać się - przynajmniej pozornie - normalną, nijaką dziewczyną. Nie było to proste. Musiałam przebyć długą drogę i włożyć w to dużo wysiłku. Najgorsze było nieodstępujące mnie nigdy wrażenie, że zdradzam pana Kauffmanna, odwracając się od wszystkiego, czego pragnął dla mnie. Fernand jednak zapowiedział kategorycznie: jeżeli chcę

mieć szansę na wyjście z Centrum po osiągnięciu pełnoletności, nie ma innej drogi. Staralam się zatem panować nad swoimi humorami.

Poddawałam się wszystkim jego nakazom, bez mrugnięcia znosiłam nieustanne uwagi: siedź prosto, przyczesz się, wyglądasz jak straszdyło, daruj sobie wulgarność, przestań stale nakładać te okulary słoneczne! Z czasem nauczyłam się „zachowywać”, czesać, trzymać język na wodzy, a przede wszystkim naśladować innych. Naśladownictwo zdaniem Fernanda było kluczem, fundamentem całego życia społecznego. Chcąc mi ułatwić, polecił, abym oglądała filmy fabularne i dokumentalne, zapamiętywała gesty, wypowiedzi, formułki, czasami nawet całe dialogi. „Dzięki nim będziesz mogła stwarzać złudzenie w każdych okolicznościach”. Bo właśnie o to chodziło: o stwarzanie złudzenia. Jaka jestem w głębi ducha, przestawało się liczyć, jeżeli na zewnątrz wszystko wyglądało na zgodne z ustalonymi normami.

Bywały dni, gdy nie mogłam już tego wytrzymać; szłam wtedy na dach i urządziłam sobie seans kalejdoskopowy. Na kilka minut wszystko posyłałam do diabła, nikięły budynki, zostawał tylko wir kolorów, gdy obracałam tubę. Męczyłam wzrok, lecz przynosiło mi to ulgę. Potem deklamowałam wiersze, wyrzaskiwałam różne świństwa jak ongiś z panem Kaufmannem. Ależ mi dobrze robiły te wszystkie „kurwamacie” i „lysechuje” między jednym a drugim aleksandrynem! Po powrocie do pokoju godzinami czytałam słownik, szukając najrzadszych i najtrudniejszych słów, których definicji uczyłam się na pamięć. Krótko mówiąc, robiłam co mogłam, by stwarzać sobie iluzję, że mimo wszystko jestem wierna pamięci pana Kaufmanna.

Nadal wierzyłam w niego, w jego obietnicę. To mi pomagało znosić wszystko: obecne życie w Centrum i myśl o późniejszym, które mnie czekało po wyjściu. Kiedy stałam na skraju dachu, spoglądając na rojne miasto u moich stóp, takie wielkie i zróżnicowane, niemal bez końca, szacowałam, jak bardzo ten świat mnie przeraża, jaka jestem mu obca. I w głowie mi się kręciło na samą myśl, że pewnego dnia będę musiała się włączyć w to życie, do którego się nie nadaję. Sądzę, że nigdy bym się nie odważyła stawić mu czoła, gdybym w sercu nie miała nadziei zakotwiczonej mocno, nadziei silnej niczym odporny kwiat o mocnych korzeniach, nadziei, że pośród tego wszystkiego odnajdę matkę.

Fernand wszedł do komisji w marcu 2106 roku. Mając trzydzieści dwa lata, był najmłodszym w historii wybranym do niej członkiem - wspaniały awans, aczkolwiek nie wątpiłam, że kosztował go masę pochlebstw i ustępstw. Miałabym powody, żeby żywić oto do niego pretensje po tym wszystkim, co te gnoje zrobiły panu Kauffmannowi. Ale jakoś nie mogłam się na to zdobyć. Wiedziałam, że jest nieszczęśliwy; nie chciałam mu dokładać.

Kilka razy próbował się skontaktować z Lucienne. Chciał się z nią zobaczyć, poznać dziecko, zależało mu na utrzymaniu kontaktu. Nigdy jednak nie odpowiedziała. A właściwie raz odpowiedziała: „Proszę, zostaw nas w spokoju”. Spełnił jej prośbę: więcej nie napisał. Zgadywałam, że aby oniej nie myśleć, rzucił się w wir pracy i wbił sobie do głowy, że wejdzie do komisji. Praca, ambicje. Prócz okrytego żałobą kota tylko to mu pozostało.

\*

Nadal zajmował się mną jak wcześniej, strofując mnie lub chwając. Skrupulatnie stosowałam się do jego poleceń - w sumie do tego zawsze miałam talent. Poczynałam piorunujące postępy. W wieku prawie siedemnastu lat byłam w stanie idealnie małpować normalną osobę. Czesalam się co rano. Już nie sypiałam pod łóżkiem. Przestałam przeklinać - pozwalałam sobie na to tylko, kiedy byłam sama. Doskonale przyswoiłam, co wypada, a co nie wypada. Słowem, mniej więcej nadawałam się do pokazania ludziom. Co prawda pozostawało jeszcze kilka delikatnych kwestii - na przykład nie pozwalałam się dotykać i bez entuzjazmu odnosiłam się do jedzenia - lecz generalnie udawało mi się stwarzać złudzenie. Fernand był cały w skowronkach. „Tyle mieliśmy do zrobienia, nie spodziewałem się takich postępów!” Uważał, że teraz mam wszelkie szanse, by zdać egzamin z dostosowania.

Tak mi się zdaje, że i ja powinnam była się z tego cieszyć, lecz nie potrafiłam - z powodu mamy. Przecież dla niej tak się wysilałam. Aby ją odnaleźć. To był od początku mój jedyny cel, mój horyzont, jednakże teraz jawił mi się tak ograniczony, tak mocno zamglony, że nie mogłam dłużej pohamować niepokoju. Nie miałam żadnego tropu, najmniejszej wskazówki. Tylko strzępki wspomnień, oderwane punkty w pamięci zbyt małe, by dokądkolwiek mnie doprowadziły.

Oczywiście pozostawała obietnica pana Kauff - manna. Tyle że nie żył od pięciu lat. Co z tego, że ilekroć się zjawiał, aby mi pomóc w przetrwaniu trudnych chwil, powtarzał: „Cokolwiek się stanie, możesz na mnie liczyć”? Zaczynałam wątpić. Cóż znaczą obietnice człowieka nieżyjącego albo zjawy? Im więcej się nad tym zastanawiałam, tym silniej utwierdzałam się w przekonaniu, że tylko się łudzę. Pan Kauffmann już nigdy więcej mi nie pomoże. Nadzieja, jaką w nim pokładałam, była jedynie iluzją, której się kurczowo uczepiłam, aby znieść jego odejście.

Nie spodobało mu się, że w niego zwątpiłam. Gdy któregoś dnia byłam na dachu, oddając się rozpacz, wyczułam jego obecność gdzieś wśród powiewów wiatru.

- Co u pana?

- To ja pytam, co u ciebie. Co cię napadło, dziewczynko?

- Straciłam nadzieję.

- Jak to straciłaś nadzieję?
- Obiecał mi pan pomóc w szukaniu mamy, pamięta pan? I nic pan nie zrobił...
- Powiedziałem, że ci pomogę, ale nie mówiłem, że masz siedzieć z założonymi rękami!
- Co pan ma na myśli?
- Ja swoje zrobiłem. Teraz kolej na ciebie.
- A mógłby pan jaśniej?
- No nie, chyba nie sądzisz, że będę za ciebie odwałał robotę? Ruszże mózgownicą, do stu tysięcy diabłów!

Na próżno nalegałam, nie chciał nic więcej powiedzieć. Wiatr za mocno dmuchał.

Wróciłam do pokoju. Potrzebowałam ciszy, żeby się zastanowić. „Ruszże mózgownicą”. Czy to możliwe, że niepostrzeżenie już otrzymałam informacje, które mi pomogą odnaleźć matkę? Czy to możliwe, że schował je gdzieś i do mnie tylko należy odkryć to miejsce? Jeżeli tak, to musiał zostawić jakąś wskazówkę. Bawimy się w ciepło-zimno... „Ruszże mózgownicą”. Łatwo powiedzieć!

Ogarnięta rozpaczą zaczęłam wertować słownik. Zawsze działało to na mnie uspokajająco, ponieważ pomagało mi wyczuć obecność pana Kauffmanna, jakby jego dusza wniknęła w książkę i z każdą odwracaną kartką uwalniała się jakaś jej cząstka. Wspomniałam dzień, kiedy wręczył mi ten prezent. Z miłym uśmiechem: „Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, dziewczynko”. Data nie była właściwa, wiedział o tym oczywiście. Ale wiedział również, że nie może dłużej czekać. Była to jego ostatnia wizyta. „Jest w nim wszystko. Wszystko, czego będziesz potrzebowała”. Tak powiedział, dając mi słownik. Wszystko, czego będę potrzebowała.

Krew mi zapłonęła w żyłach, serce natychmiast zareagowało, skurcz, rozkurcz, tak szybko, aż prawie bolało. Zaczęłam nerwowo przerzucać kartki. „Jest w nim wszystko”. To właśnie jest wskazówka. „Wszystko, czego będziesz potrzebowała”. Informacje na temat mojej mamy musiały być w słowniku. Z całą pewnością o to chodziło.

Chyba ze trzy godziny wertowałam słownik - wiesz, jak to jest z nadzieją: niełatwo się jej wyzbyć. Ale tym razem musiałam w końcu zrezygnować. Nic nie znalazłam. Cóż, gdyby słownik zawierał jakąś informację na temat mojej mamy, już dawno bym na nią natrafiła. Tyle razy go przeglądałam w tę i w tę.

Zamknęłam słownik i siedziałam wpatrzona w niego bezmyślnie. Nie powiem, że czułam zawód. To było coś więcej, coś bardziej dojmującego. Przepadłam. Pogładziłam wolno okładkę z rybiej skóry. Lubiłam jej dotykać z powodu miękkości i dlatego, że

przypominała mi, jaką pan Kauffmann obdarzał mnie uwagą. „A jaka okładka! Pokryta prawdziwym galuchatem! Rybią skórą! Piękna oprawa. Bardzo droga. Umyślnie kazałem tak zrobić, żeby książka była wyjątkowa”... Pod opuszkami palców poczułam wyładowanie elektryczne, słabiutkie i krótkie. „Jest w nim wszystko”. I naraz mnie olśniło.

Zachowałam spokój. Usiadłam przy biurku tak, żeby plecami być do kamery, zmniejszając w ten sposób ryzyko. Przez kilka chwil wpatrywałam się w leżący przede mną słownik. W mój skarb. Później ostrożnie zaczęłam odrywać piękną okładkę. Pan Kauffmann miał słuszność: wystarczyło ruszyć mózgownicą. Przypomnieć sobie, co wtedy powiedział. Odczytać ukryte znaczenie na pozór banalnych sformułowań.

Rychło znalazłam wiadomość wsuniętą pod skórę. Starannie poskładany skrawek papieru, na którym rozpoznałam jego charakter pisma, piękny, misterny, pochylony:

***Buc. 4,60 - parve puer risu***

***En. 4,186.188 - et magnas territat urbes tamficti pravique tenax quam***

***124° est ex libris veritas.***

Zaszyfrowana wiadomość. Wiadomość zza grobu, która pięć lat czekała na odkrycie. Poczułam szczypanie pod powiekami. Jeszcze chwila i popłyną łzy.

- No co ty? Uważasz, że to odpowiednia chwila?

- Przepraszam. To z emocji.

- Lepiej weź się do roboty.

- Nie pomoże mi pan?

- Jeszcze czego!

- To może chociaż jakaś wskazówka...

- Ile razy mam ci powtarzać? Rusz mózgownicą, a wszystko będzie dobrze.

„*Est ex libris veritas*” nie nastreczyło problemów. Pan Kauffmann często powtarzał, że z książek wyłania się prawda. Jeśli chodzi o „*Buc. 4,60*” i „*En. 4,186.188*”, to wystarczająco dobrze znałam klasyków, by pojąć, że chodzi o odesłanie do Wergiliusza: „Bukoliki”, księga IV, wers 60; „Eneida”, księga IV, wersy 186-188. Pan Kauffmann mawiał, że Wergiliusz był geniuszem. Kazał mi się nauczyć na pamięć wszystkich jego wierszy. Po pięciu latach nadal je pamiętałam. Wskazany fragment brzmiał: „*Incipe, parve puer, risu cognoscere matrem*”. „Poczynaj, młoda dziecino, uśmiechem poznawać matkę”.

Fragment z „Eneidy” był opisem Wieści, złośliwego potwora, który wyruszył, aby na całym świecie rozgłosić nowinę o skandalicznym romansie Dydony i Eneasza:

***Luce sedet custos aut summi culmine tecti***

***Aut turribus altis, et magnas territat urbes***

***Tam ficti pravique tenax quam nuntia veri.***

„We dnie, na szczycie dachu lub stromych wież stoczu siedząc, czuwa i miasta ogromne przeraża, zarówno prawdę głosząc, jak kłamstwa plotkarza”.

Znaczenie tych ustępów było jasne, nie widziałam jednak związku z moją matką. Tak samo jak nie rozumiałam, dlaczego pan Kauffmann przepisał część tekstu po każdym odsyłaczu:

***- parve puer risu - et magnas territat urbes tam ficti pravique tenax quam.***

Te okaleczone wersy nie miały w ogóle sensu. Błądziłam we mgle.

Potrzebowałam kilku dni, aby dotarło do mnie, że znak umieszczony przed każdym cytatem nie jest myślnikiem, jak początkowo sądziłam, lecz algebraicznym znakiem odejmowania. Okrojone wyimki nie były znaczącą częścią cytatu, przeciwnie, wskazywały, że tę część należy usunąć, by poznać prawdziwą wiadomość. Tym sposobem osiągnęłam taki oto wynik:

***„Incipe cognoscere matrem”***. „Poczynaj poznawać matkę”.

***„Luce sedet custos aut summi culmine tecti, aut tur - ribus altis nuntia ven\”***<sup>le</sup>  
dnie, na szczycie dachu lub stromych wież stoczu siedząc, czuwa, prawdę głosząc”.

Mimo to niewiele więcej wiedziałam. A jeśli chodzi o „124<sup>o</sup>”, nadal nie miałam pojęcia, o co może chodzić. O temperaturę? Wielkość kąta? Bez sensu.

Przez kilka tygodni łamałam sobie głowę, usiłując to rozgryźć. Łacińskie słowa bez przerwy kłębiły mi się w głowie. A nad wszystkim unosił się uśmiech mamy, nieosiągalny, słodki uśmiech. Potworna męka. Daremnie przyzywałam pana Kauffmanna - nie raczył się odezwać.

Kolejne olśnienie nadeszło w przedziwnych okolicznościach - ścieżki prawdy bywają rzeczywiście kręte. Było to w pewną środę, w dzień Sensora. Wyjęłam go z szuflady i po omacku szukałam jeszcze tubki z żelem zwilżającym. Naraz palcami natrafiłam na jakiś okrągły przedmiot. Nie miałam pojęcia, co to jest. Zapaliłam światło, aby się przyjrzeć znalezisku. Busola, którą pan Kauffmann podarował mi na dziesiąte urodziny. Cacko, owszem, ale nigdy dotąd mi się nie przydało - życie w zamknięciu w obrębie murów Centrum niewiele dawało okazji, aby się zgubić. Wrzuciłam kompas do szuflady, nie mając pomysłu, co innego mogłabym z nim zrobić, i do tej pory ani razu go nie wyjęłam. Prawdę powiedziawszy, niemal onim zapomniałam.

Odłożyłam Sensor do szuflady - ten jeden raz postanowiłam uczynić odstępstwo od reguły wymuszającej dwie symulacje tygodniowo. Zgasłam światło i położyłam się z busolą w zaciśniętych rękach. Wzruszyłam się, odnalazłszy ją, było mi też trochę wstyd, że tak długo



leżała zapomniana na dnie szuflady. Chociaż w pewnym sensie nie było to takie złe: jakby pan Kauffmann po raz drugi mi ją podarował. Wspomniałam chwilę, gdy położył mi ją na dłoni: „Żeby ci pomogła odnaleźć właściwą drogę w życiu”. Zakpiłam sobie wtedy z wyświechtanej metafory, lecz on dzielnie jej bronił.

Na chwilę zatrzymałam się przy tym szczęśliwym wspomnieniu, po czym znów zaczęłam myśleć o wiadomości: „*124° est ex libris veritas*”. O każdym znaku.

Okazdym słowie. „*Ex libris veritas*”. „*Est*”, forma czasownika „być”, była w domyśle, co w łacinie często się zdarza. Dlaczego tym razem pan Kauffmann jednak ją wstawił?

Wtedy właśnie poczułam w dłoni jakby łaskotanie, miałam wrażenie, że igła kompasu bez opamiętania obraca mi się w ręce. I nagle wszystko stało się jasne.

Zrobiłam, co mówiła wiadomość: nazajutrz rano poszłam na dach. Sto trzydzieści cztery piętra - na pewno nie niżej niż kartagińskie wieże. Z kompasem w dłoni ustawiłam się przodem do północy, wpatrzona w drżącą igłę. Powolutku się obracałam, aż igła wskazała dokładnie 124 stopnie. Wówczas podniosłam głowę. Odpowiedź była tam, w widoku, który ogarniałam spojrzeniem. Skąd mam jednak wiedzieć? Jak pośród budowli ciągnących się w nieskończoność znaleźć tę właściwą? O mało nie wpadłam w panikę, gdy w oczach mi się zmaćło od setek budynków.

- No, dziewczynko, odwagi.

- Jesteś tuż tuż. Walcz.

Wstrzymałam oddech. Minuta. Dwie. Trzy. Pod koniec czwartej czułam się już lepiej. Po pięciu minutach kryzys przeszedł.

Już nad wszystkim panowałam. *124° est*. W myślach wytyczyłam prostą w tym kierunku. Później wędrowałam wzdłuż niej wzrokiem, przepatrując budynek po budynku, kwartał po kwartale, przy każdym szukając ewentualnego związku z moją mamą albo z treścią wiadomości od pana Kauffmanna. Powoli wzrokiem dotarłam aż po horyzont. Naraz wszystko stanęło - na ułamek sekundy, na jedną króciutką chwileczkę czas się zatrzymał, krew i oddech we mnie zamarły - po czym znowu ruszyły. *Ex libris veritas*. Och, takie to było proste, takie oczywiste. Już dawno powinnam była się domyślić.

W oddali niczym wielkie księgi pod gołym niebem wznosiły się trzy potężne wieżowce Wielkiej Biblioteki.

W czerwcu 2107 roku miałam egzamin na zakończenie szkoły. Zdałam śpiewająco. Wspominam o tym, nie chwając się - dawno już przerobiłam cały program, toteż z egzaminem nie miałam żadnych problemów. Ważniejsze jednak były testy na dostosowanie

społeczne. Fernand nawet nie próbował ukryć dumy - ten sukces był także jego sukcesem.

- Oczywiście są jeszcze rzeczy problematyczne, na przykład to, że za nic nie chcesz się w mieszać w tłum. Uprzedzam, pod tym kątem będziesz bacznie obserwowana przez jakiś czas po wyjściu. Ale reszta przemawiała na twoją korzyść: wyniki w nauce, wzorowe zachowanie... Krótko mówiąc: brawo!

Jedna kwestia pozostała wszakże do rozstrzygnięcia: sprawa moich studiów. Już od jakiegoś czasu Fernand się dopytywał, co zamierzam dalej robić. Dotąd udawało mi się wymigiwać od konkretów: „Nie wiem, nie potrafię wybrać, tyle rzeczy mnie interesuje, potrzebuję jeszcze czasu...”. Ale teraz nie mogłam go już zwodzić. Musiałam powiedzieć prawdę i wiedziałam, że wcale mu się nie spodoba.

- Prawdę mówiąc, nie zamierzam podjąć studiów.

Popatrzył na mnie oburzony.

- Mam nadzieję, że żartujesz?

- A wyglądam na taką, co żartuje?

- Zwariowałaś? Z takim potencjałem?!

- Gwiżdżę na swój potencjał. Chcę tylko wykonywać jakąś prostą pracę. Może nie wymagać kwalifikacji, przeciwnie.

- Zwariowałaś!

- Już to mówiłeś. Tak się jednak składa, że to moje postanowienie.

- Ależ Lilu, co cię napadło? Nie rozumiem cię.

- Nie pierwszy raz.

Puściwszy mimo uszu tę uwagę, dodał bez ogródek:

- Nie muszę chyba mówić, że komisja będzie ubolewała z powodu braku w tobie ambicji!

- Och, ale spróbuj sobie wyobrazić, co by się działo, gdybym podjęła studia wyższe: z moim potencjałem, jak mówisz, mogłyby potrwać dobre dziesięć lat. A wszystko na koszt Centrum! Wierz mi, kiedy twoi koledzy z komisji zrozumieją, ile ta instytucja zaoszczędzi dzięki mojemu „brakowi ambicji”, będą skakali z radości.

- Bardzo by mnie to zdziwiło! Tak jak ja mieli nadzieję, że podejmiesz decyzję, która zapewni ci lepszą przyszłość. I podobnie jak ja będą zawiedzeni.

- Nie możesz mnie zmusić.

- To prawda, nie mogę. Niemniej chciałbym zrozumieć.

- A co tu jest do rozumienia? Nie chcę studiować. Studia mnie nie interesują. I już.

- Czego ty chcesz, Lilu? Do diabła, czego chcesz?

- Już powiedziałam: prostej, nie wymagającej odpowiedzialności pracy w miejscu, gdzie będą się stykała z jak najmniejszą liczbą ludzi.

- To bardzo ogólnikowe. Niepodobne do ciebie... Chyba że coś ci wykiełkowało w głowie? - dodał nieufnie.

Nie odpowiedziałam. Utkwił we mnie przenikliwy wzrok.

- Powiedz, Lilu, czy tę nieciekawą pracę chciałabyś wykonywać w jakiejś konkretnej dziedzinie?

Na pół minuty wstrzymałam oddech. Przyszła chwila, by rozegrać to w rękawiczkach.

- Myślisz, że mogłabym pracować w takim miejscu jak na przykład Wielka Biblioteka? Przy książkach jest spokojnie...

- Książki, no tak... - mruknął, patrząc na słownik na biurku. - Powinienem był się tego spodziewać.

- Czy... czy twoim zdaniem może być z tym problem?

- Książki... Masz świadomość, że to wrażliwa dziedzina.

- Tak, ale...

- Muszę pogadać z kolegami z komisji. Zobaczymy. Niczego ci nie obiecuję.

\*

Zgodnie z przewidywaniami głąby zazgrzytały zębami. Wszyscy ci ludzie byli tacy jak Fernand: nie mogli pojąć. Wiedziałam, że nie za dobrze wpłynęło to na mój wizerunek i być może zaważy na przyszłości. Byłam jednak przyparta do muru i musiałam spróbować szczęścia.

Ostatecznie głąby ustąpiły. Mimo swoich zastrzeżeń Fernand przemawiał na moją korzyść - w gruncie rzeczy nigdy nie potrafił mi niczego odmówić. Osobiście przyszedł obwieścić mi nowinę.

- Centrum ma do dyspozycji pewien odsetek posad w dużych instytucjach państwowych. To nam pozwala dawać zatrudnienie pensjonariuszom... delikatnym.

- Chcesz powiedzieć: debilom i nieprzystosowanym, których nikt inny by nie zatrudnił?

- Hm...

Roześmiałam się, jego to jednak raczej nie bawiło. Mówił dalej niewzruszenie:

- Komisja wyraziła zgodę, abyś była beneficjentką takiej posady zarezerwowanej w Wielkiej Bibliotece. Możesz otrzymać stanowisko technika cyfryzacji dokumentów papierowych. Praca w samotności. Nieciekawa. Nie wymaga inicjatywy. Przypuszczam, że jesteś zadowolona.

- Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo!

- I dobrze - odparł sucho.

- Och, proszę, nie bocz się! Daję słowo, że ta posada to najlepsze, co mogło mnie spotkać.

- Skoro tak twierdzisz... Niemniej musisz wiedzieć, że zażądałem od Komisji przegłosowania specjalnej klauzuli odnoszącej się do ciebie: jeżeli w ciągu trzech lat uznasz, że ta praca ci nie odpowiada z takiego czy innego powodu, Centrum będzie miało obowiązek posłać cię na studia i w całości je sfinansować. No. Chciałem, żebyś o tym wiedziała w razie czego.

Kochany Fernand. Specjalna klauzula. Rodzaj ubezpieczenia od tego, co nadal uważał za ogromną głupotę. Przez chwilę patrzyłam na jego wysoką, lekko przygarbioną postać, na zatroskaną twarz, zacisnięte pięści. Nigdy jeszcze nie wydał mi się taki rośły.

- Jesteś taki uparty!

- Prawie tak samo jak ty.

- Dziękuję.

Podniósł rękę, jakby mówił „nie ma za co”, po czym wyszedł.

Ostatnie miesiące w Centrum były bardzo dziwne. Od lat żyłam w bezwzględnej rutynie, podporządkowana planowi dnia rozpisanemu co do minuty. I oto naraz to się rozsypywało, rozpadało we wszystkich kierunkach, zapowiadało zmiany na dobre i na złe. Ani chybi przedsmak mojego życia po wyjściu z Centrum.

Najpierw był dzień, kiedy wybrałam sobie nazwisko. Może ci się to wydać dziwne, ale zawsze nazywano mnie „Lila”. Po prostu „Lila”; nie miałam nazwiska. Gdzieś się zapodziało między aresztowaniem mojej matki a bramą Centrum. Do tej pory nie stanowiło to problemu, skoro jednak miałam wrócić do społeczeństwa, potrzebowałam pełnej tożsamości. Nazwiska rodzowego. Zauważałam w tym niejaką ironię.

- Przypuszczam, że kiedyś miałam jakieś nazwisko - zwróciłam uwagę Fernandowi. - Najprościej byłoby mi je zwrócić, nie sądzisz?

Poblądł i zacisnął usta.

- To niemożliwe, Lilu. Władze nigdy nam nie ujawniły, jak się nazywała twoja matka... znaczy... twoja biologiczna matka. Zresztą z tego, co wiemy, ona prawnie już nie jest twoją matką. Ustały więzy pokrewieństwa i... no tak jest i nic na to nie poradzę.

- Wiem, wiem: nic nie możesz poradzić i przykro ci.

Zauważyłam, że się wzburzył.

- Uwierz mi, gdybym mógł ci pomóc, zrobiłbym to. Ale sprawa od dawna jest

zamknięta. Nie ma w tym mojej winy.

Fernand generalnie taki właśnie był: pragnął robić dobrze, szczerze się martwił, niczemu nie był winny.

- Czyli jeśli dobrze zrozumiałam, pozbawiono mnie nazwiska, a teraz trzeba mi znaleźć inne.

- Zgadza się. Oczywiście można by ci nadać jakieś z urzędu. Kiedyś w ten sposób procedowano. Ale to się zmieniło. Teraz uważa się, że mądrzej pozwolić naszym pensjonariuszom, by każdy sam wybrał sobie nazwisko. Eksperci stanowczo stwierdzają: to pozwala łatwiej przywyknąć do nowej tożsamości.

- Eksperci są diablo bystrzy.

Pominał milczeniem ten sarkazm.

- Więc jak? Masz jakiś pomysł?

- Jakiego rodzaju ma być to nazwisko?

- Jakie ci się podoba: może być już istniejące albo nazwa miejscowa, albo przedmiotu... Masz pełną swobodę, wykorzystaj ją!

Popatrzyłam na niego speszona. Pełna swoboda, łatwo mówić. Tak długo żyłam pośród nakazów i zakazów, że nie bardzo wiedziałam, jak sobie z tą swobodą poradzić. Niepewnie otworzyłam słownik i zaczęłam przerzucać kartki. Przed oczami migały mi słowa, inadekwatny, inauguracja, incydent, indagacja, bez ładu i składu, manometr, maniak, manifest, mankiet, od Sasa do łasa. I niby co by miało z tego wyjść? Lila Barakuda, Lila Brelok, Lila Bruceloz... Absurd. Zatrzasnęłam słownik.

- Nic z tego. Jak mam wybrać ot tak, *hic et nunc*?

Wzniósł oczy do nieba - nie lubił, kiedy używałam wyrażeń po łacinie. Ale ani myślałam przejmować się tym.

- Nazwiska nie wolno wybierać pochopnie. Nazwisko jest na całe życie. Należało powiedzieć mi wcześniej!

- Och, nie ma gwałtu! Czasu jest dość.

Sięgnęłam do kieszeni po etui z okularami. Powstrzymał mnie gestem. Cofnęłam rękę, którą musnął.

- Nie ma gwałtu - powtórzył spokojnie. - Zastanów się. Masz kilka dni, a nawet tygodni, jeśli będzie trzeba. Nie martw się, wpadniesz na coś. Jak wybierzesz, daj mi znać.

Pokiwałam głową w zamyśleniu, ciągle wpatrzona w słownik. Machinalnie pogładziłam okładkę.

- Widziałas, że tu jest oderwane?

- Tak, wiem.

- Dobra, to pójdę już.

Dotąd nie rozumiem, co mnie nagle napadło. Krzyknęłam:

- Zaczekaj!

- Co się stało?

- Wymyśliłam.

- Proszę?

- Wymyśliłam. To znaczy prawie. Usiądź, proszę. To potrwa chwilkę.

- Co ty znowu kombinujesz?

- Wiesz, co powiedział Juliusz Cezar, kiedy przekraczał Rubikon?

- A co Juliusz Cezar ma tu do rzeczy?

- Cezar powiedział: *Alea iacta est*. Kości zostały rzucone. Otóż ja postanowiłam przekroczyć swój Rubikon: otworzę słownik na los szczęścia i moim nazwiskiem będzie pierwsze słowo na stronie nieparzystej. Załatwimy sprawę i więcej nie będziemy o tym mówili.

Popatrzył na mnie zdumiony.

- Co z tobą, Lilu? Dopiero co powiedziałaś, że takiego wyboru nie dokonuje się pochopnie!

- Tak, ale wobec doniosłości problemu zmieniłam zdanie i postanowiłam pójść na całość.

- Kompletnie ci odbiło!

- Wcale nie. Odwołanie się do przypadku może być jak najbardziej racjonalnym sposobem dokonania wyboru, który nastęrcza problemów. To zostało dowiedzione.

Nie przejmując się jego skonsternowaną miną, zamknęłam oczy, nabrałam głęboko powietrza do płuc i otworzyłam słownik, wołając:

- *Ale a iacta esñ*

Po czym odczekałam kilka sekund ze wstrzymanym oddechem, zamkniętymi oczami i tachykardią w piersi - chyba nie posiadałam się ze zdumienia, że odważyłam się na coś takiego. Usłyszałam, jak Fernand mamrocze:

- To niemożliwe! Niemożliwe!

Zwlekałam jeszcze chwilę z otwarciem oczu.

- Niemożliwe! - powtarzał Fernand jak nakręcony.

W końcu zdecydowałam się spojrzeć. I zobaczyłam. Słownik otworzył się na literze K. Pyszniła się czerwienią, zajmując całe pół strony. Wyraźna, jednoznaczna, nieodwołalna.

Z szerokim uśmiechem oznajmiłam:

- Proszę, wybrałam nazwisko: będę Lila K.

Fernand był tak oszołomiony, że aż śmieszny.

- To niemożliwe! - powtórzył po raz kolejny.

- Ależ możliwe! Słownik ma trzy tysiące siedemset dwadzieścia dziewięć stron.

Zapowiedziałam, że wybiorę ze strony nieparzystej. Była więc jedna szansa na tysiąc osiemset sześćdziesiąt pięć.

Z uporem kręcił głową - najwyraźniej nie potrafił się pogodzić z prawami statystyki i zasadą względności.

- Jedna szansa na tysiąc osiemset sześćdziesiąt pięć - powtórzyłam. - Tu nie ma dyskusji.

- Słyszałeś, co powiedziałam? Będę się nazywała Lila K. K jak kepi, kiwi, kajak...

- Jak Kauffmann.

- To był przypadek, jesteś świadkiem.

- Komisja uzna to za hołd.

- Niech się pocałuje w dupę! - zagrzmiałam, naśladując głos pana Kauffmanna. - To jest hołd.

- Diablica z ciebie - westchnął.

- Lila K. Albo tak, albo nie chcę nazwiska.

- No dobra, przekażę twoją decyzję. I zaświadczę, że nie było w tym premedytacji.

- Dziękuję. Zawsze wiedziałam, że poczciwy z ciebie człowiek.

Po jego wyjściu siedziałam nad słownikiem, kontemplując krwistoczerwoną literę K. Lila K, Lila K, Lila K, rozbrzmiewało we mnie radosną pewnością. Przyłożyłam policzek do kartki. Była gładka i ciepła niczym żywa skóra. „Lila K”, powiedziałam wyraźnie na głos. Potem zamknęłam oczy. I wtedy usłyszałam jakby napływające skądś z daleka echo dźwięcznego śmiechu.

\*

Wbrew obawom Fernanda głęby z komisji bez gadania zarejestrowały nazwisko, które sobie wybrałam.

- Znowu wstawiałem się za tobą, tak że zgodzili się przez wzgląd na mnie. Ale możesz być pewna, że swoje wiedzą!

Wzruszyłam ramionami.

- I co z tego, skoro się zgodzili?

- Mimo wszystko uważaj.

- Skoro mam ciebie po swojej stronie, chyba jestem pod dobrą ochroną.

- Człowiek nigdy nie jest pod dobrą ochroną, Lilu.

Na początku sierpnia wezwali mnie na przekazanie akt. Taka jest zasada: odchodząc z Centrum, każdy wychowanek otrzymuje swoje akta. Nie spodziewałam się jednak, że tak szybko to nastąpi - miałam opuścić Centrum dopiero w październiku.

- Czasami tak bywa - wytłumaczył mi Fernand.

Spostrzegłam, że ma dziwną minę; nie chciało mi się pytać dlaczego.

Zaprowadził mnie do dużej sali, której nie znałam. Były tam tylko dwa fotele i stół, na którym umieszczono grammabook.

- Czekamy na kogoś?

- Nie, tylko my dwoje będziemy.

- A tam ilu ich siedzi? - spytałam, wskazując duże lustro bez podlew, którymi wyłożone były ściany.

- Hm... tam są tylko kamery.

Udałam, że mu wierzę. Tak czy owak było mi obojętne, czy siedzi tam pięć osób, sto czy tysiąc. Liczyło się tylko to, czego miałam się dowiedzieć, ważne były informacje dotyczące mojej przeszłości. Nie oczekiwałam cudów. Po tym, co przed laty wyjawiał mi pan Kauffmann, nie spodziewałam się, że dowiem się czegoś o matce. Mimo wszystko jednak miałam nadzieję, że odtworzę chociaż częściowo to, co uciekło mi z pamięci. Odzyskam jakieś wspomnienia. Otrzymam wskazówki, które jakoś ukierunkują moje poszukiwania.

- Twoje dossier jest tutaj - szepnął Fernand, wskazując płytkę leżącą koło grammabooka. - Ale muszę cię ostrzec: to mogą być dla ciebie trudne chwile.

Ścisnęło mnie w środku, lecz zachowałam spokój.

- Dla mnie nic nigdy nie było łatwe, dobrze o tym wiesz.

Wyciągnęłam rękę po płytkę.

- Na pewno chcesz to zrobić?

Nie zadałam sobie trudu, by na to pytanie odpowiedzieć.

Strony zaczęły się przewijać. Ponad dwa tysiące stron: raporty komisji, oceny nauczycieli i wychowawców, karty zdrowia... Każdy rok spędzony w Centrum opisany w najdrobniejszych szczegółach. W tamtej chwili nie to mnie interesowało. Chciałam się cofnąć jak najdalej, do najwcześniejszego dzieciństwa. Ale daremnie szukałam - nic nie znalazłam. Ani jednego dokumentu odnoszącego się do tego okresu.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedziałam. - To tylko część akt. Co się stało z resztą?

- Reszta... no tak, reszta... Jest... jest osobno.



- Mogę zobaczyć?

- Tak... jeśli chcesz... Zaraz ci znajdę.

Pomanipulował przy grammabooku, by otworzyć folder. I wszystko się wyświetliło.

Iksy. To pierwsze rzuciło mi się w oczy. Były wszędzie. Wszędzie tam, gdzie powinno widnieć nazwisko mojej matki.

- Tak... tak się robi - wyjaśnił Fernand - kiedy ustają więzy pokrewieństwa: usuwa się z akt nazwiska przodków. Tak nakazuje prawo.

Już o tym wiedziałam. Pan Kauffmann mi powiedział. Byłam więc przygotowana. Odparłam:

- Oczywiście, tak nakazuje prawo.

Lekko przesunęłam grammabook, by lepiej widzieć wyświetlacz, i zaczęłam czytać.

Na pierwszej stronie moja metryka: urodzona 19 października 2089. Ojciec nieznany. Nazwisko matki zastąpione ciągiem iksów. Miejsce urodzenia: lecznica w Grigny, 5. dystrykt *extra muros*.

- W Zonie!

W Zonie. Nie mogłam uwierzyć, że urodziłam się w tej ponurej nędznej krainie, o której w wiadomościach krajowych ciągle mówiono, przypominając, że szerzy się tam przemoc, zepsucie i nielegalny handel.

Przewinęłam następne strony. Zawierały serię raportów medycznych z wizyt w zakładach opieki zdrowotnej nad matką z dzieckiem najpierw w 5. dystrykcie, później w 13. Znowu Zona. Ciągle ta Zona, ziemia obca, posępna i zdewastowana. Dygotałam.

- Jesteś pewien, że to moje akta?

Pokiwał głową ze smutną miną.

- Całkowicie.

Ostatni dokument opatrzony był datą 26 kwietnia 2092 roku. Lekarz zanotował: „Wspaniałe dziecko. Mówi płynnie”. Na tym się kończyło.

- To wszystko? Z późniejszego czasu nic nie ma?

- Jest - odparł Fernand. - Raport z twojego przyjęcia.

- Gdzie? Tutaj?

- Naprawdę chcesz go zobaczyć?

- Żartujesz?

Czoło naraz pokrył mu pot.

- W porządku, Lilu. Otworzę folder.

Przy ikonie na wyświetlaczu widniało: „Przyjęcie Lila 16X12095”.

- Nie rozumiem: tu kwiecień dziewięćdziesiątego drugiego, tu listopad dziewięćdziesiątego piątego. Luka trzech i pół roku między ostatnim dokumentem a przyjęciem mnie do Centrum. Co to oznacza?

- Zdarza się czasami. Rzadko, ale się zdarza.

- Chcesz powiedzieć, że *część* moich akt zniknęła?

- Nie... Chcę powiedzieć, że na pewien czas administracja straciła cię z oczu.

Wtedy właśnie włączył mi się alarm, lodowaty i przenikliwy. Zadrzałam wpatrzona w wyświetlacz.

- Lilu, nie musisz.

- Dobrze wiesz, że muszę - oznajmiłam, klikając w ikonę.

Pracownicy Centrum są skrupulatni. Raport sporządzono dokładnie. Nie pominięto żadnego szczegółu: „odwodnienie, niedożywienie, świerzb, wszy, ovsiki, ropiejąca rana na biodrze, zapalenie spojówek, ślady dawnych oparzeń na obu rękach z zabliznieniem, które doprowadziło do zrostu kilku palców, stare zrosnięte złamania palców i obojczyka, atrofia mięśni, światłowstręt” i wiele innych nieznanymi słów, których grecki rdzeń pozwalał się mimo wszystko domyślać znaczenia.

Były również zdjęcia. Dziesiątki zdjęć. Kiedy się przewijały, powtarzałam sobie bez ustanku, to nie ja, to nie ja. To nie mogę być ja. A przecież pamiętałam błyski fleszy i swój wrzask. Pamiętałam okulary, które mi dano, żebym chroniła oczy. Pamiętałam, że to byłam ja. Ze to było moje życie.

Po wyświetleniu ostatniego zdjęcia wyciągnęłam rękę do klawiatury, by wrócić do początku. I zaczęłam oglądać od nowa. Fernand obserwował mnie w milczeniu. Doszedłszy do końca, chciałam jeszcze raz zobaczyć wszystkie.

- Przestań - powiedział Fernand, nakrywając moją dłoń swoją.

Wtedy po raz pierwszy odważył się mnie dotknąć. Myślę, że zrobił to bez zastanowienia. Albo umyślnie, uważając, że to jedyny sposób, abym zabrała rękę z klawiatury. Sięgnęłam do kieszeni po okulary słoneczne.

- Nie, Lilu. Lepiej tego nie rób.

Popatrzyłam na niego, nie rozumiejąc, i spostrzegłam, że z zakłopotaniem zerka na lustro bez podlewu. No jasne. Po drugiej stronie siedzieli wszyscy, badawczo obserwując moją twarz, kamery nagrywały ją w zbliżeniu. Nie chcieli przeoczyć żadnego szczegółu. Okulary słoneczne zepsułyby widowisko, zafalszowały dane. Czego się jednak spodziewali? Ataku nerwowego? Szlochów? Histerii? Przez moment korciło mnie, aby dać im, czego chcieli. Stanąć, złapać grammabook, roztrzaskać go na marmurowych płytach, cisnąć

krzesłem w lustra. Splunąć im w twarz swoim cierpieniem, wyrzucić je z siebie niczym dokuczliwy śluz. Ulżyć sobie. Banda hien. O mało tak nie zrobiłam.

Jestem jednak inteligentna - znacznie powyżej przeciętnej, jak wiesz - i trzeźwa. Doskonale rozumiałam, że gdybym dała upust emocjom, mogłoby to posłużyć jako pretekst do zatrzymania mnie w Centrum. Bez trudu wyobrażałam sobie, co by napisali w raporcie: „Wstrząs emocjonalny jako konsekwencja zapoznania się z aktami. Skłonności depresyjne. Słabość psychiczna”. Zaczynałam poznawać ich żargon i rozumieć, jak to się odbywa. Opóźnienie mojego wyjścia z Centrum nie wchodziło w grę. Dlatego zapanowałam nad sobą.

Skrzyżowałam ręce na brzuchu, zamknęłam oczy, zacisnęłam zęby i wstrzymałam oddech - ciało zamknięte na trzy spusty. Żeby tylko nic nie wylazło na wierzch. Utrzymać wszystko ściśnięte w środku. Zobaczą jedynie beznamiętną twarz zastygłą w stoickim wyrazie. Ani krzty strachu. Ani krzty bólu. Nie będzie widowiska.

Kiedy się koncentrowałam, doszedł mnie głos Fernanda, który rzekł bardzo łagodnie:

- Jeśli chcesz, wezwę pielęgniarkę, żeby ci zrobiła zastrzyk. Jest tuż obok. Ściągnięto ją na wypadek...

Pokręciłam głową.

- Wiesz, zastrzyk by ci pomógł przejść przez to.

Znowu pokręciłam głową. Więcej nie nalegał.

Długo tak siedziałam, zmagając się z tą potwornością. Musiałam ją zaakceptować, spojrzeć jej w twarz. Stawić czoło. Aby zrozumiała, że ja tu rządzę. Że nie będzie górą.

Kiedy otworzyłam oczy, Fernand zapytał:

- Jak się trzymasz?

- Dobrze.

Oniemiała patrzyłam na zdjęcie widoczne na wyświetlaczu, ostatnie: kawałek chyba uda albo ramienia, sama nie wiem, pokryty wybroczynami. Siniak na siniaku.

- Czemu nikt mi nic nie powiedział?

- Parę razy zamierzaliśmy ci powiedzieć, Lilu, ale... ty wszystko zapomniałaś. Wszystko. Dlatego w końcu uznaliśmy, że lepiej nie ryzykować i nie konfrontować cię z tym przedwcześnie.

- I co ja mam teraz zrobić?

- Teraz masz dalej robić swoje, jakby tamto nigdy nie istniało.

Nadal wpatrywałam się w wyświetlacz, w posiniaczone białe ciało. Moje ciało. Teraz istniało tamto wszystko. Miałam to przed oczami.

- Niczego nie pamiętasz, Lilu. Niczego. Te zdjęcia i wszystkie dokumenty, które

zobaczyłaś dzisiaj, są jak zamknięty raz na zawsze koszmar. To już nie twoje życie. To już nie ty. Nic lepszego nie mogło cię spotkać. Teraz pozostaje ci tylko żyć. Jeśli chodzi o Zonę, nie martw się. Mamy procedury. W twoim dossier nigdzie nie będzie o tym mowy. Nawet w dowodzie tożsamości. Nikt się nie dowie. Dlatego jeśli postarasz się zapomnieć, będzie tak, jakby dzisiejsze spotkanie w ogóle nie miało miejsca.

Spojrzałam na niego trochę nieprzytomnie. Z trudem za nim nadażałam.

- Wiem... wiemy, że to nie będzie łatwe. Ale musisz wiedzieć, że dużo osób tutaj chce ci pomóc. W Centrum takie sytuacje bywają na porządku dziennym. Jeśli potrzebujesz wsparcia, przewidzieliśmy wszystko co trzeba.

- Można by pomyśleć, że zawsze wszystko przewidujecie.

- Po to tutaj jesteśmy.

- Chyba dam sobie radę.

- Mam nadzieję... pewność. Jesteś taka silna, Lilu. Taka uparta.

- Jeszcze coś chciałam powiedzieć... o mojej matce... Nie ona mi to zrobiła. Jestem pewna. Gdyby to była jej sprawka, przecież bym pamiętała, prawda?

Noc spędziłam pod łóżkiem. Od dawna tam nie wchodziłam, lecz po tym, co przeżyłam, czułam taką potrzebę. Nie spałam: musiałam się zastanowić - nie da się robić wszystkiego równocześnie.

- Pokazali mi dzisiaj moje akta.

- Wiem, dziewczynko.

- Ciężko było, mówię panu. Nie przypuszczałam... Zona, te zdjęcia...

- Domyślałam się, dziecino.

- Nie wiem, czy uda mi się to udźwignąć.

- Ależ na pewno ci się uda!

- Gdybym chociaż dzięki temu znalazła jakiś trop, żeby odszukać mamę!... Ale tam nic nie ma. Zupełnie nic.

- Nie jestem taki pewien.

- Co pan chce powiedzieć?

- Zastanów się.

- Proszę mi pomóc!

Jednakże odszedł już.

Nie opuściłam rąk. Szukałam dalej. Jeszcze kilka razy przeczytałam początek moich akt: metrykę urodzenia i wszystkie raporty medyczne. „Wspaniałe dziecko.

Mówi płynnie”. Od tych słów ciepło mi się robiło na sercu - chociaż tyle dla

przeciwwagi wobec potworności zdjęć. Stale je przeglądałam, próbując się z nimi oswoić. Ostatecznie stały się jakby abstrakcyjnymi obrazkami, kawałkami okaleczonego ciała. Jego białymi, brązowymi, różowymi fragmentami. Jak się nad tym zastanawiam, było to w sumie najlepsze wyjście: długo wypierana ponura historia stała się dziełem sztuki.

Pan Kauffmann miał słuszność: akta wcale nie były tak pozbawione informacji, jak mi się początkowo zdawało. Już wiedziałam, jak się do tego zabrać.

Pod koniec września w budynku, w którym mieszkał Fernand, zwolniła się kawalerka. Natychmiast podjął stosowne kroki, żeby mi ją przydzielono. Przepelniał go entuzjazm: „Ostatnie piętro, pięćdziesiąte siódme. Wspaniały widok. A gdybyś mnie potrzebowała, będę zawsze w pobliżu. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona?”. Naturalnie przytaknęłam, chociaż w gruncie rzeczy wcale nie byłam tego taka pewna.

W następną niedzielę Fernand zabrał mnie na oględziny mieszkania. Czekala na nas strażniczka - miała nam pokazać lokal. Była jeszcze paskudniejsza, niż pamiętałam. Kiedy wlokła się ku nam taka pokrzywiona, nie mogłam się pohamować i szepnęłam do Fernanda:

- Jak można produkować takie istoty?

- Ciszej! - odszepnęła. - Ona ma bardzo czuły słuch. I na litość, staraj się tak na nią nie gapić!

Natychmiast nałożyłam okulary słoneczne.

- Możesz się nie martwić. Potrafię się opanować.

Z bliska strażniczka wyglądała jeszcze gorzej. Kiedy jechaliśmy windą na ostatnie piętro, stałam przyklejona do ścianki w głębi, by nie dotykał mnie jej wielki tyłek. Ze środka dobiegało takie chlup, chlup.

Omało się nie porzygałam.

Mieszkanko nie było duże, lecz o bardzo dobrym układzie: pokój z całą ścianą przeszkloną i balkonem, wnęka kuchenna, malutka łazienka, ubikacja.

- Toaleta została wyposażona w nowe obowiązkowe urządzenie do analizy moczu - poinformowała strażniczka. - Widzą państwo, wszystko jest opisane tutaj, na tej tablicy: badanie na posiew, betaHCG

Itest na narkotyki, alkohol, nikotyne, metadon, kokainę i tak dalej. Wyniki są przekazywane bezpośrednio do właściwego lekarza.

Wydawała się dumna z pomysłowości urządzenia, jakby osobiście się przyczyniła do opracowania go. Następnie dodała:

- Kamery wymieniono na najnowsze modele, znacznie lepszej jakości. Będzie pani jeszcze lepiej chroniona.

Jeszcze lepiej nadzorowana, pomyślałam, lecz chwila nie była odpowiednia na głupie dowcipy.

Strażniczka pokazała mi, jak włączać alarm, ogrzewanie, zmieniać natężenie światła, zaciągać story. Słuchałam uważnie, obserwując jej palce przebiegające po klawiszach wbudowanych w ścianę.

- Żeby otworzyć garderobę, naciskamy tu.

Płyta zaczęła się przesuwać, odsłaniając wielką garderobę podobną do tej, którą tak podziwiałam kiedyś w pokoju dzieciennym u Lucienne i Fernanda.

- Wspaniała!

Strażniczka uniosła jedną brew.

- O, widzę, że robi na pani wrażenie. Pewnie lubi pani porządek, co?

- Tak... tak. Lubię, żeby wszystko było na swoim miejscu.

Pokiwała głową.

- To dobrze. Nie cierpię bałaganiarzy. No to przejdźmy do wystroju. Ma pani do wyboru opcje: „dżungla”, „laguna”, „dolina” i „tysiąc kwiatów”. Reszta jest w wyposażeniu dodatkowym.

Mówiąc, przyciskała klawisze i ściany przyoblekały się w intensywnie kolorowe widoczki o przepastnej perspektywie: ciągnące się w nieskończoność wydmy, gęstwa wysokich traw falujących na wietrze, turkusowe niebo zlewające się w oddali z granatowym horyzontem. Tyle barw, tyle światła... Nawet w okularach nie mogłam tego wytrzymać.

- I co pani wybiera?

- Chyba zostawię białe ściany.

Drgnęła.

- Nie chce pani nic na ścianach?

Fernand odchrząknął.

- Liłu, nie można zostawić białych ścian. W małych mieszkaniach wybiera się dekorację, żeby optycznie powiększyć przestrzeń.

Uświadomiwszy sobie, że popełniłam gafę, zaraz się poprawiłam:

- Tak, tak... jasne, żeby powiększyć przestrzeń. To oczywiste.

- Biel jest przygnębiająca.

- Tak, tak, przygnębiająca - powtórzyłam ulegle.

Strażniczka spoglądała na mnie teraz podejrzliwie. Wtedy zauważyłam jej szare oczy z pionowymi źrenicami. Pomyślałam, że ma w sobie coś wężowego, i przeszedł mnie dreszcz.

- No to co pani wybiera? - zapytała głosem nagle lodowatym.

- Hm, nie potrafię się zdecydować. Czy mogę się zastanowić kilka dni?

- Ja się pytam, żeby pani pomóc, bo wszystko można by wyregulować. Ale w końcu może sobie pani to zrobić sama.

- Tak, sama zrobię.

Zacisnęła usta z pogardliwą miną. W porywie rozpaczy dodałam:

- Dziękuję za cierpliwość i uprzejmość.

Banalna formułka, której nauczył mnie Fernand.

Nie wystarczyła jednak, by strażniczka się rozchmurzyła.

Po wyjściu z kawalerki wstąpiliśmy do Fernanda. Nie bardzo miałam ochotę, lecz usilnie nalegał. „Tak dawno nie widziałaś Paszy...” W mieszkaniu wiało smutkiem. Minęło parę lat, a Fernand nic nie zmienił w wystroju. Wszędzie czuło się nieobecność Lucienne.

Pasza spał na białej kanapie owinięty w kocyk.

- Bez przykrycia dygocze z zimna - szepnął Fernand.

Ścisnęło mnie za gardło.

- Nie myślałam, że aż tak...

- Trzy lata to trwa. Prawie nic nie je. Cud, że jeszcze żyje.

- Naprawdę nijak nie można mu pomóc?

- Służby weterynaryjne mówią, że niewiele da się zrobić. Radzą, żeby mu skrócić cierpienia.

- To znaczy... eutanazja?

Pokiwał głową.

- W klinikach dla zwierząt bardzo dobrze to robią, prawie tak troskliwie jak w szpitalach. Zapewniają mnie, że Pasza odejdzie nieświadom niczego. Już parę miesięcy temu dostałem formularz. Trzeba go tylko wypełnić.

Popatrzyłam na wystający spod kołdry łysy łebek z zamkniętymi ślepkami.

- No i co zrobisz?

- Daję sobie jeszcze trochę czasu... to znaczy jemu daję trochę czasu. Trudna decyzja.

To kot Lucienne, rozumiesz?

Oczywiście, że rozumiałam. Wolno nachyliłam się nad Paszą, przysuwając dłoń do lodowatego pyszczka. Otworzył oczy. Takie same jak niegdyś, koloru wodnej toni, z takim samym jak dawniej błyskiem, aż człowieka przechodził dreszcz.

- Pasza...

Podniósł łebek. Sprężył się cały.

- Pasza, to ja. Pamiętasz mnie, Pasza?

Miauknął słabo, ochryple.

- Nie ruszaj się, kiciu.

On jednak chciał się ruszyć. Z trudem dźwignął się na łapki, koc się z niego zsunął, odsłaniając wychudłe ciało.

- Och, Paszuniu!

Przywłókł się do mnie na skraj kanapy. Z wysiłku nabrzmiały mu żyły na szyi.

- Moje śliczności... - Otworzyłam ramiona. - Chodź, Pasza.

Znowu miauknął z uniesionym pyszczkiem, drżącymi nozdrzami. Łapki się pod nim uginały, był za słaby, żeby wskoczyć. Przykucnęłam i ostrożnie wzięłam go na ręce. Prawie nic nie ważył. Otoczyłam go ramionami.

- Mój śliczny, moje kociątko...

Położyłam mu dłoń na boku i poczułam pod nią jego życie, które w rytm uderzeń serca wciąż jeszcze uparcie pulsowało.

- No, no, wszystko będzie dobrze.

Wtulił łebek w zgięcie mojego łokcia i zamknął oczy.

- Nie do wiary - powiedział Fernand. - Mnie się nigdy nie udało tak go wziąć, odkąd... no wiesz. Nikomu nie pozwala się dotknąć.

- Po prostu nie umiesz się do tego zabrać - odparłam, przyciskając Paszę mocniej do brzucha.

Fernand uśmiechnął się smutno.

- Pewnie tak... Napijesz się czegoś?

- Nie. Chcę tylko chwilkę tak z nim posiedzieć.

Kiedy przed odejściem położyłam Paszę na kanapie, nie przebudził się. Okryłam go kocem z dziwnym uczuciem, że układam do snu osłabione dziecko.

- Odwiedzaj go jak najczęściej - szepnął Fernand.

Odparłam:

- Skoro chcesz...

Uśmiechnął się i poszedł po nasze płaszcze. Skorzystałam z okazji i z szafki w kuchni ukradłam konserwę.

Na pomysł wpadłam jeszcze tego wieczoru, kiedy w samotności urządziłam sobie ucztę - pierwszą od trzech lat. Musiałam tylko znaleźć okazję, by pogadać z Fernandem.

Kilka dni później udaliśmy się znowu do mojej kawalerki, by zobaczyć, jak poustawiać meble, które miałam zamówić. Tuż po wyjściu Fernand poprosił:

- Lilu, mogłabyś zajrzeć do mnie i pożegnać się z Paszą?



- Chcesz powiedzieć...

Kiwnął głową.

- Zdecydowałem się. Wypełniłem formularz.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie! Nie ma sensu skazywać go na cierpienie.

- Wiesz, może jest inne rozwiązanie.

Zacisnął pięści i pokręcił głową.

- Posłuchaj, mam propozycję: oddaj go mnie.

Patrzył na mnie, nie rozumiejąc.

- Wiesz, jak się do tego zwierzaka przywiązałam, i sam mówisz, że przy mnie Pasza jakby czuł się lepiej. Czemu nie mielibyśmy spróbować?

Nie odpowiedział.

- Skoro sprawy zaszły tak daleko, równie dobrze możesz oddać go mnie. Jeżeli nic to nie da, jeżeli Paszy się nie poprawi, zawsze będzie czas, żeby... żeby zrobić, co zamierzasz.

Ciągle jeszcze się wahał. Dodałam więc, aby go przekonać ostatecznie:

- Wiesz, myślę, że i mnie by dobrze zrobiło, gdybym musiała się opiekować zwierzęciem. Miałabym towarzystwo. Przydałoby mi się bardzo, kiedy będę sama mieszkała.

Jeszcze chwilę się zastanawiał, w końcu rzucił:

- Masz rację. Spróbujmy.

Ustalono, że Centrum opuszcze 31 października. Fernand jednak uzmysłowił mi, że nie oznacza to dla mnie całkowitej swobody. Pierwsze dwa lata to „okres próbny”, w tym czasie będę nieustannie obserwowana i oceniana - Fernand oględnie nazwał to „dozorem”. Centrum nie tak łatwo wyzwało swoich wychowanków.

Nie ucieszyło mnie, że jeszcze tyle czasu będę ich miała na karku. Groziło to opóźnieniem w realizacji moich planów. Ale z drugiej strony czułam, że nadal będą mi potrzebni. Ich kontrola. Rady Fernanda. Nawet jeżeli z przykrością potrafiłam się z tym pogodzić.

Ostatnie tygodnie miałam bardzo wypełnione. Lekarze w Centrum zrobili mi kompletny „przeгляд techniczny” i wszczepili implant antykoncepcyjny - oczywiście ani słówkiem nie pisałam, że niewielkie są szanse, aby się kiedyś przydał.

Fernand pomógł mi zamówić w sieci meble, naczynia i pościel. Wszystko miało zostać zapłacone z zapomogi na zagospodarowanie, którą przyznało mi Centrum. Potrzebowałam również trochę garderoby. Nie miałam pojęcia, co powinnam mieć. Fernand wybrał za mnie ubrania w ciemnych kolorach, proste w kroju i skromne.

- Pasują do każdych okoliczności. Nie będziesz się rzucała w oczy ani nie ubierzesz się niestosownie.

Kiwnęłam głową. Wtopić się w tłum, nie zwracać na siebie uwagi - to mi odpowiadało. Pozostał jeszcze jeden szczegół do załatwienia.

- Chciałabym mieć jakieś kwiatki na balkonie. Myślisz, że to możliwe?

- Interesujesz się teraz roślinami?

- A czemu nie? Zieleń jest bardzo ładna. Wesoła...

Popatrzył na mnie z miną mówiącą: „Mała, za dobrze cię znam, by nie wiedzieć, że coś kombinujesz”. Uśmiechnęłam się niewinnie. Mógł się do woli doszukiwać kantu, wiedziałam, że nigdy nie wpadnie na to, co mnie chodziło po głowie.

- To jak? Zgodzisz się?

Jeszcze przez kilka chwil mi się przyglądał, szukając w mojej twarzy rozwiązania zagadki. Potem skrzywił się z rezygnacją.

- W sumie czemu nie? Rośliny w doniczkach nikomu nie zaszkodzą.

I wpisał do wyszukiwarki „kwiaty doniczkowe, ogrodnictwo”.

Kiedy wreszcie nadszedł dzień mojego odejścia, nie zaznałam radości, na jaką liczyłam. Nawet cienia ulgi. Żadnego podniecenia. Poczulałam natomiast ciężar w piersi - myślę, że to był smutek. Przez dwanaście lat Centrum było mi domem, więzieniem, kokonem. Przyzwyczajenie tworzy więzy, których nie da się zerwać bez dotkliwych skutków.

Wysprzątałam pokój, poskładałam pościel, zebrałam swoje ostatnie rzeczy. Następnie poszłam się pożegnać z opiekunami i nauczycielami, którzy sprawowali nade mną opiekę przez te wszystkie lata. Potraktowałam to formalnie, „do widzenia i dziękuję” - nikogo nie będę żałowała z wyjątkiem Takana. Z nim było zupełnie inaczej: dwanaście lat codziennego poklepywania jednak nas do siebie zbliżyło.

- Do widzenia, panie Takano.

- Do widzenia, chudzino... - Zakaszłał dwa, trzy razy, po czym zapytał: - Pozwolisz, że jeszcze raz to powiem?

Z uśmiechem kiwnęłam głową.

- Do widzenia, chudzino. I niech ci się wiedzie.

- Muszę panu coś wyznać: pod koniec prawie wcale nie budził pan we mnie wstrętu.

- Och, chudzino, nie mogłaś mi sprawić większej przyjemności!

Wiedziałam, że mówi szczerze.

Później po raz ostatni udałam się na dach. Wiało akurat jak wszyscy diabli, głowę chciało urwać. Nie wiem, czy wiatr przegnał smutek, czy po prostu wystarczyło, że

spojrzałam na horyzont. Miałam osiemnaście lat, nareszcie stąd wychodziłam i dokładnie wiedziałam, gdzie się udać: 124° est. *Ex libris veritas*. Pośród chmur przemykających wysoko nad potężnymi wieżowcami biblioteki rysował się wyraźnie uśmiech mojej matki.

Pod wieczór przyjechała wahadłówka, by zawieźć mnie pod mój blok. W mieszkaniu były już meble i wszystko inne ustawione według moich wskazówek, na balkonie kwiaty - dwie długie, głębokie donice z paprociami o trwałym listowiu, które wybrałam oficjalnie ze względu na ich dekoracyjność.

W szafce łazienkowej niczego nie brakowało, był nawet nowy Sensor, który otrzymałam od Ministerstwa Zdrowia z okazji osiemnastych urodzin. W lodówce znajdowało się jedzenie na dwa dni, nowe ubrania starannie poukładano w garderobie, następnego dnia byłam umówiona na pierwsze spotkanie z panem Coplandem, dyrektorem działu cyfryzacji Wielkiej Biblioteki. Moje nowe życie zostało w pełni przygotowane.

Reszta dnia zeszła mi na rozmieszczaniu rzeczy, które ze sobą przywiozłam: grammabooka, słownika, kalejdoskopu, pióra, busoli oraz ryzy papieru i butelki atramentu, których opakowania dotąd były nietknięte.

I jedwabnego szalika pana Kauffmanna, który dyskretnie schowałam w komodzie pod stosikiem Tshirtów.

Okolo dziewiętnastej wpadł Fernand, przynosząc Paszę i wszystko co trzeba: zaświadczenie o adopcji, książeczkę zdrowia, kuwetę. Dodał trzy konserwy z kocim pasztetem.

- Zostawię ci je. Na co mi one teraz?

Wzięłam puszki. Ręce lekko mi drżały.

- Na pewno sobie poradzisz?

- Nie martw się o mnie.

Zgrywałam się. W gruncie rzeczy miałam duszę na ramieniu, lecz za nic w świecie bym się do tego nie przyznała.

- No to pójdę już.

Przemknęło mi przez głowę, żeby zatrzymać go chwilę pod jakimś pretekstem. Zaraz jednak wzięłam się w garść. Słyszałam, jak Pasza wierci się w koszyku. Przycisnęłam konserwy z jedzeniem. Nadeszła pora.

- Do zobaczenia, Fernand.

- Do zobaczenia, Lilu.

- Życz mi powodzenia.

Uśmiechnął się.

- Powodzenia, Lili K.

Teraz ja się uśmiechnęłam, po czym zamknęłam drzwi, jak przewraca się kartkę.

## *Wielka Biblioteka*

Wahadłówka miała przyjechać po mnie piętnaście po ósmej. Spotkanie miałam o dziewiątej. Ubrałam się starannie według wskazówek Fernanda: czarna garsonka i szarobeżowy płaszcz, wszystko nie przyciągające spojrzeń. Mimo to banalny strój wydawał mi się równie nie na miejscu jak najbardziej egzotyczne przebranie. Pierwszy raz ubrałam się po cywilnemu.

O ósmej czterdzieści trzy wysiadłam z wahadłówki pod Wielką Biblioteką. Bramę przekroczyłam trzy minuty później. Nie wiem, dlaczego ci podaję te szczegóły. Pewnie chcę przez to powiedzieć, że czerpałam otuchę z cyfr wyświetlających mi się na zegarku - cyfry zawsze działały na mnie uspokajająco.

U wejścia okazałam automatowi dokumenty - Lila K czarno na białym, ciągle nie mogłam w to uwierzyć - następnie przeszłam przez detektor i skierowałam się ku recepcji.

Na mój widok recepcjonistka lekko drgnęła, lecz zaraz się opanowała. Zastanowiłam się, co ze mną nie w porządku w wyglądzie albo w zachowaniu, jaki błąd popełniłam, ale niczego nie znalazłam. Kobieta nadal badawczo na mnie patrzyła, lekko mrużąc oczy, blondynka o ładnie zarysowanych ustach podkreślonych jednym pociągnięciem szminki barwy koralowej. Zwróciłam uwagę na jej kości policzkowe, zbyt wystające, by były naturalne - słowo daję, niektórzy chirurdzy naprawdę przesadzają.

- Dzień dobry, nazywam się Lila K. Jestem umówiona z panem Coplandem.

Zerknęła do wydruku, kiwnęła głową.

- Proszę iść głównym korytarzem, skręcić w drugi po prawej. Dalej windą D na siedemdziesiąte piąte piętro. Uprzedzę pana Coplanda, że pani jest.

- Dziękuję.

- Nie ma za co - odparła z uśmiechem, który sprawił, że kości policzkowe podjechały jej nieprzyzwoicie wysoko, a z oczu zrobiły się dwie ostre niebieskie szparki. Odwróciłam się skrzepowana i pospieszyłam we wskazanym kierunku. Skręcając w korytarz po prawej, zerknęłam w stronę recepcji: kobieta ciągle za mną patrzyła.

Pan Copland czekał na mnie w drzwiach gabinetu. Zobaczywszy mnie, drgnął nieznacznie, tak jak tamta kobieta w recepcji. Przeszło mi przez myśl pytanie, czy to z zaskoczenia, czy z niechęci. Po zastanowieniu uznałam, że jedno nie wyklucza drugiego. Dla dodania sobie odwagi zerknęłam na zegarek: punktualnie dziewiąta. Moim zdaniem przyjscie na spotkanie co do minuty to powód do zadowolenia. Tym razem jednak to nie wystarczyło, aby mnie uspokoić.

- Witam panią. Zapraszam - powiedział pan Copland.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Jakoś to zniosłam - wiedziałam, że tak trzeba i że nieraz jeszcze będę musiała się poddawać temu wstrętnemu, niehigienicznemu rytuałowi. Copland udał, że nie zauważył, jak wilgotną mam dłoń. Poprosił, żebym usiadła, sam także zajął miejsce. Przez moment myślałam, że ponad moje siły będzie takie spotkanie sam na sam, oko w oko z obcym człowiekiem. Przez moment słabości i wielkiej samotności. Na szczęście dzieliło nas biurko.

- Miło panią u nas widzieć - rzekł ciepło Copland.

- Wie pani, Fernand Jublin dużo mi o pani mówił.

- Nie wiedziałam.

Nie śmiałam zapytać, co właściwie Fernand mu powiedział. Tak czy owak Centrum już mu dostarczyło pełne dossier wraz z kompletną historią mojego grammabooka - co oznaczało, że niemało o mnie wie.

- Uznałem, że dobrze będzie zaprosić panią na to spotkanie, by z grubsza wyjaśnić, na czym ma polegać pani praca, a przy okazji pozna pani bliżej teren działania.

- To bardzo uprzejme.

- Jak pewnie już pan Jublin powiedział, otrzyma pani stanowisko w dziale cyfryzacji dokumentów papierowych, głównie gazet. Pani zadaniem będzie skanowanie dokumentów z zastosowaniem różnych poziomów kodowania i z wprowadzaniem sygnatur. To dość proste zajęcie, chociaż wymaga staranności. Stanowisko na poziomie E. Nie wymaga się inicjatywy, pracownik nie ponosi żadnej odpowiedzialności prócz tej, która dotyczy dokładności w wykonywaniu zleconego zadania.

- To mi odpowiada.

Copland udał, że zagląda do grammabooka stojącego na biurku.

- Mam tu wiadomość od Fernanda Jublina, który zauważa, że jego zdaniem ta posada jest znacznie poniżej pani możliwości. Utrzymuje, że bez trudu poradziłaby sobie pani na stanowisku na poziomie A. Co pani na to?

- Myślę, że Fernand Jublin mnie przecenia. Praca, którą pan proponuje, bardzo mi odpowiada.

- Zatem na razie na tym poprzestaniemy. Ale proszę pamiętać, że gdyby kiedykolwiek zamarzyła się pani ciekawsza kariera zawodowa, będziemy mogli ponownie rozważyć pani sytuację.

- Jestem wdzięczna.

Kiwnął głową.

- Za chwilę zajmie się panią nasza pracownica, pani Garcia, która oprowadzi panią po dziale i nauczy obsługiwać sprzęt. Przedtem jednak mam formalny obowiązek poinformować panią o ryzyku alergii skórnych i zaburzeń oddychania w związku z kontaktem z nośnikiem papierowym. Proszę zatem bezwzględnie się stosować do zasad bezpieczeństwa obowiązujących w dziale: wymagane jest noszenie rękawiczek, a także maseczki, gdy będzie pani miała do czynienia z dokumentami uszkodzonymi. Regulamin znajduje się na płycie, którą dostanie pani od pani Garcii. Proszę się z nim dokładnie zapoznać, podpisać na końcu dokumentu i jak najszybciej nam przesłać.

- Nie omieszkałam, panie dyrektorze - szepnęłam kompletnie oszołomiona stekiem bezsensownych przepisów. Co nie uszło uwagi Coplanda. Odchrząknął, jakby przeszkadzała mu chrypka.

- Wiem od Fernanda Jublina, że przez kilka lat miała pani do dyspozycji stare książki.

- Owszem.

- Przepisy zatem powinna pani znać.

- Właściwie... nie znam ich. Prawdę powiedziawszy, nie przedsiębrałam szczególnych środków ostrożności. Korzystałam z książek gołymi rękami.

Spojrzał na mnie przerażony.

- Centrum pozwoliło na coś takiego?

- To szaleństwo! Żeby na takie ryzyko narażać dziecko... Mógłby z tego wyniknąć piękny skandal!

- Nie... nie miałam nigdy żadnego problemu. Ani alergii, ani nic.

- Miała pani szczęście. I Centrum także!

- Jestem tego świadoma, panie dyrektorze - odparłam pokornie. Copland był ostatnią osobą, z którą chciałabym zadrzeć.

\*

Szybko zakończył rozmowę. Raz jeszcze powtórzył, że miło mu było mnie poznać, po czym znalazłam się pod pieczęcią pani Garcii, blondynki o gładkiej twarzy i wysokich kościach policzkowych. Była wiernym odbiciem recepcjonistki, jakby seryjnie je produkowali. Na mój widok tak samo jak inni lekko się wzdrygnęła. Tym razem nie miałam wątpliwości: na pewno popełniałam jakiś nietakt, lecz nie wiedziałam, jakiego rodzaju. Obiecałam sobie, że pogadam o tym z Fernandem, jak tylko nadarzy się okazja.

- Proszę - powiedziała blondynka tonem ledwie uprzejmym - to pani karta. Dzięki niej dostanie się pani na sto dwudzieste piętro. Tam będzie pani pracowała. Dział cyfryzacji zajmuje czterdzieści pięter, ale pracownik ma wstęp tylko na to, gdzie mieści się jego boks.

Ze względów bezpieczeństwa. No, a teraz proszę za mną, oprowadzę panią.

Windą wjechałyśmy na sto dwudzieste piętro. Szłam za blondynką szerokim korytarzem o ścianach pokrytych okładziną. Po kilku metrach Garcia się zatrzymała.

- Tu jest gabinet pana Templetona, dyrektora działu.

- To nie pan Copland jest dyrektorem?

Wzniosła oczy do nieba.

- Pan Copland jest zastępcą dyrektora. Dyrektorem jest pan Templeton. Tutaj jest to napisane - rzekła, wskazując grawerowaną tabliczkę na drzwiach.

- Umie pani czytać?

Poczułam, że się rumienię.

- Pan Templeton przebywa aktualnie z misją w Zonie. Wróci nie wcześniej niż za kilka miesięcy. W tym czasie z problemami czy każdą inną sprawą ma się pani zwracać do pana Coplanda. Zrozumiano?

Naprawdę zaczynała mi działać na nerwy tym swoim traktowaniem mnie z góry i plastikowym obliczem, byłam jednak zdecydowana grać pokorną gąskę. Zrobiłam skruszoną, prawie wystraszoną minę.

- Tak, tak, zrozumiano.

Na jej twarz wypłynął lekki uśmiezek satysfakcji.

Przez szpary w żaluzjowej zasłonie zerknęłam do obszernego gabinetu o szklanych ścianach. Wszędzie - na stole, w biblioteczkach - widać było sterty papierowych dokumentów starannie zapakowanych w hermetyczne worki. Na konsolce leżała kolekcja starych piór. Na ścianie wisiała seria portretów mężczyzn, kobiet i dzieci o twarzach bez uśmiechu. Od razu wszyscy wydali mi się dziwnie znajomi.

- Może już wystarczy? - burknęła blondyna. - Nie mam całego dnia do dyspozycji. Chodźmy dalej.

Posłusznie ruszyłam za nią - nigdy nie drażnić samicy dominującej. Po obu stronach korytarza mieściły się przeszklone boksy, w których pracownicy w rękawiczkach po łokcie skanowali strony gazet. Nikt nie podniósł wzroku.

- Sanitariaty są tam. Każdy pracownik ma w boksie szafkę na rzeczy osobiste. Tu jest wspólna sala z dystrybutorami napojów i przekąsek, ale regulamin zabrania jeść w boksach. Teraz pójdziemy do pani boks.

Korytarz skręcał w prawo i po kilku metrach kończył się wyjściem ewakuacyjnym. Znajdował się tam tylko jeden boks. Wolny.

- To dawny schowek, który przebudowano. Mam nadzieję, że się pani podoba -



oznajmiła blondyna odrobinę kpiąco.

- Jeszcze jak!

Popatrzyła na mnie zaskoczona. Pewnie sądziła, że żartuję. Ale ja nie żartowałam: ciemna, wąska klitka w głębi korytarza. Czy mogłam marzyć o czymś lepszym? Niewiele światła, mało kto tędy przechodził, będę miała spokój. Oczywiście w ścianie była kamera na wprost szklanej ścianki. Jednakże wiesz równie dobrze jak ja, że kamerę zawsze można przechytrzyć.

W niecałe dwie godziny nauczyłam się obsługiwać skaner. Blondyna pokazała mi, jak się obchodzić z dokumentami i jak działa program kodujący. Nic trudnego.

- Codziennie dostanie pani pewną liczbę stron do opracowania. Na początek niewiele, póki nie nabierze pani wprawy. Każdy dokument przychodzi opatrzony szczegółowymi wskazówkami dotyczącymi przycinania i retuszy. Nie trzeba się nad tym zastanawiać, tylko wykonać polecenia.

Kiwnęłam głową. Blondyna ciągnęła:

- Cięcia mają być obowiązkowo oznaczone. - Wcisnęła klawisz w prawej części klawiatury. - Widzi pani, nota wstawiana jest automatycznie. Trzeba tylko przytoczyć tekst ustawy, do której odnośnik podawany jest przy poleceniu usunięcia. Wystarczy jej poszukać w menu.

Przyglądałam się uważnie, by zapamiętać wszystkie czynności.

- Ma pani pytania?

- Tak. Chciałabym wiedzieć, skąd się bierze dokumenty, nad którymi pracujemy. Mam po nie chodzić w jakieś wyznaczone miejsce?

- Dokumenty są przechowywane w podziemnych magazynach. Pracownicy zajmujący się cyfryzacją nie mają do nich wstępu. Wszystko przywożą magazynierzy. Na każde piętro przypada jeden. Nasze obsługuje Scarface.

- Scarface?

- Naprawdę nazywa się Justinien, ale wszyscy tu wołają go Scarface. Z góry uprzedzam, żadne z niego ciacho! Ale to protegowany pana Templetona, więc musimy go znosić.

- Scarface...

Zachichotała.

- Zobacz pani, jest na co popatrzeć.

Nie bardzo rozumiałam, o co jej chodzi, lecz nie miałam ochoty pytać. Nie potrzebowałam więcej informacji, aby wiedzieć, że odtąd Scarface jest dla mnie osobą

najważniejszą w tej bibliotece - osobą, na której muszą się skoncentrować wszystkie moje wysiłki.

Fernand zajął do mnie wieczorem, aby się dowiedzieć, jak mi poszło. Pasza spał na dywanie owinięty w swój koczek.

- Jak on się ma?

- Chyba w miarę dobrze.

- Je?

- Troszkę. Jak go wezmę na ręce, udaje mi się podać mu na palcach parę kęsów karmy.

- I zjada? Próbowałem kilka razy, ale nigdy nie chciał nic przełknąć.

- Już ci mówiłam: nie masz podejścia!

Uśmiechnął się gorzko.

- Tobie się udaje, to najważniejsze. No dobra, a co u ciebie? Jak się udało spotkanie z panem Coplandem?

- Dobrze, znakomicie. Zwiedziłam dział, wszystko mi wytłumaczyli. Zaczynam pojutrze.

- Więc jesteś zadowolona?

- Raczej tak.

- Nie dostałaś mdłości?

- Ani razu. Nawet nie potrzebowałam anksjolityków.

- Doskonale. Ale nie zgrywaj bohaterki. Zażywaj leki, jak poczujesz, że ci pomogą.

- Przecież wiesz, że mnie otępiają.

- Lepsze chwilowe otępienie niż ryzyko, że przy ludziach dostaniesz ataku paniki.

- Nie martw się, wiem, co robię.

Uśmiechnął się.

- To prawda. Cudownie sobie radzisz. Jestem z ciebie dumny.

- Chciałabym o czymś porozmawiać. O czymś dziwnym. Może... może tylko mi się wydaje, ale... odnoszę wrażenie, że wszyscy patrzą na mnie krzywo.

- Jak to: krzywo?

- No, jakoś dziwnie. Natarczywie. A bardzo uważam, stosuję się do twoich rad. Ubrałam się skromnie, byłam bardzo grzeczna... Nie rozumiem.

Fernand jakby się trochę zakłopotał.

- Wyczuwałaś to u wszystkich?

- Czy u wszystkich, nie potrafię powiedzieć, ale... kiedy weszłam do biblioteki,

najpierw ta kobieta w recepcji. Potem pan Copland. Jak by ci to wytłumaczyć... drgnął, kiedy mnie zobaczył. Zaraz się opanował, zauważyłam to jednak. A później ta blondyna, która mnie oprowadzała. I przed chwilą na ulicy, pod samym blokiem, jakiś facet... Daję słowo, że nie zmyślam!

Przez chwilę Fernand milczał.

- Myślisz, że robię coś niewłaściwie?

- Wcale mnie to nie dziwi.

- To znaczy nie dziwi cię, że robię coś niewłaściwie?

- Ależ nie, Lilu! Nie dziwi mnie, że ludzie na ciebie patrzą. Jesteś osobą, która się wyróżnia.

- Jak to się wyróżniam?

Zawahał się na moment, lekko poczerwieniał.

- Przyciągasz wzrok, Lilu, bo jesteś... no... jesteś... na takie jak ty mówi się „piękność”.

- Mówisz poważnie?

- Czy ja kiedykolwiek żartuję?

- To prawda, zapomniałam. Czyli mówisz poważnie.

Pokiwał głową, po czym nie patrząc na mnie, rzekł cicho:

- Wyrosłaś na piękną młodą kobietę, Lilu. Dlatego... hm... to normalne, że ludzie na ciebie patrzą.

- Czemu... czemu mi nie powiedziałeś?

Zaśmiał się.

- Ludzie zazwyczaj nie potrzebują, żeby im coś takiego mówić. Zauważają to sami.

- O rany! - wpadłam w popłoch. - Jak sobie poradzę, jeśli ludzie przez cały czas będą się tak na mnie gapili?

- No, no, nie panikuj. Przecież to nie tragedia! Noś ciemne, skromne ubrania, jak ci radziłem. Trzymaj się na uboczu. I przede wszystkim, Lilu - dodał, kładąc nacisk na każde słowo - przede wszystkim unikaj spoglądania mężczyznom w oczy.

W pełni zastosowałam się do jego rad: pierwszego dnia pracy ubrałam się w czarny sweter z golfem i długą szarą spódnicę. Trudno by wymyślić surowszy strój, lecz to nie wystarczyło, by dodać mi pewności siebie. Czułam się niespokojna i trochę przytłoczona.

Mimo to oparłam się pokusie i nie zażyłam anksjolityku: wiedziałam, że muszę dysponować pełnią władz umysłowych, by stawić czoło najbliższym godzinom. Zrozpaczona wyszeptalam:

- Wie pan, nie jest łatwo.
- Wiem, dziewczynko, wiem.
- Nie może mi pan pomóc?
- Dotąd sama świetnie sobie radziłaś.
- Zawsze pan był w pobliżu.

To prawda: zawsze był w pobliżu. Wystarczyło, że przez chwilę o nim pomyślałam, by ożył jego duch i głos.

- Jest pan tu jeszcze?

Nie odpowiedział. Westchnęłam zatem:

- W porządku, rozumiałam: poradzę sobie sama.

I zaraz coś wpadło mi do głowy. Podeszłam do komody, wyciągnęłam pierwszą szufladę, wsunęłam rękę pod stosik Tshirtów. Szalik czekał, taki miękki pod palcami, istna pieszczota. Wyjęłam go z kryjówki i owinęłam na szyi, po czym schowałam pod golfem, tak żeby nikt się nie domyślił. Nie wiem, czy sprawiły to jego kolory, to, że miło grzał, czy świadomość, że kiedyś nosił go pan Kauffmann: uśmiechnęłam się do lustra nagle uspokojona.

- Wspaniale! - pochwalił. - Sam lepiej bym nie zrobił.

Wahadłówka przywiozła mnie o ósmej trzydzieści cztery pod wieżowiec A. Ruszyłam przed siebie ze spuszczoną głową - lepiej zrobić to szybko i nie myśleć za wiele. Weszłam do bramy, wylegitymowałam się, pospiesznie przebyłam hol i nie podnosząc wzroku - nie chciałam ryzykować, że pochwycę spojrzenie kobiety w recepcji - wsiadłam do windy.

Piętro jeszcze świeciło pustkami. Czym prędzej dotarłam do końca korytarza. Zamknęłam się w swoim boksie i usiadłam koło skanera plecami do szyby - jeśli ktoś nie chce nikogo oglądać, powinien dołożyć ku temu starań.

Punktualnie o dziewiątej drzwi się otworzyły ze strasznym łoskotem. Podskoczyłam z wrzaskiem.

- Och, przepraszam, nie chciałem pani nastraszyć.

Chyba nigdy nie zapomnę tej chwili. Taki okropny, przerażający był widok tej twarzy. Tych blizn. Przybysz stał stropiony za dużym wózkiem wyładowanym pakietami gazet w hermetycznych workach. Policzki miał pokryte szramami, pogryzione usta. Pokiereszowane powieki latały bez chwili przerwy poruszane skurczami nerwów.

- Przepraszam. Już dobrze?

Byłam zbyt wystraszona, by odpowiedzieć.

- Proszę, niech pani coś powie.

W końcu udało mi się wykrztusić:

- Pan... pan jest magazynierem?

Uśmiechnął się. Co było jeszcze gorsze.

- Zgadza się.

Uczyniłam wielki wysiłek.

- Justinien, tak?

Energicznie pokiwał głową.

- Ale może mi pani mówić Scarface, jak pani chce. Tak mnie tu wołają przez te blizny.

- Nie, wołę Justinien.

- Jak pani chce.

Przezornie cofnął się do drzwi, jakby się obawiał, że znów mnie przerazi, jeśli przysunie się jeszcze o krok. Wydawał się taki zmartwiony, że nagle poczułam się śmieszna. Wzięłam się w garść i zbliżyłam troszkę.

- Bardzo przepraszam, nie przedstawiłam się: nazywam się Lila K i od dzisiaj pracuję w bibliotece.

Otworzył szeroko oczy, jakby go naraz coś niezwykle zdumiało.

- O matko, jaka pani piękna! Nigdy nie widziałem kogoś tak pięknego!

- To... to miłe, dziękuję - wyjąkałam zmieszana.

Instynktownie cofnęłam się o krok. Patrzył teraz na mnie jak na bóstwo, absolutnie zafascynowany.

- Taka pani piękna!...

Po plecach przebiegł mi dreszcz. On jednak nadal pożerał mnie ekstatycznym wzrokiem. Od czasu do czasu przeciągał ręką po włosach, by odgarnąć do tyłu kosmyki, które spadały mu na czoło pokryte guzami. Byłam bliska utraty przytomności. Raptem jakby otrząsnął się z zachwytu.

- Niech się pani nie martwi. Już daję pani robotę na dzisiaj i przestaję zawracać głowę.

- Wziął pakunek z samej góry stosu i położył na stole. - To dla pani. Polecenia są na wierzchu.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Napatrzyłem się na tyle piękna, że cała przyjemność jest po mojej stronie, naprawdę. No to powodzenia pierwszego dnia w pracy i do jutra.

- Do jutra.

Otworzyłam mu drzwi. Wypchnął wózek na korytarz.

- I jeszcze raz przepraszam, że panią nastraszyłem - rzekł, unosząc dłoń.

Wtedy zauważyłam jego powykręcane palce irany na rękach.

Pan Kauffmann zawsze powtarzał, że dopnę swego, ponieważ jestem odważna i uparta. Nie wiem, czy miał słuszość, trzeba jednak przyznać, że okazałam się dużo silniejsza, niż sądziłam. W ciągu kilku tygodni jakoś się w tym wszystkim odnalazłam. Choć wymagało to ode mnie szalonych wysiłków, choć trapiły mnie lęki, wytrzymałam. Być może potrzebną siłę czerpałam z codziennej obecności w samym sercu Wielkiej Biblioteki. Z tego, że czułam dokoła książki, na wszystkich piętrach i w podziemnych magazynach, wszystkie te ułożone odpowiednio litery, słowa, zdania, wśród nich zaś prawdę - a przynajmniej jej część - która doprowadzi mnie do mamy.

Każdego rana przychodziłam bardzo wcześnie, by z nikim się nie spotkać. W korytarzu jeszcze nie paliły się światła. Iluminacja listew przyściennych wytyczała świetlisty szlak - dość jasny, aby mnie doprowadził do mojego boksu w końcu korytarza.

Po drodze zawsze zerkałam na duży przeszklony gabinet. W mroku portrety z nateżeniem patrzyły na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. Za każdym razem ich widok rozgrzewał mi serce, a równocześnie rodził we mnie niewytłumaczalny smutek.

O dziewiątej Justinien wkraczał do boksu z diabelskim łoskotem, pchając ten swój piekielny wózek. Pogodziłam się z tym, już nie podskakiwałam. Justinien zostawiał mi dokumenty do opracowania na dany dzień i z szafy zabierał te, nad którymi pracowałam poprzedniego dnia, by skończywszy obchód piętra, odwieźć je do magazynu.

Po kilku pierwszych dniach wreszcie się uspokoił: już nie powtarzał co rusz „jakaś ty piękna”, pozerał mnie tylko oczami. Ja także się uspokoiłam. Przywykłam do jego szram i ran, które ciągle się odnawiały. Zrozumiałam, że nic się z tym nie da zrobić: Justinien nie czuł bólu; ranił się, nawet tego nie zauważając. Bywało nawet, że uszkadzał sobie rogówkę we śnie.

Zawsze pogawędziliśmy kilka chwil, zanim ruszył dalej, by innym rozwieźć materiały. Robiłam, co mogłam, by wydobyć z niego informacje na temat funkcjonowania biblioteki. Justinien był tylko malutkim trybikiem w skomplikowanej maszynerii tej ogromnej instytucji, niemniej dużo wiedział o procedurach i nieświadomie dostarczał mi wielu cennych wskazówek.

Ale nie tylko z tego powodu starałam się być wobec niego miła. Naprawdę go lubiłam - mam nadzieję, że mi wierzysz. Uważałam, że jest sympatyczny i uprzejmy, inteligentny na swój sposób. Poranne pogawędki były dla mnie wielkim wsparciem, niecierpliwie na nie czekałam - jedynie one rozpraszały moją samotność. Inni pracownicy biblioteki budzili we mnie strach. Unikałam ich, jak tylko mogłam. Justinien doskonale mnie rozumiał.

- Nie są dla mnie za mili, jak nie ma pana Templetona - powiedział. - Dokuczają mi. Czasem dla draki przycinają mi palce drzwiami. Mnie to nie boli, ale strasznie się wtedy denerwuję.

- Justinien, nie powinieneś pozwalać, żeby cię gnębili! Trzeba o tym komuś powiedzieć.

- Nic się nie da zrobić: pana Templetona nie ma, a pan Copland nie może mnie znieść. Ale nie martw się. Ja tam w ogóle się nie przejmuję, bo jestem poetą.

Spojrzałam na niego zdziwiona. Roześmiał się.

- No tak, piszę wiersze wieczorami. Mam talent. Piszę wiersze, więc nie szkodzi, że ludzie mi dokuczają. Sztuka zawsze niesie pociechę.

Miewał tego rodzaju przeblyski, pamiętasz? Jakby jego umysł, na ogół dość zamulony, na mgnienie się odsłaniał, jaśniał i rozświeślał, po czym na powrót skrywał za mgłą. „Sztuka zawsze niesie pociechę”. Również dlatego lubiłam Justiniena. Za takie niespodzianki, perełki, które zniemacka rodziły się w jego poturbowanej głowie.

Po jego odejściu siadałam do pracy i przez całe przedpołudnie nie podnosiłam nosa znad skanera.

O trzynastej szłam zjeść jakąś sałatkę na placu przed Memoriałem - nie miałam jeszcze odwagi, by pójść do stołówki pracowniczej. Fernand oczywiście doradzał, abym się w końcu przełamała.

- To znakomita okazja, żeby poznać ludzi - powiedział.

Odparłam:

- Jasne, no pewnie, świetny pomysł. Daj mi tylko trochę czasu, żebym się z nim oswoiła.

Pokiwał wtedy głową ze zrozumieniem. Zawsze to coś.

Czasami korzystałam z przerwy i szłam do czytelnicy. Szukałam jakichś niewinnych informacji, aby się zapoznać z oprogramowaniem. Za to, co mi leżało na sercu, jeszcze nie zamierzałam się brać. Wiedziałam, że jestem obserwowana. Chwila nie była odpowiednia, by popełnić jakąś nieostrożność.

O czternastej, przemykając pod ścianami, wracałam na swoje stanowisko pracy. Jeśli mijalam kogoś z kolegów, zawsze starałam się być grzeczna, a także spłoszona. Na nikim nie zatrzymywałam wzroku.

Kończyłam o siedemnastej i zmęczona, lecz zadowolona wracałam do siebie wahadłówką. Naprawdę znalazłam idealną pracę.

Od czasu do czasu natykałam się na strażniczkę i zawsze było to dla mnie przeżycie z

powodu jej brzydoty i odstręczającej miny. Odkąd nie pozwoliłam, by zaprogramowała mi wygląd ścian w mieszkaniu, traktowała mnie ozięble. Daremnie siliłam się na uprzejmości - dzień dobry, dobrej nocy, miłego dnia - nie dało się z niej wykrzesać cieplejszych uczuć. Raz nawet na moment zobaczyłam wysuwający się spomiędzy jej cienkich warg język, długi, brązowy, rozdwojony na końcu, i usłyszałam charakterystyczny syk zimnokrwistych stworzeń. Kiedy się wzdrygnęłam, uśmiechnęła się najwyraźniej uszczęśliwiona, że mnie wystraszyła. I to mnie skłoniło, by powiedzieć o wszystkim Fernandowi.

- Nie ma co się przejmować - uspokoił mnie. - Robi tak czasami, jak się zdenerwuje, to leży w jej naturze, ale dalej się nie posuwa. Nigdy by się nie poważyła nikogo zaatakować.

- Skąd ta pewność?

- Dobrze wie, że wystarczy najdrobniejszy incydent, a czeka ją eutanazja. I wierz mi, nie będzie ryzykowała. Nawet chimery mają instynkt przetrwania.

- Mimo wszystko bezpieczniejszy byłby automat zamiast tej zmił!

- Była o tym mowa parę razy, ale automat kosztuje majątek. W sumie chimera wychodzi taniej, więc jakoś ją znosimy... Niemniej nie można pozwolić, żeby się zabawiała straszeniem ciebie. Powiadomię administrację.

Skarga Fernanda poskutkowało: strażniczkę przywołano do porządku, równocześnie grożąc stosownymi konsekwencjami w razie recydywy, natychmiast się zatem uspokoiła. Fernand miał słusność - nawet chimery mają instynkt przetrwania.

Drogi Fernand, męczący był z niego człowiek, lecz muszę przyznać, że zawsze do dyspozycji, kiedy go potrzebowałam. Odwiedzał mnie co sobotę pod wieczór. Odpowiadał na moje pytania, doradzał mi, pomagał w zamawianiu zakupów. Zastanawiam się, jak bym sobie poradziła bez niego.

W niedziele chodziłam na spacer po okolicy. Przeżycie było ciężkie, lecz wiedziałam, że nie mam wyboru: nigdy by mi nie pozwolili dalej tak żyć, gdybym umierała ze strachu przy każdym wyjściu na zewnątrz. Poza tym chodziło o moją mamę. Musiałam przecież do niej dotrzeć, gdziekolwiek przebywała. Ta motywacja działała znacznie mocniej niż strach, że odeślą mnie do Centrum.

W pierwszym okresie tylko krążyłam wokół kompleksu, w którym znajdował się mój blok, z zaciśniętymi zębami, w okularach słonecznych na nosie. Nie było to łatwe: daremnie próbowałam się odciąć od otoczenia, tłum w końcu zawsze mnie dopadał. Nagle gęstniał i wtedy wpadałam w panikę. Stawałam na środku chodnika z zamkniętymi oczami, wstrzymanym oddechem, ręką zaciśniętą na pojemniku z anksjolitykiem, który zawsze nosiłam w kieszeni. Zazwyczaj to wystarczało, żeby się uspokoiła: po kilku chwilach



odzyskiwałam jasność myślenia i spieszonym krokiem ruszałam dalej pośród przechodniów. Ze dwa, trzy razy dostałam torsji, przewidziałam jednak taką ewentualność: z wymiotowałam do zabranej torebki papierowej i chyba nikt nic nie zauważył.

W domu byłam bardzo czujna. Garderobę starałam się otwierać jak najrzadziej, by nie narażać się na pokusę. Jadłam zawsze powoli, nie opuszczałam żadnego posiłku i nigdy nie okazywałam ani cienia wstrętu. Co wieczór karmiłam Paszę, podając mu kęs po kęsie. Co wieczór domagał się troszkę więcej jedzenia. Kusilo mnie czasem, aby ukradkiem oblizać sobie palce, lecz nie ulegałam. Z jedzeniem nie chciałam ryzykować. Wiedziałam, że mnie obserwują.

Minął drugi miesiąc - nie popełniłam najmniejszego błędu. Komisja kontrolująca moje poczynania wydała bardzo przychylną opinię. „Proszę kontynuować. Jest Pani na dobrej drodze”. Nie zdawali sobie sprawy, jak trafnie to ujęli.

Paszy wolniutko odrastała sierść. Co wieczór zjadał teraz pół puszki karmy i zaczynał się pokrywać brązowo-złocistym puszką, miękkim i leciutkim jak jedwabny welur. Przyjemnie było patrzeć, jak odzyskuje barwy. Spokojnie czekałam na swój czas.

Wiedziałam teraz trochę więcej o Justinieniu. Mieszkał sam w ośrodku niedaleko biblioteki. Wcześniej stracił rodziców, których, jak mi wyznał, w ogóle nie pamiętał, co nie przeszkadzało mu często opowiadać o nich niczym o zaginionych herosach z dawnych czasów. Żadną miarą nie mogłam się dowiedzieć, jak umarli - na ten temat Justinien mówił niejasno i pokrętnie: w zależności od dnia mówił o katastrofie lotniczej, pożarze albo o uprowadzeniu przez terrorystów z Zony. Dość szybko zrozumiałam, że zmyśla. Ale to mi nie przeszkadzało. Sama wystarczająco dużo przed nim ukrywałam, toteż ani myślałam się oburzać.

Pewnego dnia, gdy jadłam lunch na placu przed Memoriałem, podszedł do mnie.

- Mogę tu chwilę posiedzieć?

Wcale nie miałam ochoty, żeby nas razem widziano. To by mogło zwrócić uwagę i zaszkodzić moim planom. Jak tu jednak odmówić? Odpowiedziałam zatem:

- Tak... proszę bardzo.

Rozpromieniony rozsiadł się bezceremonialnie.

- Miło cię widzieć. Nie myślałem, że cię zastanę w tym miejscu.

- Często tu przychodzę w porze lunchu. Ale ciebie pierwszy raz tutaj widzę.

- Na ogół nie mam czasu na przerwę w południe. Za dużo jest roboty w magazynie.

Przychodzę wieczorem.

- Co wieczór?

- Tak. Lubię to miejsce. - Wskazał ręką Memoriał. - Moi rodzice tam są.

Podniosłam na monolit zdumione spojrzenie. Tyle nazwisk, setki nazwisk wypisanych złotymi literami na czarnym granicie.

- Justinien, chcesz powiedzieć, że nazwisko twoich rodziców jest tam wypisane?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Wiem, że nigdy cię nie pytałam, jak się nazywali...

- No właśnie tego nie wiem: zapomniałem, bo mam amnezję. Ale wiem, że nazwisko jest na tym kamieniu.

Wspomniałam, co mi opowiadał na temat śmierci rodziców: katastrofa, pożar, uprowadzenie przez terrorystów. Ostatecznie to mogło się trzymać kupy: zburzenie czwartego wieżowca było wszystkim tym jednocześnie.

Przez kilka chwil obserwowałam jego twarz zwróconą ku steli. Wodził wzrokiem po liście nazwisk nieczytelnych z tej odległości. Miał pogodną minę. Pomyślałam, że to właściwa chwila.

- Wiesz, ja też nie wiem, jak się nazywali moi rodzice.

- O, to smutne.

- Owszem, smutne.

Oczy mu naraz pojaśniały.

- To znaczy, że mamy ze sobą coś wspólnego!

- Tak, chyba tak można powiedzieć.

- Lubię mieć z kimś coś wspólnego. To zbliża ludzi, a w dzisiejszych czasach ludzie nie bardzo się do siebie zbliżają. Nawet nie wiesz, jak mi przyjemnie!

- Mnie także, Justinien. Mnie także.

\*

Trzy miesiące upłynęły, odkąd opuściłam Centrum. Wiedziałam, że teraz jestem już mniej pilnowana. Fernand dał mi to do zrozumienia, mówiąc ogródkami. Komisja Kontroli skupiała uwagę na osobach niepewnych, na „przypadkach” niereformalnych. A że nie można być wszędzie, rozluźniła nadzór nad tymi, co nie sprawiali problemów. Dziewczyna nie nastęrczająca problemów - ja taka byłam, a przynajmniej udało mi się sprawić, że w to uwierzyli po moim odejściu z Centrum. Raport po trzecim miesiącu był jeszcze pochlebniejszy niż dwa poprzednie. „Godne pochwały wysiłki zmierzające ku adaptacji. Postępy we wszystkich dziedzinach życia. Kontynuować”. Skoro mnie do tego zachęcali, nie zamierzałam się krępować.

Jakiś czas później wybrałam się do czytelnicy podczas przerwy na lunch. Udałam, że

przeglądałam dwa czy trzy błahe artykuły, aby wyjaśnić swoją obecność, w razie gdyby mnie pytano. Następnie podłączyłam się do sieci wewnętrznej. Miałam pełną świadomość tego, co zrobię.

To prawda, że z moich akt się nie dowiedziałam, jak się nazywa moja matka ani jak wygląda. Dowiedziałam się natomiast, o co ją oskarżono i kiedy aresztowano. Tego było aż nadto, by odnaleźć jej ślad.

W wyszukiwarce wprowadziłam daty: 16 i 17 listopada 2095 roku - dzień, kiedy przyjęto mnie do Centrum, i następny. Potem miejsce - sektor *extra muros*. I wreszcie słowa kluczowe: matka, dziecko, maltretowanie, dręczenie. Muszę ci powiedzieć, że sprawiło mi to przykrość - jakbym przyznawała, że to ona była winna okropności, które mnie spotkały. Ponieważ jednak w oczach wszystkich tak właśnie było, nie miałam innego wyjścia.

Wiedziałam, że kryteria wyszukiwania podałam dosyć mgliste. Zona to taki rozległy teren i tyle tam przemocy. Nawet na przestrzeni tak krótkiego czasu, dwóch dni tylko, mogło się okazać, że podobnych przypadków było więcej, co znacznie by opóźniło moje dochodzenie. Wahałam się kilka sekund, w końcu podjęłam decyzję: do słów kluczowych dodałam „garderoba”. Po czym wstrzymałam oddech i wcisnęłam enter.

Odpowiedzi zaraz się wyświetliły - w sumie trzydzieści sześć - z informacją, że artykuły jeszcze nie zostały poddane cyfryzacji. Jako zbyt świeże, a może zbyt „wrażliwe”. Rzadko to, co dotyczy Zony, jest ogólnie dostępne. „Prośby o udostępnienie kierować do Komisji Czytelnictwa, która rozpatrzy podanie w możliwie najkrótszym terminie (formularz należy pobrać ze strony i po wypełnieniu przesłać wraz z uzasadnieniem)”. Załączony był cennik opłat malejących wraz ze wzrostem liczby artykułów, do których chciało się uzyskać dostęp.

Przewidziałam taki obrót sprawy. Od początku przygotowywałam teren i wierzyłam, że dopnę swego. W głowie mi się kręciło - brak tlenu - wiersze na monitorze falowały lekko, lecz nie było mowy, żebym odetchnęła, zanim nie skończę. Skopiowałam wszystkie odsyłacze na płytkę. Zajęło mi to ułamek sekundy. Następnie się rozłączyłam. Załatwione. Po tylu latach czekania wystarczyła chwilka, żeby odpowiedź znalazła się w moim zasięgu. Trzymałam ją w zaciśniętej garści na płytce, znajdowała się w którymś z tych artykułów. Nazwisko mojej matki. Nareszcie. Teraz pozostało mi tylko przekonać Justiniena.

Podczas pogawędek z nim dużo się dowiedziałam o bibliotece. Zdałam sobie na przykład sprawę, że magazyny są stosunkowo słabo strzeżone: tylko jedna osoba czuwała przy obrazach z kamer rozsianych na podziemnych piętrach. To niewiele, zważywszy na armię magazynierów, którzy od rana do wieczora przemierzali je we wszystkich kierunkach.

Rzecz w tym, że system zabezpieczeń przed wypływem danych nastawiony był przede wszystkim na ciągłe monitorowanie skanerów i elektroniczne znakowanie oryginałów: kradzież dokumentu papierowego albo próba skopiowania go została natychmiast zasygnalizowana. Jednakże pomysłodawcy systemu nie wzięli chyba pod uwagę, że po kryjomu można przywieźć dokumenty z podziemi, przeczytać je i po prostu zachować w pamięci. A ja to właśnie zamierzałam zrobić.

- Justinien, co by się stało, gdybyś zabrał z magazynu dokument nie widniejący na wykazie, który dostajesz co rano?

- Och, ja nigdy nie przywożę dokumentów, których nie ma na wykazie! Zawsze bardzo uważam, żeby się nie pomylić.

- Ale gdybyś pewnego dnia postanowił to zrobić, czy byłoby to możliwe?

- Czemu miałbym to robić? To nie w moim stylu.

- Nie wątpię, Justinien. Tak tylko się zastanawiam...

- Nie, w życiu, przecież to zabronione. Pani Clery siedzi w tym pokoiku z monitorami i pilnuje wszystkich kamer. Jakby zobaczyła, że robię coś głupiego, zaraz by powiedziała panu El Kassifowi, dyrektorowi ochrony. A wtedy po mnie!

Dygotał teraz, z furią rozorując sobie rękę paznokciami, przerażony obrotem, jaki przybrała nasza rozmowa.

- Przestań, Justinien, robisz sobie krzywdę!

- Mnie nigdy nie boli. Tylko się boję. Tak, strasznie się boję.

Wówczas pojęłam, że sprawy raczej nie potoczą się tak prosto, jak się spodziewałam.

Na szczęście miałam Paszę, który pomagał mi wytrzymać. Doszedł zupełnie do siebie, przyjemnie było patrzeć na jego nowiutkie futerko połyskujące niebieskawo. Ubolewałam, że nie muszę go już karmić, brakowało mi tego. Dlatego kiedy wykladałam mu karmę łyżeczką na spodek, zawsze starałam się usmarować nią palce. Dyskretnie oblizywałam je potem, stojąc tyłem do kamery. Była to moja jedyna słabość.

Pasza zadziwiająco żarłocznie rzucał się na jedzenie, jak gdyby chciał nadrobić te wszystkie lata żałoby. Wydawał się nienasycony, ciągle domagał się więcej. Kiedy jadłam, ocierał mi się o nogi z miauczeniem, prosząc, żebym go czymś poczęstowała. Podawałam mu ukradkiem krokieciki mięsne, kawałki kurczaka albo smażoną szarańczę. Ze smakiem wszystko wcinał. Nic nie działało na mnie bardziej krzepiąco niż dobiegające spod stołu dźwięki pożywiania się wygłodniałego drapieżnego zwierzątka. Przynajmniej w tej dziedzinie wszystko przebiegało zgodnie z przewidywaniami.

Nadal co rano oddawałam się marzeniom przed smutnymi portretami w dużym

pustym gabinecie. Od czasu do czasu odnotowywałam jakąś zmianę: na biurku nową stertę dokumentów zapakowanych hermetycznie, wstawienie dodatkowej przeszklonej biblioteczki wypełnionej starymi książkami... Raz nawet zobaczyłam nowy portret nad konsolą - mężczyzny o bladej twarzy, z tatuażem w kształcie gwiazdy na czole.

- Pan Templeton wrócił na weekend, żeby zrobić przegląd spraw z panem Coplandem - mówił mi czasem Justinien. - Ma dużo pracy w Zonie, mimo to znajduje czas, żeby mnie odwiedzić w ośrodku, jak tylko tu jest. To znaczy, że mu zależy na mnie. Moim zdaniem ważne, żeby komuś zależało na człowieku. Nie uważasz?

- Pewnie, że tak, Justinien.

- Wiesz? Mówiłem mu o tobie.

Nieswojo się czułam, wiedząc, że opowiada o naszej znajomości, o tym, jaka jestem dla niego miła i sympatyczna, i w ogóle. Bałam się, że wzbudzę podejrzenia.

Pewnie długo bym jeszcze czekała, zanim odważyłabym się znowu poruszyć z Justinieniem temat magazynów i potajemnie wynoszonych dokumentów, gdyby sam mi nie dał stosownej okazji.

Jedliśmy razem lunch na placu przed Memoriałem, jak zwykle, gdy udało mu się wyrwać - co na szczęście zdarzało się rzadko. Zima dobiegała końca, mimo to dzień w południe ciągle jeszcze bardziej przypominał zmierzch. Nie było jednak zimno. Naraz Justinien zapytał:

- Jaka była twoja mama?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz?

- Zapomniałam.

- Tak jak ja moich rodziców?

- Można tak powiedzieć. Tyle że ty masz nazwisko rodziców wyryte tam, na steli, chociaż nie potrafisz go znaleźć. Ja natomiast na pewno bym rozpoznała nazwisko mamy, gdybym mogła zajrzeć do artykułów, w których opisano jej historię.

- Nazwisko twojej mamy jest w gazecie?

- Tak. Nawet w kilku artykułach. - Wsunęłam rękę do kieszeni i wyjęłam płytkę, którą zawsze nosiłam przy sobie. - Wszystkie odsyłacze są tutaj.

Wytrzeszczył oczy.

- To czemu nie przeczytasz tych artykułów?

- Jeszcze nie mają wersji elektronicznej, więc są niedostępne.

Poruszył się zakłopotany.

- Jakbyś chciała, można złożyć podanie do Komisji Czytelnictwa.

- Wiem, Justinien. Tylko że to długo trwa, a poza tym, szczerze mówiąc, wolę, żeby komisja nie wiedziała o moich poszukiwaniach.

Pokiwał głową z przejęciem na twarzy.

- Rozumiem: każdy ma swoje sekrety, nie? Życie jest pełne tajemnic.

Po jakimś czasie rzekł cicho:

- Wiesz, zrozumiałem, co chcesz, żebyś zrobił. Nie jestem głupi.

Odwróciłam oczy, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia.

- O nic cię nie proszę.

- Naprawdę chciałbym ci pomóc, ale to niemożliwe.

Pomyślałam, przepadło, i nagle uzmysłowiłam sobie, jaka byłam głupia, sądząc, że Justinien zgodzi się narażać wyłącznie na ładne oczy. Machinalnie wyjęłam z kieszeni okulary słoneczne.

- Jesteś zła, że nie chcę pomóc?

- O nic cię nie proszę - powtórzyłam, starając się, by głos mi nie zdrzął.

- Tak, ale mimo wszystko...

- Przestrzegasz regulaminu, to normalne. Kto mógłby być o to zły?

- I co zrobisz teraz w sprawie swojej mamy?

- Obawiam się, że niewiele będę mogła - odparłam z goryczą.

Nerwowo zaczął sobie orać rękę paznokciami, jak zawsze, gdy był wystraszony. Nie próbowałam go powstrzymać. Patrzyłam tylko na płytkę na dłoni.

- Wrzucę ją do szuflady biurka i więcej na ten temat nie będziemy rozmawiali.

- Do szuflady biurka... - wyszeptał, jakby z wielkim wysiłkiem starał się to zapamiętać.

Pomyślałam, że może jest jakaś nadzieja.

Tygodnie mijały i nic się nie działo. Codziennie rano sprawdzałam w szufladzie biurka, czy płytka tam jest. Była. Nie wyzbywałam się jednak wiary. Nie stać mnie było na to.

W każdy weekend chodziłam pobiegać na terenach rekreacyjnych zajmujących miejsce dawnej obwodnicy. Na początku było mi trudno. Brakowało mi dusznej atmosfery kręgodromu - zdecydowanie nie lubiłam świeżego powietrza. Obecność innych biegaczy i spacerowiczów tak bardzo mnie przerażała, że w pierwszym okresie zwracałam już od węzła Porte Dauphine. „To nic - powiedział mi Fernand. - Próbuuj dalej. Zobacysz, że przywykniesz”. Miał słuszność: wkrótce udawało mi się nie widzieć otaczającego świata i zaczęłam biegać tak szybko jak ongiś na kręgodromie. Biegiesz do matki, mówiłam sobie.

Myśl o tym: biegniesz do niej. Na razie była tylko wyobrażeniem, lecz któregoś dnia z pewnością stanie się rzeczywistością.

Na początku maja wezwano mnie na ocenę osiągnięć w pierwszym semestrze - trzy dni testów i rozmów mających podsumować proces resocjalizacji. Wypadłam znakomicie - Fernand bardzo dobrze nauczył mnie udawać. Oświadczyłam: „Wszystko idzie świetnie, praca mi odpowiada, mieszkanie jest bardzo wygodne. W kontaktach z innymi zdarzają się jeszcze problemy, ale czuję, że jest coraz lepiej”. Krótko mówiąc, byłam dostosowana: nic we mnie nie raziło, nijak nie odstawałam od reszty świata. Bardzo im się to podobało. „Ogólna ocena bardzo dobra”, dopisali do moich akt. Czułam się zmęczona, lecz szczęśliwa. Byłabym jeszcze szczęśliwsza, gdybym potrafiła odgadnąć wszystkie konsekwencje tego egzaminu.

Nie uprzedziłam Justiniena, że mnie nie będzie. Nie miałam ochoty opowiadać mu o tej historii z okresem próbnym i kontroli socjopsychologicznej - „każdy ma swoje sekrety, nie?”. Mówiłam sobie, że po fakcie wymyślę jakieś kłamstwo.

Kiedy znowu się zjawiłam w bibliotece, przywitał mnie, jakbym zmartwychwstała.

- Tak się cieszę! Myślałam, że nie wrócisz. Ludzie mi powiedzieli, że umarłaś.

Popłakał się z radości. Żał było patrzeć na jego świeżo podrapaną szyję i skaleczenia na grzbiecie dłoni.

- Zrobili cię w konia, Justinien. Tylko... tylko się pochorowałam.

- Chorowałaś? Dlaczego?

- No... nie wiem. Tak bywa. Ale to nic poważnego.

- Chorowałaś ze smutku?

- Nie, jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Ze smutku można się pochorować. Wiem coś o tym, jakby co.

- Justinien, to naprawdę nie...

- Z powodu mamy, co?

Już nie wiedziałam, co powiedzieć. Zaczął sobie wyłamywać palce tak mocno, że słyszałam trzaskanie stawów.

- Justinien, przestań!

Nie posłuchał - w głowie szalała mu burza. Nadal wyłamywał sobie palce na wszystkie strony. Kiedy zauważyłam, że zwichnął sobie paliczek, krzyknęłam:

- Justinien!

Nachylił się do mnie, patrząc błagalnym wzrokiem.

- Mnie możesz powiedzieć, że to z powodu mamy. A nawet jak nic nie powiesz, znam naturę ludzką.

Jego twarz miałam tuż przy swojej, widziałam w zbliżeniu szramy, usmarkany nos. Ze wstrętu zamknęłam oczy.

- Na pewno pochorowałaś się ze smutku, że nic nie wiesz o swojej mamie.

W jego smętnym głosie pobrzmiwały wyrzuty sumienia. Był gotów, czułam to, o włos od ustąpienia. Nadal zaciskałam oczy, żeby się nie zdekoncentrować. Zdarzają się chwile, które bez zastanowienia trzeba wykorzystać. Chwycić szczęście za rogi, kiedy się pojawia, chociaż przestaliśmy się go spodziewać, i mocno je przytrzymać. Płytką była w szufladzie biurka. Usłyszałam, jak Justinien powtarza:

- Jestem pewien, że przez to...

Powolutku schyliłam głowę i wytchnęłam niczym wyznanie:

- Jak się domyśliłeś?

I tak oto dopięłam swego: wzbudzając tak nieznośne poczucie winy w Justinieniu, że aby przestało go dręczyć, wolał złamać zakazy i pokonać strach przed przyłapaniem. Wiem, co myślisz: że go wyzyskałam. Powiedzmy, że potrafiłam skorzystać z nieporozumienia, którego w żaden sposób nie przygotowałam. Przyznaję się do tego i trochę mi wstyd. Tylko trochę. Ponieważ, szczerze powiedziawszy, odnoszę wrażenie, że raczej nie miałam wyboru.

Otworzywszy nazajutrz szufladę, stwierdziłam, że płytka zniknęła. Teraz pozostało tylko czekać.

Nie trwało to długo. Podając mi kilka dni później pakiet dokumentów do opracowania, Justinien szepnął: - Jest coś dla ciebie na spodzie. Coś wyjątkowego... Rozumiesz?

Powoli skinęłam głową. Mimo że spodziewałam się tego, nie śmiałam uwierzyć.

- Nic nie mów. Lepiej o tym nie gadać.

Wyszeptałam więc jedynie:

- Dziękuję.

Głosem do niczego niepodobnym.

Uśmiechnął się.

- Ja tam tylko chcę, żebyś była szczęśliwa.

Kiedy w rękawiczkach podniosłam pakiet dokumentów, by zajrzeć na spód, nie drżałam. Chociaż miałam powód. Tyle lat czekania, taka ogromna nadzieja - a nie wiedziałam, co znajdę, jednakże sądząc po zdjęciach w moich aktach, należało się domyślać, że nie będzie to nic przyjemnego. Od miesięcy się do tego przygotowywałam: do swojej przeszłości, którą jak garść ziemi ciśnięto mi w twarz. Nawet nie mrugnęłam, kiedy przeczytałam tytuł „Koszmar w Zonie: dziecko więzione w garderobie”.

Artykuł relacjonował aresztowanie mojej matki 16 listopada 2095 roku o szóstej rano.



Młodej mieszkanki Zony, narkomanki, prostytutki. Zdeprawowany pokój. Butelki po alkoholu, niedopałki papierosów na podłodze. Brudna pościel, leżące w niej zmalretowane dziecko - ja. Garderoba pełna nieczystości, pluszowych zabawek rojących się od robactwa. Oszczędzę ci reszty szczegółów.

Pozostałe artykuły powtarzały to samo: potworność, i tak samo krzyczały w tytułach: „skandal”, „niewyobrażalne”, „jak można?”. W jednym było zdjęcie: moja matka wychodzi z budynku między ludźmi w czerni. Ciągną ją, prawie niosą. Kaftan bezpieczeństwa stanowi białą plamę. Splątane włosy zasłaniają jej twarz. Jest bosa.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że to mną nie wstrząsnęło. Jeśli nawet człowiek przygotowuje się na wszystko, jak przyjdzie co do czego, zawsze jest gorzej. Później to tylko kwestia punktu widzenia: można widzieć szklankę w połowie pustą albo w połowie pełną. Ja wybrałam szklankę w połowie pełną - kwestia zasad, a także instynktu przetrwania - nawet gdybym musiała ją wypić do ostatniej kropli.

Mogli sobie pisać, co chcieli - potwór, opraw - czyni, niegodna matka, wynaturzona - miałam to w głębokim poważaniu. Ja swoje wiedziałam, miałam w sobie jej miłość, jej uśmiech. Przede wszystkim zaś patrzyłam na dar najwspanialszy pośród przedstawionych okropieństw. I czułam radość tak potężną, że niemal zapomniałam o reszcie. Na kruchym, pożółkłym już papierze widniało jej nazwisko.

Nazywała się Mojra Steiner. Mojra Steiner, Mojra Steiner, Mojra Steiner... Nie wiem, ile razy powtórzyłam to w swojej mrocznej klitce i w domu później, wieczorem, i w następnym dniu. Nie posiadałam się ze zdumienia, że nareszcie je znalazłam. Mojra Steiner, idealne nazwisko, miłe dla ucha i tajemnicze, prawdziwe imię heroiny. Bez przerwy powtarzałam: Mojra Steiner, Mojra Steiner... Musiałam czuć je w gardle, w ustach. Musiałam je słyszeć, aby się upewnić co do jego realności. Mojra Steiner. Aby mieć pewność, że już nigdy go nie zapomnę.

Przez cały dzień się trzymałam: sumiennie pracowałam. Ani mi w głowie było dać się ponieść emocjom. Do domu wróciłam jakby nigdy nic. Pasza gorąco mnie przywitał, co dobrze mi zrobiło, ponieważ mimo radości samopoczucie miałam niespecjalne.

Na kolację nie zdołałam nic przelknąć: ukradkiem dałam kotu klopsiki mięsne z ryżem i budyń. Zielone jarzyny zakopałam w doniczkach z paprociami. Jak zwykle. Później usiadłam na balkonie, czekając na noc.

Kiedy zrobiło się ciemno, wróciłam do środka. Nie zapaliłam światła. Nie dlatego, że chciałam się ukryć - kamery nie odróżniają dnia od nocy - po prostu odkąd żyłam na własny rachunek, przywykłam po zapadnięciu nocy chodzić w mieszkaniu po ciemku. Lubię

ciemność: przestrzeń pierzcha, przedmioty znikają, na oczy opada miękkość, koi je, oczyszcza ze śmieci światła, które składa na nie dzień.

Poszłam do kuchni. Wzięłam konserwę z półki. I pomaszero wałam do garderoby. Po omacku wklepałam kod. Skrzydło bezgłośnie się przesunęło. Dno było puste - zawsze pilnowałam, aby go niczym nie zastawiać. Położyłam się z puszką w rękach. Oczywiście wiedziałam o ryzyku - kontrola jest możliwa o każdej porze - lecz tym razem to było silniejsze ode mnie. Za długo już się wstrzymy wałam.

Powoli skrzydło drzwi się zasunęło. Byłam w środku. W mojej garderobie dobrze zamkniętej, tak miłej, tak ciemnej, jak sobie wymarzyłam. Przyjemnie pachniała, co było cudowne. Otworzyłam konserwę. Zanurzyłam w niej dłoń i opychałam się jak nigdy, oblizywałam wnętrze dłoni, ssałam palce. Potrzebowałam tego, musiałam napełnić sobie usta pasztetem, musiałam czuć jego smak aż do łez, usmarkać się przy nim, cieszyć się i bać jak niegdyś w moim ciepłym kokonie. Lila i Mojra, Mojra i Lila.

Właśnie tamtej nocy po raz pierwszy zobaczyłam coś więcej niż rozmazaną twarz mamy, zobaczyłam jej uśmiech, gdy mówiła: „Chodź, kochanie, usiądź tu koło mnie”. Zobaczyłam straszne obrazy. Nie pytaj o nic. Nie chcę o tym mówić. Na razie nie mogę.

Gdybym teraz o tym opowiedziała, na pewno byś nie zrozumiał. Zachowałbyś się jak inni: rzuciłbyś w nią kamieniem, ciskał na nią gromy, wyklął na zawsze. A nie zasługuje na to, daję słowo. Daj mi trochę czasu, a opowiem ci wszystko. Później, obiecuję. Swoje wspomnienia i jej historię. Moje wspomnienia i jej historia to jedyny sposób, aby właściwie całość opowiedzieć i właściwie ją zrozumieć.

Nazajutrz Justinien zapytał:

-1 co, zadowolona?

- Bardzo zadowolona, Justinien. Naprawdę dziękuję.

Twarz mu pojaśniała.

- No, to dzisiejsze dokumenty powinny cię zainteresować!

Na spodzie znowu były dwa artykuły. Następnego dnia kolejne trzy. Przez kilka tygodni żyłam wyłącznie dla tego - dla arkusików, które przywoził mi codziennie z magazynów. Dla czytania ich bez mrugnięcia, uczenia się ich na pamięć. Oglądania fotografii. I wreszcie odnalezienia twarzy mojej matki.

Większość gazet przedrukowywała zdjęcia zrobione w komisariacie - *en face*, z profilu, z numerem porządkowym. Moja matka wzrok ma błędny, twarz wyniszczoną. Na lewym policzku długą różową szramę. Anioł z moich wspomnień mocno dostał w kość. Podcięto mu skrzydła, pozbawiono go świetlistego piękna. Było to takie przejmujące, takie

bolesne. Zdarzały się wieczory, kiedy odnosiłam wrażenie, że tyle zebrałam ciosów, aż byłam ogłuszona. Niczego to jednak nie zmieniało, domagałam się kolejnych; domagałam się ich, ponieważ to było moje życie.

Nocami w garderobie wspomnienia napływały falami. Czasami były niczym bałwan, który nadciągnął niepostrzeżenie. Należało się wtedy czegoś przytrzymać. Ze dwa, trzy razy musiałam zażyć tabletki, bałam się bowiem, że mnie poniesie.

Szczęśliwie zdarzały się również chwile błogości i rozkoszy, jak tej nocy, gdy naraz przypomniałam sobie piosenkę, którą mi śpiewała wieczorem przed snem:

*Summertime, and the livin is easy Fish are jumpin' and the cotton is high Oh, your daddy's rich, and your ma is goodlookin So hush little baby,*

*Don't you cry*

Nachyla się nade mną.

*One of these mornings you're gonna rise up singing Then you'll spread your wings and you'll take to the sky.*

Uśmiecha się do mnie, to uśmiech miłości, uśmiech tego rodzaju, że przesłania całą resztę.

*But 'til that morning there ain't nothin' can harm you With Daddy and Mammy standin by.*

Moja mama miała bardzo ładny głos, mówiłam ci to już?

Przejrzawszy wszystkie artykuły, udałam się znowu do czytelnicy, by podjąć dalsze poszukiwania. Tym razem poszłam prosto do celu: wpisałam „Mojra Steiner” i wyszukiwarka wyrzuciła ponad pięćset odniesień.

Wbrew swoim obawom nie miałam problemu z przekonaniem Justiniana. Kilka tygodni nielegalnych działań w bezkarności zupełnie rozwiąło jego opory. Wpadł w euforię, był taki szczęśliwy, że może być mi użyteczny, a może nawet więcej - czuł, że stał się niezbędny.

Zaczął mi dostarczać po dziesięć artykułów dziennie. Czytałam je po kryjomu - nie było to łatwe, bo musiałam również wykonać przydzieloną mi robotę. Często się nie wyrabiałam. Nadganiałam, skracając przerwę na lunch i co rano przychodząc do pracy wcześniej. Wyciągałam pakiet dokumentów z szafy, włączałam skaner i udając, że jeszcze przeglądam to, co zrobiłam poprzedniego dnia, doczytywałam ostatnie artykuły.

Gazety szeroko się rozpisywały o procesie mojej matki - trzy dni rozprawy, po której została pozbawiona praw rodzicielskich i skazana na szesnaście lat więzienia za uprowadzenie dziecka, fałszerstwo, maltretowanie nieletniego do lat piętnastu, torturowanie,

okrucieństwo, nierząd i używanie środków odurzających. Osadzono ją w zakładzie karnym w Chauvigny w 17. dystrykcie. W Zonie.

Od miesięcy usiłowałam Zonę wyrzucić z pamięci, jak radził mi Fernand, nie myśleć o niej, ewentualnie myśleć jako o miejscu abstrakcyjnym, ponurej utopii. Zona była odległa, niezwiązana z moim życiem i nigdy więcej nie postawię tam nogi. Tak mocno to sobie wmówiłam, że w ogóle nie brałam pod uwagę możliwości, że moja matka tam przebywa.

Teraz już wiedziałam na pewno: była w więzieniu w Chauvigny w 17. dystrykcie, nie miałam cienia wątpliwości. Moja matka była w Zonie. Tam musiałam się udać, aby ją spotkać. Zimny pot mnie oblewał z tego powodu, strach ścisnął mi trzewia. Ani przez chwilę jednak nie pomyślałam, by zrezygnować. Za dużo przeszkód pokonałam, za dużo zakazów złamałam, aby teraz się poddać. Musiałam iść dalej, strach niczego tu nie zmieni.

Pozostał mi nieco ponad rok do upełnoletnienia, rok na przygotowania. Będzie ciężko - ciężej, niż przypuszczałam, spróbuję jednak. Byłam dobrej myśli. Teraz wiem wszakże, że niczego bym nie dokonała bez ciebie.

## *Milo*

Pewnego ranka przyszedłam do pracy - jak zwykle bardzo wcześnie - i zobaczyłam, że przez zasłony przeszklonego gabinetu sączy się światło. Zastygłam ze wstrzymanym oddechem, nie byłam nagle zdolna uczynić choćby kroku, gdy drzwi windy powoli zasuwały się za moimi plecami. Głupie, prawda? Od tak dawna czekałam, żeby ten gabinet ożył. Powinnam była się ucieszyć i płonąć z niecierpliwości. Tymczasem czułam, jak narasta we mnie obawa i pragnienie, by wszystko było znowu jak wcześniej: gabinet pusty, milczący, pogaszone światła, każdy przedmiot na swoim miejscu - zwłaszcza żeby niczego nie przenoszono. I to nazwisko wygrawerowane na tabliczce, Milo Templeton, bez kojarzącej się z nim osoby. Tak, wolałabym, żeby wszystko było jak dawniej. Bałam się rozczarowania.

Całe piętro spowijał jeszcze półmrok. Rozjaśniały je tylko lampki w listwach przypodłogowych oraz światło, które sączyło się na korytarz z dużego przeszklonego gabinetu. A ja niczym kretynka tkwiłam sparaliżowana przy windzie, licząc sekundy w oczekiwaniu, aż burza się uspokoi.

Przy pięćset czterdziestej siódmej powiedziałam sobie, wystarczy, nie będziesz tu stała godzinami, wcześniej czy później musisz iść do swojego boksu, równie dobrze więc możesz to zrobić od razu. Zebrałam w sobie całą odwagę, zaczerpnęłam głęboko powietrza i ruszyłam naprzód, ściskając buteleczkę w kieszeni kurtki - to bardzo skuteczny sposób, ponieważ jakbym zażyła tabletkę, tyle że bez skutków ubocznych.

Znalazłszy się na wysokości szklanej ściany, zbliżyłam się do niej powoli, cichutko. Musiałam zerknąć, to było silniejsze ode mnie. Musiałam wiedzieć. Za długo czekałam, może również za dużo sobie roiłam przed tym pustym gabinetem. Zapuściłam spojrzenie między szparami w żaluzji. I wtedy zobaczyłam cię po raz pierwszy.

Pochylony przy biurku, z zatroskaniem oglądałeś pożółkłe gazety. Zmarszczki na czole - to zauważyłam w pierwszej kolejności. Trudno było uwierzyć w te zmarszczki u człowieka tak młodego - trzydziestopięcioletniego wedle krótkiej biografii zamieszczonej na stronie Wielkiej Biblioteki. Nie dołączono do niej zdjęcia - w przeciwieństwie do Coplanda jesteś człowiekiem dyskretnym i nie lubisz taniej reklamy.

Wcześniej nigdy jakoś nie próbowałam sobie ciebie wyobrazić - to znaczy fizycznie. Niemniej nie spodziewałam się, że zobaczę twarz tak zniszczoną. Zrozum mnie dobrze: nie mówię, że uznałam ją za brzydką. Co to, to nie. Tylko za trochę niepokojącą. Inną.

Zaraz potem zauważyłam twoje dłonie. Bez rękawiczek. Od czasów pana Kauffmanna pierwszy raz widziałam, że ktoś przegląda papierowe dokumenty bez ochrony. Nie masz

pojęcia, jak mnie to wzruszyło. Pewnie dlatego tak długo stałam tam, obserwując cię skrycie. Nie mogłam oderwać wzroku od twoich rąk, od palców przewracających kartki.

Kiedy naraz podniosłeś głowę, odskoczyłam od szyby, by ukryć mnie mrok korytarza. Przyklejona do ściany ze wstrzymanym oddechem patrzyłam, jak spoglądasz w ciemność. Zaskoczenie - albo niezadowolenie - pogłębiło ci zmarszczki na czole. To wzmocniło moją panikę.

Przez kilka chwil jeszcze czujnie wpatrywałeś się w szybę, po czym uśmiechnąłeś się dziwnie i wróciłeś do gazet porozkładanych na biurku. Uciekłam jak złodziejka obrazów.

Justinien przyszedł punktualnie o dziewiątej.

- Pan Templeton wrócił!

- Tak, wiem - odparłam głosem, który miał zabrzmieć pewnie, lecz niezbyt mi to wyszło, ponieważ jeszcze nie ochłonęłam z emocji.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że wrócił! Aż robi mi się ciepło na sercu, dzień jaśniej, słońce piękniej świeci. Zobaczysz, wszystko się zmieni: teraz już nie będą mi dokuczali!

- To bardzo dobrze, cieszę się.

- Coś niedobrze wyglądasz.

- Nie, nie, nic mi nie jest.

Puścił do mnie oko, mrużąc pokrytą bliznami powiekę.

- Nic się nie martw, nie zapomnę. Mam coś dla ciebie jak zwykle.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Dzięki, Justinien. Naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Pewnie, jestem użyteczny! - Zbliżył się i szepnął mi do ucha: - Chociaż wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko.

Przed południem praca zupełnie mi nie szła: co rusz się myliłam, zapominałam uwzględnić wskazówki, pomijałam strony i skanowałam na opak. Kiedy około jedenastej przystanąłeś w korytarzu przed moim boksem, udawałam bardzo skupioną na skanowaniu i uporczywie trzymałam spuszczonego wzrok, dopóki w końcu nie zdecydowałeś się odejść.

Stanowisko pracy opuściłam o siedemnastej, nawet nie zajrzawszy do artykułów, które przyniósł mi Justinien. Szłam szybko korytarzem, licząc kroki. Na dziewiętnastym skrócić w lewo, na sto trzecim znowu w lewo. Na sto dwudziestym drugim byłam przed twoim gabinetem. Minęłam go, nie patrząc. Dalej prosto bez oddechu aż do sto siedemdziesiątego piątego kroku, winda.

Gdy ją przywoływałam, moje palce zostawiły wilgotny ślad na wypolerowanym

aluminiowym przycisku.

- Pani K!

Drgnęłam.

- Ma pani chwilkę?

Odwrociłam się struchlała. Z drzwi twojego gabinetu wołał mnie Copland.

- Pani K, ktoś chciałby panią poznać.

Zobaczyłam, że stajesz w drzwiach koło Coplanda. Gorzej już nie mogło być. Natychmiast zastosowałam bezdech, po czym z uśmiechem przyklejonym do twarzy pomaszerowałam w waszą stronę. Uśmiech jednak nie dawał złudzeń.

- No, proszę się nie bać! - zawołał Copland. - Nie zjemy pani!

Po czym zachichotał frywolnie, nie złośliwie, mimo to speszyłam się jeszcze bardziej. Ty spoglądałeś na mnie z powagą, nie dzieląc wesołości Cop - landa. Chyba wołałabym, żebyś w tej sytuacji również się śmiał - jak widać, człowiekowi zawsze źle.

- Pozwoli pani, że jej przedstawię dyrektora działu cyfryzacji, pana Templetona, który wreszcie wrócił ze swojej wielkiej misji w Zonie - wygłosił Copland.

W jego emfazie pobrzmiwała jakaś ironia, którą odebrałam jako dość nieprzyjemną.

- Milo, to pani K, która dołączyła do nas ponad rok temu, po twoim wyjeździe do dzikusów w Zonie.

W głowie mi się nie mieściło, że może się do ciebie zwracać tak bezceremonialnie. Graniczyło to z prowokacją, ty jednak pozostałeś niewzruszony. Copland mierzył cię wzrokiem na poły rozbawionym, na poły okrutnym i przez chwilę staliście obaj, uśmiechając się do siebie niczym fajansowe psy, jakby mnie tam nie było. W końcu Copland wziął się w garść i ciągnął swobodnym tonem:

- Pani K objęła posadę zarezerwowaną.

I okazała się wzorową pracownicą.

Poczułam, że się rumienię - częściowo ze skromności, przede wszystkim jednak dlatego, że miałam świadomość, iż nie zasługuję na taką pochwałę.

- I jeszcze coś, Milo, co na pewno cię ucieszy. Słyszałem, że pani K świetnie się dogaduje z twoim protegowanym... z tym... no, jak mu tam... Justinie - nem, tak? Chociaż pracownicy jakoś inaczej na niego wołają... ale nieważne. Wyobraź sobie, że pani K wzięła go pod swoje skrzydła. Wzruszające, prawda? Biedaczysko zmienił się nie do poznania. Ze tak powiem, oczywiście...

Puszczając jego sarkazm mimo uszu, szepnęłam:

- Tak, mówił mi.

- A swoją drogą - nie odpuszczał Copland - co pani widzi w tym nieboraku?

- Lu... lubię jego apoftegmaty.

- Jego apoftegmaty, ha, ha! Jego apoftegmaty! - rechotał Copland.

Teraz popatrzyłeś na mnie z natężeniem we wzroku. Poczerwieniałam, pogrążając się zupełnie.

- Jak sam widzisz, Milo, pani K jest osobą absolutnie nietypową i nadzwyczaj wygadaną! Oprócz zmysłu riposty, którego właśnie błyskotliwie dowiodła, posiada również imponujące wykształcenie i naprawdę wyjątkowe zdolności, które nijak nie przystają do wykonywanej przez nią prostej w gruncie rzeczy pracy. Przeczytaj jej akta, ciekaw jestem, co wtedy powiesz.

W zamyśleniu pokiwałeś głową, nie odrywając ode mnie oczu.

- Nie dziwi mnie to, czego się dowiaduję, mój drogi. Sam już miałem okazję stwierdzić, że pani K jest obdarzona niezwykłym zmysłem obserwacji.

- Ha! to dobrze, bardzo dobrze - odparł Copland, który kompletnie niczego nie pojmował, a ja jeszcze mocniej się zarumieniłam.

Z lekkim uśmiechem dodałeś:

- Bardzo mi miło, że wreszcie panią poznałem.

W odpowiedzi wydukałam banał stosowny na tę okoliczność, że mianowicie mnie także jest przyjemnie. Prezentacji w każdym razie dokonano. Uścisnęliśmy sobie krótko dłonie. Muszę ci powiedzieć, że ten gest nie wzbudził we mnie wstrętu.

\*

Teraz mogę ci to wyznać: od początku mnie przyciągałeś - od początku, to znaczy jeszcze zanim się spotkaliśmy. Z powodu książek w gabinecie, piór na konsoli, portretów zawieszonych na ścianach. Co nie przeszkadzało, że trzymałam się na dystans. Rozmowa z tobą, zbudowanie jakichś więzów byłoby sprzeczne z moimi zasadami. Wiadomo, kiedy to się zaczyna, nigdy nie wiadomo, jak się skończy, a ja wolałam nie ryzykować, rozumiesz? W żadnym razie nie mogłam się rozpraszać. Wiedziałam, że jeśli chcę dopiąć swego, nie wolno mi ani na chwilę tracić z oczu celu, drogi, która miała mnie doprowadzić do matki. Musiałam się do niej przygotować. Tylko to się liczyło. Ani dla ciebie, ani dla nikogo innego nie miałam w swoim życiu miejsca.

Czasami, gdy pracowałam, zdarzało się, że obserwowałeś mnie przez szybę jak wtedy, pierwszego dnia. Długie minuty wystawałeś w korytarzu ze wzrokiem utkwionym we mnie. Udawałam, że pochłonięta pracą nie widzę cię, niemniej zadawałam sobie pytania. Czemu to robisz? Czy traktujesz mnie jak osobliwe zwierzę? Domyślasz się mojego układu z



Justinieniem? Jesteś nastawiony przyjaźnie czy po prostu podejrzliwy? Aby się tego dowiedzieć, niewątpliwie powinnam była zebrać się na odwagę i popatrzeć ci w oczy.

Mogliśmy długo to ciągnąć oboje - ty obserwować mnie w milczeniu, ja unikać ciebie, torturując się pytaniami bez odpowiedzi. Mogliśmy to ciągnąć *ad vitam aeternam*, nigdy nie spojrzawszy sobie w oczy. Ale człowiek nie zawsze ma wybór, prawda? Czasami decyduje za nas przypadek. Później, zależnie od skutków, nazywamy to szczęściem albo pechem. Albo itak, i tak.

Któregoś ranka, doszedłszy do swojego boksu, zdałam sobie sprawę, że zgubiłam szalik. Nie zauważyłam widocznie, że spadł mi w windzie, kiedy ściągałam płaszcz. Albo w korytarzu.' Na szczęście było jeszcze wcześnie, piętro prawie puste. Jeśli się pospieszę, są duże szanse, że go znajdę, zanim kto inny na niego trafi.

Zaraz poszłam z powrotem. Skręciłam w lewo, w główny korytarz, znów w lewo, bardzo rozboleł mnie brzuch. Naraz stanęłam jak wryta: stałeś w drzwiach gabinetu z moim szalikiem w ręce.

- To pani?

Byłam tak przerażona, że o mało nie zaprzeczyłam. Wzięłam się jednak w garść i wyszeptałam „tak” dziwnym głosem, trochę śmiesznym.

- Piękny szalik. Rzadko spotykany.

- To... to prezent.

- Muszę przyznać, że bardzo trafiony - odparłeś, podając mi szalik, po czym dodałeś: - Ciekawe, znalazłem go przed samymi drzwiami.

- Bo... bo zerknęłam do pana gabinetu po przyjściu. Przyzwyczaiałam się, kiedy pana nie było, a...

- A przyzwyczajenia trudno się wyzbyć, prawda?

Słabo mi się zrobiło. W rozpaczy wykrztusiłam:

- Bardzo lubię pana gabinet.

W zdziwieniu uniosłeś jedną brew, co pogłębiło zmarszczki na czole.

- Z powodu... z powodu książek - dodałam jakby na usprawiedliwienie.

- Z powodu książek, no tak, jasne. Czytałem pani akta.

Dłuższą chwilę przyglądałeś mi się w milczeniu. Po czym naraz usłyszałam:

- Właśnie zdobyłem pewne stare dzieło. Dość interesujące. Chciałaby pani zerknąć?

- To bardzo miłe, ale... mam duże opóźnienie w pracy i muszę to nadrobić przed dziewiątą, więc...

- Wie pani, to zajmie parę minut. Skoro lubi pani książki...

Patrzyłam na ciebie z wahaniem. Takie to było kuszące! Poza tym jak tu odmówić, nie wychodząc na nieokrzesaną? Zgodziłam się zatem, a ty się uśmiechnąłeś.

Książka leżała na biurku hermetycznie zapakowana. Podeszłam powoli. I naraz poczułam się jak dawniej, kiedy pan Kauffmann przychodził do mojego pokoju z wózkiem książek, ogarnęło mnie takie samo podniecenie, gdy przeczytałam tytuł - „San Francisco Museum of Art, the Complete Collections” - taka sama nerwowa ekscytacja, gdy zdejmowałam opakowanie, takie samo uniesienie, kiedy kładłam rękę na oprawie. Natychmiast nałożyłam okulary słoneczne.

- Bołą panią oczy?

- To światło...

- Chce pani, żebym je ściemnił?

- Nie, nie, proszę nie robić sobie kłopotu. Ja... ja nie znoszę jasnego światła. To... to idiosynkrazja.

- Idiosynkrazja. Rozumiem.

- Proszę nie zwracać na mnie uwagi. W okularach nic mi nie przeszkadza.

- W takim razie nie nalegam. Proszę - dodałeś, kładąc przede mną parę rękawiczek - niech pani obejrzy to чудо.

- Czy będzie panu przeszkadzało, jeśli nie skorzystam z rękawiczek?

Uśmiechnąłeś się lekko.

- Nie będzie mi przeszkadzało.

Zaczęłam przerzucać kartki wzruszona zarówno pięknem ilustracji, jak i samym dotykiem papieru.

- I jak się pani podoba?

- Wspaniała. Dziwnie tylko pomyśleć, że większość tych dzieł już nie istnieje.

Pokiwałeś głową w milczeniu. Nadal przerzucałam kartki. Czułam, że mnie obserwujesz, i trochę byłam tym skrepowana. Na szczęście miałam okulary słoneczne na nosie. Jeszcze przez kilka minut podziwiałam książkę, w końcu niechętnie ją zamknęłam.

- Naprawdę niezwykła. Mogę spytać, gdzie pan ją znalazł?

- W Zonie, proszę pani, jak wszystkie dokumenty, które pani tu widzi.

- W Zonie? Mają tam książki?

- Wie pani, to nie są dzikusy wbrew temu, co niektórzy opowiadają. Nie wszystkie biblioteki spłonęły podczas zamieszek w dziewięćdziesiątym pierwszym.

- Chce pan powiedzieć, że za murem jeszcze czytają papierowe dokumenty?

- Tak, na ogół tak. Mało co zostało scyfryzowane. To właśnie jest celem moich

„wielkich misji”, jak mówi Copland: sporządzić katalog z natury i ułożyć plan cyfryzacji.

- Papierowe książki swobodnie dostępne! Nie sądziłam...

- Długo to już nie potrwa. W ciągu czterech, pięciu lat władze wyposażą całe społeczeństwo w grammabooki i wycofają z obiegu resztę książek. W trosce o zdrowie publiczne.

- Jakoś nie wydaje się pan przekonany.

- Ależ gdzieżbym śmiało wątpić! Byłoby to bardzo nierozważne. W tej chwili najważniejsze jest szybkie podjęcie cyfryzacji w Zonie, żeby uniknąć zamykania bibliotek.

Nie spodziewałam się, że rozmowa przybierze tak poważny obrót. Nie wiedziałam już, co powiedzieć. Zdesperowana skierowałam wzrok na portrety wiszące na ścianie na wprost biurka - tyle razy na nie patrzyłam! Znajomy, dodający otuchy widok pomógł mi zachować zimną krew.

- Podobają się pani?

- Bardzo.

- Nie wie pani nawet, jaką mi sprawia przyjemność. Nieczęsto ludziom podobają się moje fotografie.

- Pan zrobił te portrety?

- Owszem. To ludzie, których spotkałem podczas misji w Zonie.

Zona, wiecznie ta Zona! Wskazałeś palcem portret kobiety o znużonej, pomarszczonej twarzy, rozwianych włosach.

- Nazywała się June Parkman. Miała trzydzieści lat, kiedy robiłem to zdjęcie.

- Trzydzieści! A wygląda na pięćdziesiąt.

- W Zonie ludzie szybko się starzeją. Dużo szybciej niż tutaj.

Pomyślałam o zniszczonej twarzy mojej matki w boksie dla oskarżonych. Nie miała trzydziestu lat, a wyglądała jeszcze starzej niż June Parkman.

Poczułam, że pora się zbierać.

- Muszę już pana pożegnać. Dziękuję, że mogłam obejrzeć tę książkę.

- Proszę bardzo, sprawiło mi to wielką przyjemność. Zanim pani pójdzie, chcę jeszcze coś pani powiedzieć: dziękuję za Justiniena.

- Dziękuję pan?... Dlaczego?

- Widzi pani, on w swoim życiu niewiele spotkał takich osób jak pani. Osób, które potrafią go docenić mimo jego ułomności, tików i blizn. I za to właśnie należy się podziękowanie.

Kiwnęłam głową, po raz kolejny mając świadomość, że nie w pełni zasługuję na taką

pochwałę, ale też czując ulgę: teraz wiedziałam na pewno, że Justinien nic ci nie powiedział o naszych konszachtach.

Po powrocie do boksu otworzyłam szafę i wyjęłam dokumenty, które mi dostarczył poprzedniego dnia, oficjalne na wierzchu, nielegalne na spodzie. Był wśród nich artykuł relacjonujący pożar centrum handlowego w 14. dystrykcie podczas wydarzeń. Przeczytałam go ponownie, czekając, aż wybijie dziewiąta i zjawi się Justinien.

Wszedł z ponurą miną, taką, na jaką chłopak o jego aparycji nie powinien sobie pozwalać.

- Coś się stało, Justinien?

- A pewnie!

- O co chodzi?

- Widziałem cię przedtem z panem Templetonem.

- Tak? Ja ciebie nie widziałam.

- Nic dziwnego. Taka byłaś zajęta!...

- Nie rozumiem.

- Ale ja rozumiem i to się liczy... Wyglądałaś na diabło zadowoloną. Coś mu powiedziała?

- No wiesz!... Nie twoja sprawa!

Zaśmiał się wzgardliwie.

- Tak właśnie myślałem. Muszę wyznać, że jestem zawiedziony. Nie spodziewałem się tego po tobie!

- Co cię napadło, do diabła?

- Kiedyś nie chciałaś iść ze mną na lunch na placu. Podobno nie miałaś czasu. Ale na gadanie z panem Templetonem znalazłaś czas! No cóż, wszystko zrozumiałem.

- Justinien, pozwól, że ci wytłumaczę...

Odwrócił się.

- Nie trzeba. Zrozumiałem, mówię. Nie jestem głupi.

- Jak szłam rano, zgubiłam szalik po drodze. Pan Templeton go znalazł. Potem zaprosił mnie na chwilę do gabinetu. Naprawdę nie ma czym się przejmować!

Chwilę stał, nic nie mówiąc, wreszcie sapnął:

- Szalik? Jaki szalik?

- O, ten - powiedziałam, wyciągając szalik z kieszeni płaszcza.

- Nie jest twój. Nigdy go nie widziałem.

- Bo noszę go zawsze pod swetrem, żeby nikt nie zobaczył.

- Nie wierzę. Dostałeś go od pana Templetona, tylko nie chcesz mi powiedzieć.
- Och, Justinien, przecież to bzdura! Czemu miałabym cię okłamywać?
- Ja tam nie wiem, ale czuję, że coś tu śmierdzi. Nie jestem taki głupi.
- To już przesada! Nie bądź śmieszny!

Bez słowa wziął z wózka pakiet dokumentów przeznaczonych dla mnie. Zabrał porcję z poprzedniego dnia i popchnął wózek do drzwi. Przed samym wyjściem popatrzył na mnie przeciągle i rzucił z goryczą:

- I pomyśleć, że tyle dla ciebie zrobiłem...

\*

W następnych dniach boczył się, nie dostarczył mi ani jednego artykułu z wyjątkiem tych, które figurowały w oficjalnym wykazie. Na swój sposób karał mnie. Za co? Za to, że z tobą rozmawiałam? Nie mogłam w to uwierzyć. Czułam, że mnie to przerasta.

Ta sytuacja utwierdziła mnie w postanowieniu, że zdecydowanie muszę unikać nawiązywania kontaktów międzyludzkich. To zbyt irracjonalne, zbyt skomplikowane. Za dużo miałam do zrobienia, by tracić czas na takie rzeczy.

Codziennie po pracy szłam pobiegać na terenach rekreacyjnych. Przywykłam do hałasu i do obecności innych biegaczy. Teraz udawało mi się zachowywać, jakby ich w ogóle nie było. Na ulicy jednak to całkiem co innego: ledwie opuściłam osiedle, na którym mieszkałam, próbując podejść w okolice bardziej uczęszczane, dopadała mnie panika, pot zlewał mi plecy, dostawałam mdłości. Zawracałam nieszczęśliwa, na miękkich nogach, zgnębiona. O tym, żeby wsiąść do metra, nawet nie myślałam. Przede wszystkim musiałam pokonać strach przed miastem, jeśli chciałam kiedyś osiągnąć wyznaczony cel.

Justinien z dnia na dzień znów stał się miły. Któregoś ranka wszedł do mojego boksu szeroko uśmiechnięty.

- A cóż to się stało? Już się nie gniewasz?
- O czym mówisz?

Wyglądał na szczerze zdziwionego, jakby zapomniał o wszystkim.

- Naprawdę nie pamiętasz?

Pokręcił głową. Westchnęłam.

- Życie jest pełne tajemnic, co?

- To zawsze mówię - przyznał entuzjastycznie. Po czym mrugnawszy prawym okiem, dodał: - Mam coś dla ciebie.

Uśmiechnęłam się.

- Dzięki.

Wzięłam dokumenty i pozwoliłam mu odejść, nie próbując drażnić sprawy. Najważniejsze, żeśmy się w końcu pogodzili. Życie jest pełne tajemnic.

Kilka dni później po raz drugi zgubiłam szalik. Kiedy się ubierałam na przerwę na lunch, nie znalazłam go. A byłam pewna, że przyszedł w nim do pracy. Boks opuściłam tylko raz, punktualnie o dziesiątej, gdy udałam się do toalety. Ktoś musiał wykorzystać tę chwilę, zakradł się do boksu i zabrał szalik. Natychmiast oczywiście pomyślałam o Justinienie. O szaliku wiedziałeś tylko ty i on. Później pomyślałam, że przecież każdy mógł to zrobić. Na przykład ktoś z pracujących na tym piętrze zobaczył, że idę korytarzem, wśliznął się wtedy do mojego boksu i złośliwie albo z ciekawości przetrząsnął moje rzeczy. A znalazłszy szalik, postanowił go sobie przywłaszczyć.

Oczywiście mogłam zgłosić kradzież i zażądać przejrzenia nagrań z monitoringu. Tyle że to by sięgnęło na mnie uwagę w chwili, gdy bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam, aby o mnie zapomniano. Wołałam raczej zrezygnować z odnalezienia winnego, niż narazić na szwank swoje przedsięwzięcie. Co też uczyniłam, chociaż ze śmiertelnym bólem serca. Mówię „ze śmiertelnym”, ponieważ wraz z tym szalikiem pozbawiono mnie raz jeszcze części pana Kauffmanna.

Odkąd Justinien urządził mi scenę, dręczył mnie swoisty lęk. Chociaż znowu był miły i usłużny, nie ufałam mu. Nie zapomniałam zdania, które rzucił w gniewie: „I pomyśleć, że tyle dla ciebie zrobiłem”. Zastanawiałam się, do czego byłby zdolny, gdybym znowu dała mu pretekst do takiego wybuchu. Podjęłam zatem środki ostrożności: unikałam cię tak jak wcześniej, jakby nie było tej rozmowy między nami, książki, którą pozwoliłeś mi przejrzeć, portretów, twojej życzliwości, jakby to wszystko nigdy nie istniało. Tak kombinowałam, by nie spotykać cię i nie musieć z tobą rozmawiać. Przemykałam pod ścianami, uciekałam, gdy widziałam, że się zbliżasz. Ignorowałam cię, ilekroć przychodziłeś obserwować mnie przy pracy. To jednak nie wystarczyło. Trzeba przyjąć, że musiało się stać to, co się stało.

A stało się 20 marca, pamiętasz? Oczywiście, że pamiętasz. Zjawił się u mnie Justinien, podając mi dokumenty ze swoim porannym uśmiechem i mrugnięciem poblížnionej powieki.

- Jak zwykle wszystko, co chciałaś.

Rozmawialiśmy kilka chwil. On wyglądał na zadowolonego, ja dobrze się czułam. Kiedy ty wszedłeś, wzdrygnęliśmy się oboje.

- Wystraszyłem was. Bardzo przepraszam.

- Nic się nie stało - wykrztusiłam, tuląc w objęciach pakiet dokumentów. Justinien zaczął dygotać.

- Drzwi były otwarte, więc pomyślałem... Naprawdę mi przykro, jeśli wam przeszkodziłem.

- Ależ nic się nie stało.

Jakby przecząc moim słowom, Justinien zaczął mocno walić ręką o drążek wózka. Zareagowałeś natychmiast:

- Justinien, nie wolno tak robić. Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz?

Kiwnął głową i przestał. Nadal jednak drżał.

- Nie będę pani teraz zawracał głowy. Chciałem tylko poprosić, żeby zajrzała pani do mnie po pracy. Chodzi o opinię po trzech semestrach.

- A tak, o opinię...

- Jak pani wie, mam obowiązek odbyć z panią rozmowę i napisać opinię. To zwykła formalność, ale lepiej zrobić wszystko zgodnie z zasadami, prawda?

Osiedemnastej może być?

- Oczywiście. Będę na pewno - odparłam zakłopotana, zerkając kątem oka na Justiniena.

Nie zareagował. Wydawał się nieobecny. Myślałam nawet, że to do niego nie dotarło. Ty się uśmiechnąłeś.

- No to na razie. O siedemnastej.

- Do zobaczenia.

- Miłego dnia, Justinien - rzuciłeś, wychodząc.

Nie odpowiedział.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu przyszedł znowu przed samą siedemnastą. Zwykle o tej porze od dawna był w magazynach, przygotowując pakiety dokumentów na następny dzień. Widząc, że zbieram swoje rzeczy, spytał zawiedziony:

- Już idziesz?

- No tak. Skończyłam pracę.

- Chciałbym ci coś pokazać, zanim wyjdiesz.

- Dziś to niemożliwe. Trochę się spieszę.

- Ale przecież skończyłaś pracę, sama powiedziałaś!

- Tak, z tym że mam zaraz coś do zrobienia. Nie mogę. Może jutro. Albo w któryś inny dzień.

- Czemu nie możesz?

- No... mam spotkanie, pamiętasz? Rano pan Templeton kazał mi przyjść po pracy do swojego gabinetu. Na rozmowę.

Na jego twarzy pojawił się nagle dziwny wyraz, mieszanina zaskoczenia i wściekłości. Justinien przygryzł mocno wargę, wyciskając na skórze szeroki czerwony półksiężyc.

- Przestań, Justinien, robisz sobie krzywdę!

- To ty robisz mi krzywdę, bo masz mnie za debila! Czemu mnie nie chcesz?

- Justinien! - zawołałam przerażona, cofając się o krok.

- Przecież byłem dla ciebie miły. Więc czemu mnie nie chcesz?

- Przestań!

Jednakże był głuchy na wszystko. Podszedł do mnie. Jeszcze się cofnęłam, aż oparłam się o szafę.

- Nie chcesz mnie, bo nie jestem ładny?

- Proszę, przestań.

Nie słuchał.

- Czemu nie kochasz mnie, jak ja Kocham ciebie? Czemu?

Przywarł do mnie. Dotyk jego ciała był nie do zniesienia, tak samo jak krew, która spływała mu po brodzie ze zranionej wargi. Kiedy próbował mnie pocałować, odepchnęłam go z całych sił - z przerażenia, z odrazy. Nie zdołałam się pohamować. Zatoczył się do tyłu, pociągając za sobą metalowe krzesło. Pamiętam, jakiego narobiło hałasu, przewracając się, pamiętam ten istic apokaliptyczny rumor, dźwięk katastrofy, z której nie można się otrząsnąć.

Kiedy Justinien się podniósł jeszcze ogłuszony, wrzasnęłam:

- Wynoś się!

Zrobił krok w moją stronę.

- Wynoś się!

- Przepraszam, nie wiem, co mnie napadło! Przepraszam! - błagał załośnie.

Wstrząs sprowadził go na ziemię, teraz jednak ja niczego nie chciałam słyszeć.

- Wynoś się!

- Błagam...

- Wynoś się, pieprzony potworze!

Nie wiem, co mnie napadło, zapewniam cię. Pewnie powodem był strach, że Justinien spróbuje znowu. I ta krew na jego twarzy rozlewająca się po bliznach. Nie mogłam, po prostu nie mogłam, jego widok sprawiał, że wszystko mi podchodziło do gardła. „Pieprzony potworze”. Wyszło to z moich ust jak rzygnięcie; nie dało się powstrzymać. Rzuciłam mu te słowa prosto w twarz. Zobaczyłam, że otwiera szeroko oczy, usta dziwnie mu się wykrzywiają. Dostał gwałtownych drgawek. Straszne było to podrygiwanie ciała już porządnie sponiewieranego. Trzymało mnie jednak zbyt silne przerażenie, żebym potrafiła



mu współczuć.

W końcu złożył dłonie. Nie wiem, co próbował powiedzieć, przepraszam, na pewno przepraszam, tyle że niepotrzebnie: zło już się stało. Dopuścili się go obydwie strony. I jego, i mnie oszołomiła ta świadomość. Jeszcze raz powiedział „przepraszam”, po czym obrócił się na pięcie, wybiegł na korytarz i uciekł wyjściem ewakuacyjnym.

Popędziłam prosto do windy, wpadłam do niej. Byłam tak wstrząśnięta, że nawet nie pomyślałam o spotkaniu, które mi wyznaczyłeś. A choćbym i pamiętała o nim, nie mogłabym na nie pójść. Wróciłam do domu wahadłówką. Połknęłam pięć tabletek anksjolityku i pogrążyłam się w niebycie.

\*

Na drugi dzień przyszedłam do biblioteki z duszą na ramieniu i łbem jak baniak z powodu leków i wszystkiego, czemu musiałam stawić czoło, od ciebie poczynając. Nie zdążyłam nawet przygotować jakiegoś wy tłumaczenia swojej wczorajszej rejterady. Ze czułam się źle, to za mało powiedziane.

W korytarzu natknęłam się na blondynę, która oprowadziła mnie po bibliotece, gdy przyszedłam tu pierwszy raz. Wyglądała na bardzo podnieconą. Zobaczywszy, że kieruję się do twojego gabinetu, zawołała:

- Lepiej nie. U pana Templetona jest policja.
- Policja?
- Nic pani nie wie? Chodzi o Scarface'a. Umarł.
- Proszę?
- Scarface umarł. Inaczej mówiąc, nie żyje.
- To... to niemożliwe!
- Może pani spytać szefa ekipy sprzątajacej. On go znalazł wczoraj wieczorem na dole schodów ewakuacyjnych. Zdaje się, że widok był niepiękny. Czyli normalka w jego wypadku
- dodała, chichocząc.

Wydawała się dumna z tego spostrzeżenia. Krowa. Odwróciłam się, żeby nie dać jej w twarz, i pobiegłam do swojego boksu.

Nie będę ci opowiadała o swoim smutku, wyrzutach sumienia, łzach. Powiem tylko, że ogromnie się przeraziłam, kiedy zdałam sobie sprawę, że Justiniena nie ma, więc nie odbierze ode mnie dokumentów leżących w szafie. Wśród nich było pięć artykułów potajemnie przywiezionych z magazynów.

Okolo dziesiątej, gdy policja odjechała, przeszedłeś po boksach, oznajmiając, że ze względu na okoliczności pracownicy mają wolne. Mogą wracać do domu. U mnie zjawileś się

na ostatku, byłam przecież w samym końcu korytarza. Otworzyłeś drzwi i dość oschle wypowiedziałeś tylko dwa zdania:

- Musimy porozmawiać. Proszę ze mną.

Poszłam za tobą do gabinetu; nie mam pojęcia, jak mi się udało dojść aż tam. Kazałeś mi usiąść i uruchomiłeś zaciąganie zasłon na przeszklonej ścianie.

- Nie lubi pani jasnego światła, jak mi się wydaje.

Przytaknęłam zduszonym głosem. Mimo to nie zdjęłam z nosa okularów słonecznych. Zapadła cisza. Męka. W końcu usiadłeś naprzeciwko.

- Czekałem na panią wczoraj.

- Tak... nie czułam się dobrze.

- To się zdarza. Ale mogła mnie pani uprzedzić.

- Proszę o wybaczenie. Jest mi naprawdę przykro.

- Niech mi pani powie, czy to, że nie przyszła pani na spotkanie, ma może jakiś związek ze śmiercią Justiniena?

Pytanie było trafne i groźne; żołądek wyrzucił mi się na nice, całe ciało zaczęło dygotać. Musiałam uchwycić się skraju biurka, aby się nie osunąć.

- Proszę powiedzieć, co się stało. To ważne.

Zamknęłam oczy schowane za ciemnymi okularami i wstrzymałam oddech.

- No, proszę powiedzieć - powtórzyłeś.

Kiwnęłam głową i podniosłam rękę, gestem prosząc o cierpliwość. Musiałam przedtem doliczyć do stu dwudziestu. Sto dwadzieścia, dwie minutki, by zebrać każdy okruszek odwagi, jaki zdołam w sobie znaleźć. Chętnie liczyłabym dalej - do stu osiemdziesięciu, dwustu czterdziestu, trzystu, by zaczęły się zawroty głowy - ale czułam twój wzrok na sobie. Nie mogłam kazać ci zbyt długo czekać. Przerwałam zatem bezdech i zaczęłam. Opowiedziałam ci o wszystkim: o niespodziewanym przyjsciu Justiniena, jego gniewie, o tym, jak usiłował mnie pocałować, jak go odepchnęłam, o jego krwawiącej wardze, przeprosinach i mojej obeldze, „pieprzony potwór”, i o jego ucieczce w popłochu. Wszystko to było tak okrutne, tak smutne, że dotąd nie wiem, jak znalazłam w sobie odwagę i słowa, by o tym mówić.

Długo siedziałeś w milczeniu i bez ruchu. W końcu szepnąłeś:

- Justinien to zrobił! - Wydawałeś się skonsternowany. - Ależ to ważne, bardzo ważne. Czemu nic pani od razu nie powiedziała?

- Nie wiem. Nie byłam w stanie. Zawsze był taki... taki miły. Nie mogę w to uwierzyć.

Pokręciłeś głową z rozpaczą na twarzy.

- To wszystko moja wina. Ja się upierałem, żeby pracował na piętrze wbrew opinii wszystkich. Nie myślałem, że byłby zdolny do... Pani była taka dobra dla niego. A on nigdy w całym swoim życiu czegoś takiego nie zaznał. Pewnie dlatego... Oczywiście nie chcę go w ten sposób usprawiedliwiać. Chcę tylko wyjaśnić, jak...

Urwałś, zdanie zawisło niedokończone. Wydawałeś się pogrążony w smutku. Popatrzyłam zmieszana. Myślałam o dokumentach w szafie i wiszącej nade mną katastrofie.

- Za wysoko mnie pan ocenia. Wcale nie byłam dla niego taka miła.

- Co pani ma na myśli?

- Proszę nie pytać. Niedługo pan zrozumie.

Wstałam. Czułam się zgnębiona. Tak się czuje człowiek świadom, że wszystko przypadło i nie można już nic zrobić, tylko bezwolnie zmierzać ku przegranej. Nie próbowałeś mnie zatrzymać. Jedynie powiodłeś za mną wzrokiem z powagą na twarzy i odrobiną podejrzliwości. Byłam przy drzwiach, gdy powiedziałeś:

- Do widzenia.

- Do widzenia.

Wyszłam. Słońce zalewało blaskiem korytarz. Był 21 marca. Początek wiosny.

Zwróciłam się do Fernanda: on zawsze świetnie się odnajduje w tego typu sytuacjach - to znaczy kiedy nie jest ze mną dobrze. Wtedy czuje się najbardziej użyteczny. Opowiedziałam mu o śmierci Justiniena, tylko o jego śmierci, o niczym innym - nie musiał wiedzieć więcej, i tak zresztą to wystarczyło, by uzasadnić mój stan. Wezwał lekarza, który zrobił mi zastrzyk. Ból ustąpił natychmiast. Lekarz wystawił mi również zwolnienie z pracy na dwa tygodnie. Ale ja wiedziałam, że już nie wrócę do Wielkiej Biblioteki. Nie byłam nawet pewna, czy po aferze z odkryciem w moim boksie nielegalnych dokumentów pozostanę na wolności.

Kilka dni przeleżałam w łóżku, przeżywając smutek i strach. Fernand dzwonił co wieczór, pytając, co u mnie. Odpowiadałam „w porządku”, żeby się go pozbyć.

- Chcesz, żebym do ciebie wpadł?

- Nie, wolę zostać sama, jeśli pozwolisz.

W rzeczywistości wcale nie było ze mną w porządku. Nawet przy wsparciu anksjolityków nie potrafiłam dojść do siebie - bo niby jak, skoro w każdej chwili musiałam się spodziewać katastrofy?

Dni jednak mijały, a tu nic: ani wezwania, ani najścia policji. Nawet cienia oskarżeń. Można by pomyśleć, że nikt o niczym nie wie.

Pod koniec pierwszego tygodnia otrzymałam wiadomość rozesłaną do wszystkich

pracowników biblioteki. Zamknięto dochodzenie w sprawie śmierci Justiniena. Wykazało, że śmierć nastąpiła w wyniku upadku ze schodów, który spowodował uszkodzenie kości czaszki. Trzy linijki, sprawa zakończona. No bo kto by się przejmował śmiercią takiego Justiniena?

\*

Kiedy usłyszałam dzwonek, pomyślałam, że to już: wszystko się wydało, przyszli po mnie. Powlokłam się do wideofonu i o mało nie zemdląłam, kiedy na ekranie zobaczyłam twoją twarz. Całe szczęście, że pod ręką był mur - człowiek czepia się, czego może.

- Dzień dobry.

- Musimy pogadać.

Wybiła godzina prawdy. W sumie poczułam niejaką ulgę.

- Proszę wejść, to ostatnie piętro - powiedziałam, wciskając klawisz otwierający wejście.

Po czym wstrzymałam oddech.

Zadzwoiłeś do drzwi, kiedy byłam przy stu dziesięciu. Rzekłam sobie, sto dziesięć to dość, i otworzyłam ci.

- Zapraszam dalej.

Mój wygląd pewnie pozostawiał wiele do życzenia, lecz nie pomyślałam o tym; inne zmartwienia miałam.

- Proszę spocząć - powiedziałam na wszelki wypadek, wskazując kanapę.

Zobaczyłam, że omiatasz wzrokiem pokój, zatrzymujesz go przez chwilę na piórze wyeksponowanym na komodzie. Nigdy nie ośmieliłam się go użyć - bałam się kłopotów po rozpieczętowaniu paczki papieru i butelki atramentu. Niemniej przyjemnie było mieć je na widoku. Następnie twoje spojrzenie spoczęło na Paszy, który spał na poduszce blisko okna.

- Jaki wspaniały kot! To abisyńczyk, tak?

- Tak. Tęczowy.

- Należą do najrzadszych. I najpiękniejszych! Jaki będzie następny kolor?

- Nie wiadomo. Barwy są losowe.

Zapadło milczenie. Zgadywałam, że nie przyszedłeś, aby rozmawiać o kocie, czekałam więc niespokojnie, aż się zdecydujesz i przejdiesz do sedna.

- Jak pani samopoczucie? - zapytałeś wreszcie.

- Nie wiem.

Pokiwałeś głową z westchnieniem.

- Pewnie się pani zastanawia, dlaczego przyszedłem.

- Właściwie nie. To znaczy domyślałam się powodu.

- Kilka dni temu zatelefonowali do mnie z ośrodka, w którym mieszkał Justinien. Chcieli, żebym opróżnił jego pokój. Wie pani, Justinien nie miał rodziny, więc od czasu do czasu pomagałem mu w sprawach administracyjnych i kwestiach praktycznych. No więc... pojechałem tam. I w jego rzeczach znalazłem to.

Z kieszeni płaszcza wyjąłeś płócienną saszetkę i otworzyłeś ją. Kolory buchnęły w twoich palcach jak rozkwitający kwiat: szalik pana Kauffmanna.

- Nie wiedziałem, że mu go pani dała. Pomyślałem, że zechce go pani dostać z powrotem.

- Nie dałam mu! On... on mi go...

- Ukradł?

Kiwnęłam głową bez słowa. Wydawałeś się wstrząśnięty.

- Bardzo mi przykro, naprawdę. Proszę, niech go pani weźmie.

Pokręciłam głową.

- Nie chcę.

- Przecież zależało pani na nim.

- Tak, ale teraz go nie chcę. To wszystko. Patrzyłam na mieniący się szalik, na jego zdobienia.

Nie było łatwo się go wyrzec, lecz byłam pewna swego.

- Niech pan z nim zrobi, co chce. Może go pan wyrzucić albo dać komuś. Ja nie mogę go wziąć.

- Skoro tak pani sobie życzy... - rzekłś strapiionym głosem.

Nałożyłam okulary słoneczne.

- Proszę wybaczyć. Światło, wie pan...

- Tak, oczywiście. Idiosynkrazja.

Znów zapadła cisza. Później zauważyłam, że wpatrujesz się w duże lustro, za którym nagrywała kamera.

- Błado pani wygląda.

- Wiem.

- Powinniśmy się przejść razem. Dobrze to pani robi.

Schyliłam głowę. Przekaz był jasny: nasza rozmowa jeszcze się nie skończyła.

Szedłś długim krokiem, wyraźnie pragnąc jak najszybciej opuścić osiedle. Podążałam za tobą, nie śmiąc zapytać, dokąd idziemy. Wkrótce minęliśmy granicę, do której docierałam sama, i poczułam, że strach wraca. Z każdym krokiem bardziej ciężący. Zaczynałam wpadać w popłoch. A ty wciąż szedłś naprzód, za szybko, bez słowa. Nie nadążałam. Lęk teraz

ściskał mnie za gardło, do którego wszystko mi podeszło. Pogrzebałam w kieszeni i zdałam sobie sprawę, że zapomniałam buteleczki z anksjolitykiem. Przystanęłam naraz pośrodku chodnika.

- Co się dzieje? Źle się pani czuje?

- Tak... to znaczy... nie. Proszę mi dać dwie minuty. Muszę odpocząć.

Zastosowałam bezdech. Zaczęłam zwyczajnie liczyć, nie myśląc o niczym innym. Do stu dwudziestu - to minimum pozwalające mi się pozbierać. Doszedłszy do stu dwudziestu, otworzyłam oczy. Patrzyłeś na mnie poważnie, lecz bez zniecierpliwienia. Dawałeś mi potrzebny czas. To mnie skłoniło do przedłużenia tej chwili. Przy trzystu dziesięciu poczułam, że jestem prawie spokojna. Mogłabym to ciągnąć, nie chciałam jednak nadużywać twojej uprzejmości - jak mus, to mus. Powiedziałam zatem: „Jestem gotowa”. I ruszyliśmy dalej.

Jak długo szliśmy? Co najmniej godzinę. Może dwie. Przyznaję, że straciłam poczucie czasu - byłam zbyt skupiona na stawianiu kroków. Bez przerwy kluczyłeś, zawracałeś, znów ruszałeś naprzód w innym kierunku. Jak spacerowicz pijany albo zagubiony. Mimo to zgadywałam, że doskonale wiesz, dokąd zmierzamy.

Kiedy powiedziałeś „Jesteśmy”, z niedowierzaniem podniosłam głowę oszołomiona długim marszem. Dotarliśmy do wąskiego, dziwnie zapyziałego zaułka, zapomnianego zakamarka w środku czystego, wymuskanego miasta.

- Podoba się tu pani?

Popatrzyłam na ciebie wystraszona i zobaczyłam, że leciutko się uśmiechasz.

- Tutaj wszystko jest takie samo jak w ubiegłym wieku: nie ma mikrofonów ani kamer. Inaczej niż w pani dzielnicy, prawda?

Miejsce bez kamer, wydawało się to niepojęte. Ale tak było faktycznie. Przeszedł mnie dreszcz. Nie ze strachu, po prostu dziwnie było pomyśleć, że jesteśmy sami - znaczy naprawdę sami, bez monitoringu, bez żadnego nadzoru ani ochrony. Gdyby coś nam się przytrafiło, nikt by się o tym nie dowiedział. Świat nagle jakby stał się mniej bezpieczny.

- Chyba nie bardzo się to pani podoba.

- Nie, skądże...

Roześmiałeś się.

- Zobacz pani, łatwo do tego przywyknąć. Tak czy owak nie miałem wyboru. Bo widzi pani, bezwzględnie trzeba znaleźć takie miejsce, jeśli chce się pogadać o działalności nielegalnej.

Przez kilka chwil myślałam, że umrę, naprawdę, a przynajmniej że stracę przytomność

- obydwa sposoby pozwalają uciec od rzeczywistości. Nie doszło jednak do tego: stałam nadal, choć owszem, na miękkich nogach i z walącym sercem, lecz czułam grunt pod stopami  
- widocznie z czasem nabrałam większej odporności.

- Znalazł je pan, tak?

- Jeśli ma pani na myśli dokumenty, które Justi - nien po kryjomu przywoził pani z magazynów, to tak, znalazłem je.

Poczerwieniałam mocno.

- No ale co...?

- Wszystko załatwione. Chciałem, żeby pani wiedziała.

- Czy to znaczy, że... że nie wydał mnie pan?

- Wszystko załatwione - powtórzyłeś. - Nie musi się pani bać.

- Czemu pan to robi?

- Dla Justiniena. W końcu to był jego wybór.

Iw jakimś stopniu również dla pani. „Zycie jest pełne tajemnic”. Podobał się pani ten apoftegmat, prawda?

Kiwnęłam głową, nie mogąc wydusić słowa; w uszach zabrzmiał mi głos Justiniena: „Zycie jest pełne tajemnic”. Święta prawda. Na moment przymknęłam oczy.

- Dziękuję.

- Niech mi pani nie dziękuje. Proszę tylko powiedzieć dlaczego. Chciałbym zrozumieć.

- No bo... ja... interesuję się Zoną.

- Tak bardzo, żeby ryzykować?

- Nie mówi mi pani wszystkiego, prawda? Jest inny powód. Konkretny.

Zaniemówiłam na chwilę, w końcu skinęłam głową.

- Powie mi pani jaki?

- Nie ufa mi pani?

- Nie o to chodzi, tylko...

- Więc proszę powiedzieć.

Jakoś nie bardzo mogłam odpowiedzieć: „Nie, i tak pan nie zrozumie”. Po tym, co dla mnie zrobiłeś, zwyczajnie coś takiego nie wchodziło w grę, a nie miałam odwagi znowu cię okłamać. Postanowiłam zatem wyznać część prawdy. Tylko część. To i tak było dużo.

- Ja... ja się urodziłam w Zonie. Dlatego.

Zwiesiłam głowę zgnębiona, że musiałam zdradzić tajemnicę, której dotąd tak pilnie strzegłam. Och, gdybyś wiedział, jak się wtedy wstydziłam! Dodałam, tłumacząc się jakby:

- Urodziłam się *extra muros*, ale nic nie pamiętam, to znaczy prawie nic. Właściwie to się nie liczy.

I proszę, nie mówmy o tym więcej.

- Wie pani, pochodzenie z Zony to żaden wstyd - rzekłeś ze smutkiem. - Mam szczerą nadzieję, że kiedyś zrozumie pani dlaczego.

Popatrzyłam na ciebie niedowierzająco, a ty się uśmiechnąłeś.

- Chodźmy, odprowadzę panią.

Do pracy wróciłam 5 kwietnia. Na piętrze nikt się nie zorientował, że mnie nie było, co przyjął z zadowoleniem. Miejsce Justiniena zajęła dziewczyna, Lucrezia, bez tików i blizn, na oko normalna. Zastanawiałam się, czy to jedna z twoich protegowanych, ponieważ była ładna.

Tuż przed przerwą zaczynającą się o trzynastej zastukałeś w szklaną ściankę mojego boksu. Ucieszyłam się, choć nie okazałam tego, bo bardzo się bałam spotkania z tobą.

- I jak? Doszła pani do siebie?

- Tak, już dobrze się czuję.

- Świetnie. Gdyby pani czegoś potrzebowała...

- Spacer...

- Proszę?

- Chciałam panu podziękować za spacer. Jeszcze nigdy nie wyszłam tak daleko w miasto i... bardzo mi to pomogło. Musiałam to panu powiedzieć.

- Bardzo mnie to cieszy, Lilu.

Wtedy po raz pierwszy powiedziałeś do mnie „Lilu”.

Nie przesadzałam, mówiąc, że ten spacer z tobą bardzo mi pomógł: niespodzianie wyprowadziłeś mnie poza dotychczasowe granice, zmusiłeś do wyjścia poza ciasne ramy, w których się dotąd zamykałam. Wstrząs był mniejszy, niż się obawiałam, i to mi otwarło oczy.

Człowiek żyje, wznosząc bariery, poza które zakazuje sobie wychodzić: za nimi są wszystkie stworzone przez niego potwory. Wierzymy, że są straszne, niepokonane, tymczasem wcale tak nie jest. Wystarczy znaleźć w sobie odwagę, aby stawić im czoło, a okażą się o wiele słabsze, niż nam się wydawało. Maleją, rozwiewają się wolno. Aż w końcu się zastanawiamy, czy w ogóle istniały.

Zaczęłam codziennie po pracy wychodzić na godzinę, dwie. Było mi obojętne, dokąd idę. Szłam po prostu przez miasto, żeby się przyzwyczaić do nieznanego - do zapachów, dźwięków, ciągłego ruchu ludzi. Do spotkań, których należało unikać.

Uroda wycinała mi czasem numery. Zawsze robiłam co mogłam, aby ją ukryć -



skromne ubranie, ciemne okulary, brak makijażu - lecz to nie wystarczało: nadal rzucała się w oczy, tak że ludzie często oglądali się za mną. Nie było właściwie wyjścia, żeby nie zagadywali do mnie mężczyźni, a także kobiety. Nigdy nie odpowiadałam; szłam dalej przed siebie z walącym sercem, ponieważ to nigdy nie jest przyjemne. Tyle dobrze, że nie byli natarczywi. Odkąd wprowadzono obostrzenia prawne dotyczące nękania, ludzie nauczyli się hamować.

W sumie najtrudniej było mi się rozluźnić. Zaakceptować błąkanie się bez celu, niespodziankę, zaskoczenie. Dać się nieść nogom. W moim życiu nigdy dotąd nie było miejsca na improwizację, zdawałam sobie równocześnie sprawę, że swoboda jest dużo bardziej złożona, bardziej niepokojąca także niż wszelkie zakazy, pośród których dotąd funkcjonowałam.

Nie poddawałam się. Dzielnie sobie radziłam. Stawiałam nogę przed nogą i szłam, szłam, szłam coraz dalej, w miarę jak dzień się wydłużał. Każdy taki spacer był zwycięstwem nad potworami: nie rzucały mi się już na klatę ani do gardła, jak na początku. Zachowywały teraz dystans i chociaż nadal były straszne i groźne, cofały się, gdy maszerowałam na nie. Nauczyłam się trzymać je na odległość, na dworze udawało mi się pozostawać aż do nocy. Bywało nawet, że wracałam dopiero, gdy wybijała godzina policyjna.

Pod koniec czerwca pierwszy raz wsiadłam do metra. Zwymiotowałam - należało się tego spodziewać. Przewidując zabrałam ze sobą worek w trosce o otoczenie. Ludzie udawali, że tego nie widzą. Odsunęli się tylko trochę, odwracając wzrok. Pewnie mieli mnie za jakąś dziwaczkę z tymi torsjami i wystraszoną miną. A ja nie pojmowałam, jak to się dzieje, że nie robią jak ja: głowa między nogi, trzewia wyrzygiwane do papierowego worka.

Mimo to nie zrezygnowałam. Dzień po dniu stawiałam czoło tłumowi ściśniętemu w pociągach, mieszaninie zapachów i obscenicznej bliskości innych. Nie miałam wyjścia, musiałam się z tym uporać.

I uporałam się zarówno z tym, jak i z resztą, przez większość czasu pomagając sobie bezdechem z zaciśniętymi zębami, aby nie zemdleć od tyłu dotyków i owiewających mnie oddechów.

Metro było ostatnią ostoją potworów. Przegoniłam je stamtąd, nim skończyło się lato.

\*

Codziennie zagłądałaś do mnie na chwilkę: „Jak leci? Zrobiła sobie pani jakiś spacer? A jakiego koloru jest w tym miesiącu kot?”. Dobrze mi robiła atencja, jaką mnie otaczałaś, twoja delikatność. A także twoje spojrzenie.

Po kilku minutach mówiłaś zawsze: „Pójdę już, dość czasu pani zabrałem”. A ja za

każdym razem musiałam walczyć z pragnieniem, by nie powiedzieć: „Proszę jeszcze zostać”. Ostatecznie nigdy cię nie zatrzymywałam. Tak było lepiej. Mogłam nadal wmawiać sobie, że taka krótka wymiana zdań nie niesie żadnych konsekwencji.

Odkąd Fernand się dowiedział, że odwiedziłeś mnie w mieszkaniu, zadawał dużo pytań na twój temat. Odpowiadałam jak najoszczędniej, mimo to miałam przeświadczenie, że mówię za dużo. Każda moja odpowiedź spotykała się z wrogim milczeniem, które wprowadzało mnie w zmieszanie. Kiedyś nieopatrznie powiedziałam mu o twoich zmarszczkach - żałowałam, że nie ugryzłam się w język.

- Nie robi sobie zastrzyków?! - zawołał zdumiony.

Nie dowierzał. Nie robisz sobie zastrzyków! Po czym z pogardliwą miną, tonem, który dość groźnie zabrzmiał, dodał:

- To o czymś świadczy!

Nie zrozumiałam. Syknął wtedy przez zęby:

- Ten twój Templeton pozuje na niezależnego nonkonformistę. Pewnie go bawi odgrywanie prowokatora! Dam ci radę, Lilu: nie ufaj temu człowiekowi.

Mogłam była posłać go do wszystkich diabłów - po co się miesza do tego, co go nie dotyczy? Byłam wystarczająco duża, by wiedzieć, co powinnam zrobić. Nie chciałam jednak mu się sprzeciwić. Głupotą byłoby igranie z ogniem na kilka miesięcy przed moim upełnoletnieniem. Odpowiedziałam zatem:

- Nie martw się. Trzymam go na dystans.

W sumie nie było to kłamstwo.

Nie wiem, dlaczego ci o tym opowiadam, bo w gruncie rzeczy niezbyt się przejmowałam cierpkimi uwagami Fernanda. Nadal skupiałam się na sprawach najważniejszych: na spacerach i na Wielkiej Bibliotece. Lucrezia co rano przywoziła mi dokumenty do opracowania. Wszystkie dotyczyły Zony - prawdziwa gratka, aczkolwiek zgadywałam, że nie jest to dziełem przypadku. Ogromnie byłam ci wdzięczna, chociaż nie rozumiałam, dlaczego starasz się mi pomagać. „Życie jest pełne tajemnic”.

Po scyfrzowaniu i dokonaniu wskazanych cięć dokładnie czytałam każdy artykuł. Z wolna zaczynały się we mnie rodzić wątpliwości dotyczące wszystkiego, co się mówi o Zonie: zamieszek, terroryzmu, operacji oczyszczania... Sprawy wcale nie wydawały się takie proste, jak usiłowano nam wmówić. Z niektórych artykułów wylaniała się zupełnie inna wersja faktów niż znana z oficjalnych przekazów, czasami wręcz poparcie dla ruchu oporu - tak nazywano w nich działania terrorystów. Wszystko po kolei było podważane. Wszystko, czego byłam pewna.

Dotąd tak naprawdę nie zastanawiałam się nad swoją pracą. Wykonywałam polecenia, ot co: usuwałam ustępy mogące nakłaniać do przemocy, perwersji seksualnych, konsumpcji niedozwolonych substancji, nawyków żywieniowych szkodliwych dla zdrowia. Usuwałam to, co było zamachem na godność ludzkiego ciała lub na prawa do wizerunku. Usuwałam wypowiedzi dyskryminujące. *Et cetera*. Na pierwszy rzut oka nie wydawało mi się to szczególnie szokujące. Poza tym kiedy trzeba wykonać w określonym czasie określoną pracę, siłą rzeczy nie ma czasu na refleksję. Teraz jednak, gdy znajdowałam czas, by porównać każdy artykuł z tym, co z niego zostawało po scyfrizowaniu, zaczęłam sobie uświadamiać, że istnieje pewien problem. Za dużo było tego wycinania, czasem tak chytrego, że kompletnie odwracało znaczenie tekstu albo czyniło go wręcz niezrozumiałym.

Nie jestem głupia. Szybko pojęłam, o co w tym biega, i przyznaję, że strasznie mnie to oburzyło. Mało nawet brakowało, a przyszedłabym powiedzieć ci otym - nie chciało mi się wierzyć, że wiesz i zgadzasz się na coś takiego. Po zastanowieniu jednak doszłam do wniosku, że lepiej nie rzucać się w oczy, zwłaszcza wdając się w politykę. Ostatecznie co mnie obchodziło mataczenie, które się wyprawiało w Wielkiej Bibliotece? Niech sobie przycinają, modyfikują, fałszują, mnie to nie dotyczy: ja mogłam czytać oryginały, poznawać prawdę. To było najważniejsze, a inni niech się sami martwią.

Codziennie czytałam artykuły z taką samą uwagą i przejęciem jak niegdyś' książki w moim pokoju w Centrum. Zapamiętywałam wszystko - teksty, daty, zdjęcia. Jakbym zadrukowywała sobie mózg: rozruchy w dziewięćdziesiątym pierwszym, kontrole na granicy, konspiracyjne siatki. Wciąż takie same obrazy płonących budynków i walk ulicznych. Rozciągnięte na ziemi ciała w łachmanach i śmigłowce unoszące się nad ruinami. Powoli zrekonstruowałam historię tamtych lat, dowiedziałam się o tym, czego nigdy mi nie mówiono, i to mną wstrząsnęło. Miałam w głowie słowa, które wygłosiłeś w tamtym zaułku, zanim wróciliśmy: „Pochodzenie z Zony to żaden wstyd. Mam szczerą nadzieję, że kiedyś zrozumie pani dlaczego”. Myślę, że wtedy zaczęłam rozumieć.

Ponieważ Pasza zjadał większą część moich porcji, niemożliwie się roztył. „Dajesz mu za dużo karmy - powtarzał stale Fernand. - Uważaj, żebyś nie miała problemów”. I w końcu faktycznie mnie nastraszył: jeśli inspekcja weterynaryjna przyjrzy się dokładniej dziecie mojego kota, bez wątpienia szybko odkryje to i owo. A na tym wcale mi nie zależało. Nie byłam jednak w stanie zrezygnować z jego karmy. Spróbowałam zatem czegoś innego: któregoś wieczoru otworzyłam okno i wystawiłam Paszę na balkon.

- No zmykaj, tłuscioszku! - Popatrzył na mnie stropiony. - No idź! - namawiałam, popychając go w stronę gzymsu. - Idźże zaszaleć! - Spoglądał coraz bardziej niedowierzająco.

- Przejdź się. Dobrze ci to zrobi, zobaczysz.

Wietrzyk owiał mu futerko. Poglądziłam go po bokach, lekko popychając.

- Idź, kiciu!

Miauknął krótko, nie wiem, co chciał przez to powiedzieć. Pewno nic - zwierzęta są głupsze, niż nam się wydaje. Później wolniutko wszedł na gzyms.

Bardzo szybko zasmakowały Paszy te eskapady. Wypuszczałam go co wieczór. Wracał rankiem zmordowany, ze skłębioną sierścią, zawsze jednak dumny niczym arystokrata, który wyrwał się na hulankę w podejrzanych dzielnicach. „Pewnie złamałeś niejedno serce, moje śliczności”, mówiłam, głaszcząc go po pomarańczowej sierści. Pochylał łebek i zaraz zaczynał mruczeć - i zrozum tu kota.

Efekty były zgodne z moimi oczekiwaniami: w ciągu zaledwie kilku tygodni Pasza odzyskał zwinność - po prostu brakowało mu odrobiny wysiłku fizycznego i rozpusty. Problem się rozwiązał. Mogliśmy spokojnie nadal jeść jak dotąd: on moją porcję, a ja jego. Owoce i warzywa lądowały w doniczkach z paprociami i hulaj dusza. Wszystko świetnie się układało.

\*

Lato minęło mi na krążeniu po mieście i poznawaniu go po kawałku: 1. dzielnica - muzeum Notre - - Dame; 9. - złote łany zbóż na Polach Elizejskich; 32., La Courneuve - wielki park i piękne wille z lat czterdziestych; 50. - miasteczko olimpijskie, rzeka i jej brzegi obleżone przez plażowiczów w sierpniu. Było ciepło. Nareszcie udawało mi się przybliżyć do miasta - miasta innych ludzi. Czułam, że ono nie jest moje, ale przynajmniej mogłam się o nie ocierać, nie mdlejąc ani nie wymiotując. Mój strach przestał być przeszkodą.

Fernand oczywiście wiedział o tych moich wyprawach. Intrygowały go, zasypywał mnie pytaniami: „Gdzie byłaś dzisiaj? Jak ci poszło?”. Zawsze mówiłam prawdę, na wypadek gdyby chciał sprawdzić. Nie musiałam zresztą kłamać - nie robiłam nic złego, przeciwnie: próbowałam „otworzyć się na świat” zgodnie z zaleceniami Komisji. Parę razy Fernand proponował, że pójdzie ze mną. Odpowiadałam: „Nie, muszę przywyknąć, że jestem zdana tylko na siebie”. Nie nalegał.

W pierwszą sobotę września pojechałam metrem aż do południowej granicy. Było to najdalsze miejsce, do którego mogłam dotrzeć, nie budząc podejrzeń. Aby dołączyć do mamy, będę musiała dojechać dużo dalej, uważałam jednak, że dobrze znaleźć się przy granicy i z wyprzedzeniem rozpatrzyć na miejscu, obwąchać wszystko. Uznałam, że to mi doda pewności, kiedy nadejdzie wielki dzień.

Przyjechałam późnym popołudniem. Zabrałam ze sobą zabezpieczenia - ciemne

okulary miałam na nosie, a w kieszeni buteleczkę z anksjolitykiem na wszelki wypadek. Ale nie musiałam go zażywać. Wszystko wyglądało identycznie jak na zdjęciach w aktualnościach, było czyste i ładnie, wszędzie panował porządek: ciągnący się bez końca mur z pstrokatymi abstrakcyjnymi malowidłami, krzewy różowych i niebieskich hortensji, co dwadzieścia metrów wieża strażnicza górująca nad terenem przejścia granicznego. Na placu ciągnęły się długie, równiutkie, niemal geometryczne kolejki mieszkańców Zony. Bramki detekcyjne wsysały ich niekończący się strumień. W górze migotało ostrzeżenie: „Zakłócenie płynności kontroli grozi karą”. Wszystko się odbywało bardzo szybko, spokojnie, sprawnie: ludzie prezentowali twarz i kartę pobytu; automaty w dwie sekundy weryfikowały kartę i skanowały tęczówkę. W trybach wielkiej maszyny nie zgrzytało nawet jedno ziarnko piasku. Teraz zrozumiałam, jak miasto co dzień w ciągu kilku godzin potrafi się uporać z milionem imigrantów, których pożera każdego ranka i wieczorem znowu wypływa.

Z oddali dobiegał szum pociągów, które odjeżdżały dalej z Dworca Południowego, rozwożąc tych ludzi do właściwych dystryktów. Szum setek pociągów przecinających we wszystkich kierunkach Zonę z tysiącami ciał. Pomyślałam, że wkrótce będę wśród nich, i przeszedł mnie dreszcz - nie wiem, czy z dumy, czy ze strachu. To akurat nie miało znaczenia, bo zamierzałam zrobić, co postanowiłam. Stoczyłam niejedną batalię, by do tego dojrzeć. Strach już się nie liczył. Udało mi się z nim dogadać.

Nadszedł koniec września, dni jeszcze były ciepłe. Jadłam lunch przed Memoriałem, kiedy do mnie przyszedłeś.

- Pozwoli pani, że przysiądę na chwilkę?

- Oczywiście - wybełkotałam, nerwowo wciskając pokrywkę na metalową puszkę z karmą.

- Proszę się mną nie krępować i zjeść spokojnie.

- Właśnie... skończyłam.

- Często pani tu przychodzi, prawda?

- Tak. Bardzo lubię to miejsce. Taki tu spokój, poza tym te wyryte nazwiska... ci ludzie... Myślę o nich, próbuję ich sobie wyobrazić i... nie wiem dlaczego, ale dobrze to na mnie wpływa. Często myślę też o Justinienie. O jego rodzicach. Zastanawiam się, które nazwisko jest ich. On mówił, że zapomniał. Może pan by mi powiedział?

- Justinien mówił pani, że nazwisko jego rodziców figuruje na steli?

- Nie wiedział pan?

- Ależ Lilu, Justinien nie miał rodziców. On był chimera!

- Chimera?!

- Myślałem, że pani zgadła.

Pokręciłam głową oszołomiona.

- Daję słowo, że był chimerą. Nieudaną jak prawie wszystkie - dodałeś z gorzkim uśmiechem. - Przecież to było widać. Jakim cudem pani...?

- Sama... sama nie wiem... Widziałam, że miał... problemy, nie był taki jak wszyscy, ale mimo wszystko uważałam, że jest... ludzki.

- Owszem, ma pani słuszość: Justinien był bardzo ludzki. Na pewno bardziej niż niektórzy z nas.

- Uśmiechnąłeś się smutno. - Dużo pisał. Wiersze. Wiedziała pani?

- Tak, mówił mi.

- W dniu śmierci miał przy sobie płytkę. Może i o tym pani wiedziała?

- Nie... ja nie...

- Policja dostarczyła mi jej kopię. To jego wiersze. Przeczytałem je, są naprawdę piękne. Kiedyś dam je pani, jeśli pani chce.

- Może kiedyś... ale nie teraz. Jeszcze za wcześnie.

- Jasne.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, starając się uporać każde ze swoim smutkiem. Słońce rzucało na nas cień Memoriału. W końcu przerwałeś ciszę:

- Przyszedłem się z panią pożegnać. Znowu jadę do Zony. Poproszono, żebym dokonał kilku poprawek w planie działań, który opracowałem w czasie poprzedniej misji.

- Aha...

- Nie będzie mnie miesiąc. Może dwa. Wszystko będzie zależało od dyrektyw ministerstwa. Poradzi sobie pani?

- Co pan ma na myśli?

- No nie wiem... Upelnoletnienie... To już niedługo, prawda?

- Tak, w zasadzie za niecałe cztery tygodnie. Dziewiętnastego października skończę dwadzieścia lat.

Pokiwane głową w zamyśleniu.

- Mam coś dla pani. Proszę - szepnąłeś, podając mi szarą płócienną saszetkę. - Mam nadzieję, że się spodoba.

Saszetka zawierała jedwabny kolorowy szalik. Motywy były dokładnie takie jak na szaliku pana Kauffmanna.

- Nie do wiary! Jak pan to zrobił?

- Szukałem. Dość długo, muszę przyznać. Ale wszystko udaje się osiągnąć, trzeba

tylko czasu. - Musnąłeś palcami szalik. - Oczywiście nie zastąpi tamtego, ale pomyślałem, że się pani przyda, kiedy nadejdą przymrozki.

Nie wiedziałam, co powiedzieć - byłam ogromnie wzruszona i trochę też zażenowana, bo otrzymanie prezentu to nie było co. Wydukałam podziękowanie, na które się uśmiechnąłeś.

- Może go pani założy, żebym zobaczył, jak na pani wygląda?

Owinęłam szyję szalikiem, potem starannie schowałam go pod stójką swetra. Znowu się uśmiechnąłeś.

- Nie chce go pani pokazywać?

- Tak nosiłam poprzedni, więc rozumie pan...

- Nie ma sprawy. Proszę robić, jak pani chce. - Podniosłeś się. - Muszę już iść.

- Jeszcze raz bardzo panu dziękuję.

- Proszę mi mówić Milo.

- A więc dziękuję, Milo. I powodzenia w misji.

- Ja również życzę ci powodzenia - odparłeś bardzo dziwnym głosem.

Wyjechałeś następnego dnia. Wiedziałam, że będzie mi Ciebie brakowało, choć z drugiej strony czułam ulgę. W ostatnich tygodniach przed wielką wyprawą bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałam skupienia na swoim celu. Poza tym wiedziałam, że dzięki temu nie będę musiała Cię okłamywać.

Komisja 19 października oficjalnie ogłosiła moje pełnoletnie. W ciągu minionych dwóch lat bez ustanku dowodziłam zrównowazenia i dobrych chęci, a chociaż wiele jeszcze zostało do zrobienia na polu socjalizacji, wszyscy z satysfakcją odnotowywali wysiłki, które podejmowałam w celu wmieszania się w tłum na ulicy czy w metrze. Ukoronowaniem wszystkiego był dytyrambiczny raport, który sporządziłeś przed wyjazdem, oceniając moją pracę w Wielkiej Bibliotece. Jednogłośnie wyrażono zgodę na pełnoletnie, złożono mi gratulacje. Wreszcie uwolniłam się od nadzoru głabów.

Aby uczcić to wydarzenie, Fernand zaprosił mnie do wykwintnej restauracji. Wypadłam znakomicie, byłam wesoła, rozgadana. Kosztowałam wszystkiego i pilnowałam się, by ani razu nie wymówić twojego nazwiska, co mogłoby zepsuć atmosferę. Miałam jednak szalik od Ciebie pod sukienką bez rękawów.

Pod koniec kolacji Fernand powiedział:

- Już nie jestem twoim wychowawcą. Możemy utrzymywać normalne stosunki... znaczy przyjacielskie. Co ty na to?

- Tak, czemu nie? - odparłam.

Normalne stosunki, ha, to coś nowego, innego.

Poszliśmy do szatni po płaszcze. Kiedy wkładałam swój, odpiął mi się pierwszy guzik sukienki.

- A to co? - zapytał Fernand, wskazując szalik.

- Szalik.

- Widzę, że szalik! Chcę wiedzieć, skąd go masz!

- To prezent.

- Od kogo?

Przez ułamek sekundy chciałam skłamać. Zaraz jednak pomyślałam, że dość tego, jestem pełnoletnia, Fernand nie może mi już zaszkodzić.

- Od pana Templetona.

Spurpurowiał.

- Prosiłem, żebyś się trzymała od niego z daleka!

- Zapomniałaś uściślić, jak powinnam się zachować, jeśli będzie mi dawał prezent.

- Lilu, skończ z tymi gierkami, dobrze?

- Marzę o tym.

- Słuchaj, od jakiegoś czasu próbuję cię ostrzec, ale ty jakbyś niczego nie rozumiała, więc powiem prosto z mostu: wywiadywałem się o tego Templetona. Nie wszyscy w ministerstwie dobrze mu życzą. Krążą różne pogłoski o tych jego misjach w Zonie. Niektórzy twierdzą, że kryje się za nimi jakaś nielegalna działalność, handel...

- Krążą pogłoski!... Tak nisko upadłeś? Słuchasz teraz plotek?

Ani trochę się nie zmieszał.

- Dotąd Milo Templeton cieszył się silnym wsparciem ministerstwa, ale nie zawsze tak będzie. Na szczytach władzy wiatry szybko zmieniają kierunek!

- Co dokładnie chcesz mi powiedzieć?

- Ostrzegam cię po prostu. Ten twój Templeton ściąga na siebie duże kłopoty. Wierz mi, Lilu, powinnaś się wystrzegać tego człowieka!

Patrzyłam na niego bez słowa. Nagle zobaczyłam go takim, jaki był: facetem samotnym jak palec. Facetem, który nie potrafił zatrzymać przy sobie ani żony, ani dziecka, ani nawet kota, nikogo, chełpił się natomiast, że ma dojście do gabinetu ministra. Też mi osiągnięcie!

Mogłam go za to potraktować pogardliwie, powiedzieć mu: „Zwykły łajdak z ciebie”, lecz nie potrafiłam. Bo w głębi ducha rozumiałam go: w jego życiu od tak dawna nic nawet nie drgnęło, że ani chybi nie mógł ścierpieć, że cokolwiek dzieje się w życiu innych.

Wracaliśmy pieszo, idąc obok siebie w milczeniu, jednakowo zgnębieni zepsutym



wieczorem. Mimo wszystko na dole budynku zaproponował, żebyśmy wstąpili do niego na ostatniego drinka. Odparłam, że jestem zbyt zmęczona. Nie nalegał. Wróciłam do siebie.

Nie spałam tej nocy. Rozmyślałam o swoim życiu, o wysiłkach, które mi pozwoliły dotrzeć aż tutaj. Rozmyślałam o wszystkich, którzy mi pomagali, czasem nieświadomie. O panie Kauffmannie, Lucienne, Fernandzie i Justinienie. Rozmyślałam o tobie. Czułam się dumna i silna, wreszcie gotowa: mogłam iść sama w tłumie, wsiąść do metra, znieść łoskot pociągu i bliskość współpasażerów, ich zapach, błyski światła tryskającego niekiedy w tunelach. Miałam dwadzieścia lat, byłam wolna i swój cel miałam na wyciągnięcie ręki.

## *Zona*

Już dawno ustaliłam datę: w niedzielę 23 października, cztery dni po upełnoletnieniu. I w zasadzie tylko daty byłam pewna w związku z tą wyprawą. Jeśli chodzi o mamę, nie robiłam sobie złudzeń. Nie miałam praktycznie żadnych szans, żeby ją tego dnia zobaczyć, o tym wiedziałam.

Wszystkie opracowania, które przeczytałam, wskazywały na to samo: im dłużej trwa uwięzienie, tym rzadziej osadzeni korzystają z widzeń bezdozorowych w oddzielnym pomieszczeniu. Na początku możliwość rozmowy jest dla nich wytchnieniem. Później dla większości oznacza znużenie; powoli zamykają się w sobie, kurczą, zasklepiają niczym ślimaki obudowujące skorupę grubą warstwą śluzu. Rezygnują. Moja matka od czternastu lat przebywała w więzieniu, niewątpliwie zatem już dawno weszła w stadium milczenia.

Nie powstrzymało mnie to przed wyjazdem. Czułam potrzebę podejścia blisko więzienia, obejrzenia miejsca, gdzie przebywała w zamknięciu, popatrzenia w każde okno z osobna. Jeśli znajdę się tak blisko niej, to mimo krat, murów i wież strażniczych będzie to poniekąd jak spotkanie. Poza tym istniała jednak szansa, choć doprawdy niewielka, na widzenie - nie mogłam jej przepuścić.

Pojechałam metrem do terminalu południowego. Przez całą drogę siedziałam wyprostowana, z zamkniętymi oczami, na bezdechu. Powietrza nabrałam tylko dwadzieścia razy.

Kiedy wyszłam z metra, musiałam się przepychać przez tłum imigrantów, którzy szli w przeciwną stronę - zwyczajny tłok w godzinie szczytu. Przewidziałam to, nie spanikowałam.

Pomaszerowałam do posterunku granicznego. Byłam bardzo spokojna. Procedurę miałam w małym palcu, nie będzie żadnych niespodzianek. Zresztą nie robiłam nic nielegalnego.

Na przejściu starannie wypełniłam formularz. Przy punkcie „Powód podróży” zakreśliłam „turystyczny”, po czym skierowałam się do bramki detekcyjnej strzeżonej przez robota. Wsunęłam swoją fiszkę wraz z paszportem do skanera. Robot się uśmiechnął.

- Proszę podnieść głowę i nie ruszać się.

Zajrzał mi w oczy, zeskanował moje tęczówki.

- W porządku, pani K. Miłego pobytu w Zonie.

Odebrałam paszport i weszłam w korytarz prowadzący do Dworca Południowego. Nie musiałam korzystać z tablic świetlnych: nauczyłam się na pamięć całego rozkładu odjazdów

pociągów do 17. dystryktu, wiedziałam również, dokąd iść: na peron 64, odjazd o 8.19. Miałam dużo czasu. Mimo to przyspieszyłam kroku.

Wagon był prawie pusty. Oprócz mnie jechało nim najwyżej z dziesięć osób - to korzyść z podróżowania w kierunku przeciwnym do ruchu w porze szczytu. Pamiętam kobietę w średnim wieku z małą dziewczynką. Na innych nie zwróciłam uwagi. Chyba musiałam wtedy poczuć się sama na świecie.

Przez całą drogę siedziałam z czołem przyklejonym do szyby, patrząc na przesuwany się krajobraz: najpierw nowe dzielnice - nie zauważałam większej różnicy między nimi *intra muros* - potem trochę starsze, wreszcie ruiny ze slumsami i tłumy ludzi grzebiących w stosach śmieci u stóp nielicznych całych budynków. Od czasu do czasu tu i ówdzie pośród bezmiaru nędzy pod gołym niebem wylaniało się nowe miasto, pilnie strzeżone i tak lśniąca stała i szkłem, że wydawało się nierzeczywiste. Dalej znowu wszystko było jak wcześniej: slumsy i stosy śmieci bez końca. Powtarzałam sobie bez ustanku, stąd pochodzę, stąd pochodzę, przerażona rumowiskami i ich brzydotą. A przecież czegoś takiego się spodziewałam. Oglądałam zdjęcia, reportaże, czym innym jednak jest zobaczenie tego samego na własne oczy.

W 10 dystrykcie dzieci bawiły się wspinaniem na wielkie kolorowe kręgi z betonu na ugorze po obu stronach torowiska. Wspomniałam skwerek, na którym bawiłam się w dzieciństwie, kobiety siedzące na ławkach, ich sterane twarze, zmęczony uśmiech.

O dziwo ta wizja nie wzbudziła we mnie ani strachu, ani odrazy; wywołała raczej lekki smutek, jakby nostalgię - „stąd pochodzę” - przelotne poczucie powrotu do ojczyzny.

Chauvigny to nowe miasto w całości wybudowane wokół więzienia. Nie prowadzi tam żadna inna droga oprócz kolejowej, co pozwala w pełni kontrolować ruch i ogranicza ryzyko nieprzyjemnych spotkań. Uważałam, że tak jest faktycznie bezpieczniej. Pociąg wjechał na dworzec o 9.36, zgodnie z rozkładem. Wyszłam na peron, ledwie drzwi się otworzyły. Kobieta z dziewczynką także wysiadły. Było zadziwiająco ciepło jak na październik. Chyba że z emocji tak mi się tylko zdawało. Zdjęłam płaszcz i ruszyłam naprzód.

Bez problemu znalazłam więzienie - jest tak potężne i wysokie, że widać je zewsząd w mieście. Z wyjątkiem pieszych zmierzających jak ja w stronę zakładu karnego na ulicach nie było nikogo - można by pomyśleć, że mieszkańcy opuścili miasto albo zaszyli się w domach. I dobrze - im mniej gości, tym lepsza zabawa.

Kordon bezpieczeństwa kierował kolejką odwiedzających, w której zajęłam miejsce. Oczekiwanie długo trwało. Nie przeszkadzało mi to. Czekałam tyle lat, parę godzin mnie nie zbawi.

Minęło już południe, kiedy wreszcie nadeszła moja kolej. Nie drżałam, stając przed robotem. Wiedziałam, co mam zrobić.

- Dokumenty proszę.

Podniosłam paszport na wysokość jego oczu.

- W porządku, pani K. Proszę określić cel wizyty.

- Widzenie w pomieszczeniu bezdozorowym.

- Dowolnym czy spersonalizowanym?

- Spersonalizowanym.

- Proszę podać dane osoby odwiedzanej.

- Mojra Steiner.

- Proszę przeliterować nazwisko.

- STEINER.

Robot zastygł na dłuższą chwilę, przeszukując bazę danych w pamięci wewnętrznej.

- Mojra Steiner już nie ma statusu osadzonej. Jej uwięzienie zakończyło się dwudziestego drugiego marca dwa tysiące sto drugiego roku - wygłosił monotonnym głosem doskonale pasującym do sztucznego uśmiechu.

- Czy... czy to znaczy, że nie odsiedziała całej kary?

- Zgadza się.

Przez kilka chwil nie wiedziałam, co powiedzieć. W końcu zdesperowana wykrztusiłam:

- Czy można... się dowiedzieć, gdzie... gdzie ją znajdę?

- Naturalnie. Zaprowadzimy panią do niej, jeśli pani sobie życzy.

- Nie... nie rozumiem. To znaczy, że ona nadal jest na terenie więzienia?

Robot milczał przez kilka sekund, po czym powtórzył:

- Zaprowadzimy panią do niej, jeśli pani sobie życzy.

Zrozumiałam, że pytanie wykracza poza jego kompetencje i nic więcej z niego nie wyciągnę. Powiedziałam „Dziękuję, miłego dnia” i przeszłam przez bramkę detekcyjną.

Na dziedzińcu czekał na mnie kolejny robot, bardzo stary model o dziwnie pożółkłej skórze. Jego dłonie i twarz nosiły ślady partackich napraw - niezbyt apetyczna kompozycja łątek z metalu i sztucznej skóry. Dychawiczne badziewie - mówię o tym nie po to, by usprawiedliwić ciąg dalszy, lecz taki był po prostu fakt.

- Z wizytą do Mojry Steiner. Proszę za mną.

Podążyłam za nim, nie bardzo rozumiejąc, o co tu biega. Robot utykał, przez co przy każdym kroku rozlegało się zgrzytnięcie metalu na wysokości bioder.

W odległości około dwudziestu metrów od budynku głównego skręcił w prawo w długą alejkę wysypaną żwirem. Na jej końcu znajdowało się ogrodzenie i brama w nim. Nagle poczułam się bardzo nieswojo.

- Mogę wiedzieć, gdzie idziemy?

- Proszę za mną - powtórzył dokładnie takim samym tonem jak za pierwszym razem.

- To na pewno dobry kierunek?

- Proszę za mną.

Zrezygnowałam z dalszych pytań.

Kiedy dotarliśmy do ogrodzenia, brama otworzyła się powolutku i wtedy zobaczyłam: obsadzone cisami długie równoległe alejki, a po obu ich stronach cementowe prostokąty ciasno jeden przy drugim, ponure, ciągnące się w nieskończoność.

- To musi być pomyłka.

Ignorując moją uwagę, robot odwrócił się do mnie z uśmiechem. W kącikach ust porobiły mu się ohydne zmarszczki.

- Mojra Steiner, alejka dwanaście, numer sześćdziesiąt osiem dwadzieścia, między punktami orientacyjnymi pięćdziesiąt siedem i pięćdziesiąt osiem. W razie problemów proszę się udać do okienka.

- Mówię przecież, że to musi być pomyłka!

Nadal się uśmiechał.

- W razie problemów proszę się udać do okienka.

Obrócił się na pięcie ze zgrzytem metalu. Przytrzymałam go za rękę.

- Ty pieprzona maszyno! Chcę zobaczyć moją matkę!

Cały zaczął wibrować. Szarpnęłam nim, wrzeszcząc:

- Pieprzona maszyno, gadaj, gdzie moja matka!

- A...a...a... alejka dwunasta - wyjąkał - nu... nu... numer...

Naraz znieruchomiał. Rozległo się w nim jakby szcęknięcie, po czym padł jak długi, runął na żwir z zamkniętymi oczami, ustami rozchylonymi. Przez skórę przeszła mu wibracja, jakby dreszcz. Zaczął rzeźzić, trwało to raptem kilka sekund. I zgasł z westchnieniem.

Nie bardzo wiem, co się potem działo. Pamiętam tylko, że szeroko otwartymi oczami spoglądałam na te długie alejki, przystrzyżone cisy, setki ułożonych rządkiem grobów i wszystko zdawało mi się kompletnie absurdalne. Świat jakby nagle stanął wyzuty z treści u wrót cementarza. Nie było już ani materii, ani barw, ani znaczeń. Tylko cienie wymieszane z ciszą, kreski alejek wykrzywionych między cisami i rozpostarte nad grobami niebo. Mój ból ogarnął wszystko.

Nie pamiętam, żebym otwierała buteleczkę z anksjolitykiem ani połykała tabletki. Należy jednak przypuszczać, że to zrobiłam, ponieważ godzinę później znaleziono mnie nieprzytomną koło trupa robota.

Kiedy odzyskałam świadomość, leżałam na łóżku przypięta pasami. Tuż obok słyszałam lekkie szemranie maszyny. Spróbowałam dźwignąć powieki, lecz nie udało się. Ktoś powiedział:

- Proszę się nie ruszać. Nie mówić. Jest pani w szpitalu. Pod opieką.

Gdy ocknęłam się powtórnie, zdołałam otworzyć oczy. Przy łóżku siedział Fernand. Z miną do głębi wstrząśniętą.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

Mówiłam prawdę. Nie czułam nic, pewnie za sprawą prochów, którymi mnie nafaszerowano. Fernand położył rękę na pościeli niedaleko mojej dłoni. Zaczęłam się więc unieruchomiona pasami.

- Moja matka...

Twarz mu się ściągnęła.

- Leż spokojnie, Lilu.

- Moja matka nie żyje!

- Wiem. Nic teraz nie mów. Musisz odpoczywać.

I tak byłam zbyt znużona, żeby mu się sprzeciwić. Zamknęłam oczy i znowu odpłynęłam.

Trzymali mnie w odurzeniu cały tydzień; nie było najgorzej. Fernand codziennie mnie odwiedzał. Siadał przy łóżku i kładł rękę blisko mojej. Czasem próbowałam mówić, lecz jakbym usta miała zapchane klejem, a język przyspawany do podniebienia. Fernand szeptał: „Nie mów nic. Nie martw się. Wszystkim się zajmuję”.

Istotnie zajął się wszystkim: powiadomił bibliotekę, podlewał moje paprocie, opróżnił lodówkę i zapłacił rachunki. Chciał też zabrać kota, ale go nie znalazł. Pasza uciekł przez otwarte okno. Nie wrócił. Fernanda wcale to nie zmartwiło: „Na pewno się znajdzie dzięki nadajnikowi. Trzeba tylko odczekać regulaminowy czas i potem wszczać poszukiwania. Później to będzie kwestia godzin”.

Ból wrócił, kiedy zaczęli zmniejszać dawki środków uspokajających. Poprosiłam, żeby mnie na powrót znieczulili, lecz nie zgodzili się: dłużej tak dużych dawek nie mogłam dostawać; zdaje się, że byłoby to dla mnie zagrożeniem. Zaprotestowałam. Banda głupków. Miałam gdzieś zagrożenie. Nie chciałam tylko cierpieć.

Szarpałam się. Wołałam mamę, wrzeszczałam jak opętana, pociłam się, porzygałam i oddałam mocz na łóżko. Wszystko na nic. Posprząтали, mocniej dociągnęli krępujące mnie pasy i zamknęli drzwi, żeby krzyków nie było słyhać na całym piętrze.

Błagałam Fernanda, by interweniował, zmusił ich do podania mi prochów. Myślałam, że zgodzi się mi pomóc, odmówił jednak, posługując się tymi samymi argumentami. Czyli rzekomym zagrożeniem. No tak, trzymał ich stronę.

- Niech mi przynajmniej poluzują pasy!

- Nic nie mogę zrobić, Lilu.

Krzyknęłam:

- Czemu trzymają mnie przywiązaną?

- Żeby cię chronić.

- Przed czym?

- Przed tobą. Próbowalaś popełnić samobójstwo.

- Nieprawda!

- Jeśli ktoś połyka całe opakowanie anksjolityków, trudno inaczej to nazwać.

- Nic nie rozumiesz! Nie chciałam umrzeć, tylko żeby przestało.

- Żeby co przestało?

- Żeby przestało boleć.

- Posłuchaj, Lilu, na razie jedno nie podlega negocjacjom: musisz zostać tutaj, w szpitalu. Psychiatrycznym.

- Błagam, zabierz mnie stąd.

Ze smutkiem w głosie odparł:

- Nie ma mowy.

Nastaly dla mnie trudne dni. Przez większość czasu byłam sama z tym obłąkanym bólem, ze wspomnieniem cmentarza i rzędów nagrobków, i z wizerunkiem mojej mamy, mojej zmarłej królowej, mojego upadłego anioła. O niego roztrzaskało się całe moje życie.

Dopóki wyobrażałam ją sobie żywą, gdzieś oddychającą, świat miał sens, a moje istnienie cel: odnaleźć ją, pojechać do niej. Teraz niczego już nie było, została sama pustka; straciłam wszystkie powody, aby żyć.

O dziwo jednak nie chciałam, żeby to się skończyło. Coś jeszcze stawiało we mnie opór, choć nie wiedziałam co.

Kiedy godzina po godzinie, dzień po dniu roztrząsałam to przywiązana do łóżka, w końcu do mnie dotarło: nie chciałam umrzeć, nie zrozumiawszy, co mi się przytrafiło. Nie mogłam się pogodzić z takim absurdem. Musiałam zrozumieć, dlaczego moja mama, mimo że

tak mnie kochała, zrobiła mi coś takiego. Na to liczyłam, jadąc do Chauvigny: na załączek odpowiedzi, początek wyjaśnień.

Teraz, gdy ona nie żyła, nie bardzo wiedziałam, jak mogłabym dopiąć swego, mimo wszystko jednak należało spróbować, poszukać świadectw, dokumentów, jeszcze trochę powalczyć. Kiedy znajdę odpowiedzi, zawsze będzie czas zdecydować, czy warto dalej męczyć się życiem.

Odtąd zachowywałam się spokojnie. Robiłam, co mogłam, aby zdusić w sobie żal. Odsunęłam żalobę na bok; zachowałam ją na później. W najbliższej przyszłości należało ich przekonać, że nie jestem ani wariatką, ani samobójczynią, a domyślałam się, że nie będzie to łatwe.

Fernand uprzedził mnie pewnego ranka, że zjawią się u mnie dwaj inspektorzy. Skoro poczułam się lepiej, lekarze wyrazili na to zgodę.

- Inspektorzy? Po co?

Fernand odkaslnął, przysuwając się ze stołkiem.

- Chodzi o twój wyjazd do Zony... o wizytę w Chauvigny... Ministerstwo próbuje ustalić, w jaki sposób poznałaś nazwisko swojej matki.

- Zostało usunięte ze wszystkich dokumentów, które nam przekazano. Musiałaś więc dotrzeć do niego nielegalnie. Wszczęto dochodzenie.

- A ty to aprobujesz, jak się domyślam.

- Jak możesz tak mówić?

- W każdym razie nie wyglądasz na oburzonego, że będą mnie przesłuchiwać na łóżku szpitalnym.

- Gdybym mógł ci pomóc, zrobiłbym to, wierz mi! Ale to ministerstwo!

- Nie szkodzi, rozumiem.

- Co zrobisz, Lilu? Co im powiesz?

- No... prawdę. Chyba nie mam wyboru.

- Zostaniesz ukarana - rzekł zduszonym głosem.

- Wiem, ale cóż począć: to ministerstwo, nic nie poradzimy.

Chociaż pozwalałam sobie na szyderstwo, było mi naprawdę łyso. Oczywiście nie miałam zamiaru mówić prawdy. Tyle że musiałam wymyślić jakieś wiarygodne wyjaśnienie. Inspektorzy mieli przyjść nazajutrz koło południa. Została mi niecała doba na znalezienie sposobu, jak się z tego wykaraskać.

Słusznie się mówi, że sen jest najlepszym doradcą. Moim zdaniem wszystko się bierze z siły marzeń sennych i ciemności: w mroku mózg jest bardziej ożywiony, a może po prostu



łatwiej wychwytyje szeptu duchów, które chcą go zainspirować. Naturalnie co do duchów nie mam żadnej pewności, lecz sama idea bardzo mi się podoba. Lubię myśleć, że tamtej nocy, gdy leżałam na łóżku przywiązana pasami, odwiedził mnie bliski mi człowiek, który dawno odszedł. Kiedy wysłuchałam, co mi wyszeptał do ucha, zapytałam:

- Jest pan pewien? Nie wadziłoby to panu?

- No co ty, dziewczynko? Przeciwnie, ucieszy mnie.

Dochodzeniowcy zjawili się o jedenastej. Dwaj hipokryci w uniformach - dopasowany płaszcz ze złotymi guzikami, antracytowe spódnico-spodnie, szeroki skórzany pas - nadzwyczaj uniżeni: „Proszę pani postaramy się nie męczyć pani za bardzo mamy tylko kilka pytań uwiniemy się szybko jeśli będzie pani współpracować”. Z uległą, zatroskaną miną odpowiedziałam „Tak, panowie, rozumiem” i zobaczyłam błysk w ich oczach.

Usiedli przy łóżku z grammabookiem na kolanach, by moje zeznania spisać. Nie traciłam spokoju, wszystko sobie przygotowałam: wiedziałam co do słowa, co im powiem.

Z poruszeniem na twarzy - musieli zobaczyć, ile mnie kosztuje to wyznanie - oświadczyłam:

- O matce dowiedziałam się dawno temu, panowie. Bardzo dawno temu, na długo przed opuszczeniem Centrum.

Zerknęli na siebie zaskoczeni, zauważyłam drgnienie koziej bródki, która zdobiła twarz każdego.

- Byłam jeszcze małym dzieckiem, o nic nie pytałam. Nic nie poradzę na to, że mi kiedyś powiedział: „Twoja mama nazywa się Mojra Steiner”. Potem dodał: „Jest w więzieniu w Chauvigny w siedemnastym dystrykcie”. Wiedzą panowie, zrobił to dla mojego dobra. Uważał, że powinnam wiedzieć. Potem kazał mi przysiąc, że nikomu o tym nie powiem, bo jemu nie wolno takich rzeczy zdradzać i miałby duże problemy, gdyby to wyszło na jaw. Milczałam, bo przysięgłam, i dlatego, że nie chciałam ściągnąć na niego kłopotów, rozumieją panowie?

Patrzyli na mnie stropieni.

- Ale... o kim pani mówi?

- O panu Kauffmannie, moim wychowawcy. On mi to wszystko powiedział.

Oto jaki bigos naszykowałam tym dwóm głąbom. Im dłużej mówiłam, tym większe oburzenie widziałam na ich wykrzywionych twarzach, gdy przebierali palcami po klawiaturach grammabooków.

Ani przez chwilę nie powątpiewali w moje słowa. Pan Kauffmann sporo miał już na koncie. Co, jak sędzę, każde nowe oskarżenie czyniło w ich mniemaniu prawdopodobnym. W

końcu jeden z inspektorów zapytał:

- A wie pani może, w jaki sposób zdobył te informacje?
- No cóż, byłam wtedy mała. Nie próbowałam niczego dociekać.
- To nic. Bardzo nam pani pomogła.

Kiwnęłam głową, jakbym dziękowała. Nagrodzili mnie pięknym karawaniarskim śmiechem, po czym wycofali się na palcach, kłaniając się uniżenie. Zamknęłam oczy znużona. Po cichutku wyszeptałam: „Dziękuję”. I przy samym uchu usłyszałam radosny śmiech.

Kiedy Fernand się dowiedział, co naopowiadałam inspektorom, nie skomentował tego ani słowem. Nie wiem, czy w to uwierzył. Nieważne. Kiedy przyszli jego przesłuchać, oświadczył, że to wszystko jest całkiem prawdopodobne: przez długi czas pan Kauffmann cieszył się poparciem ministerstwa, nie wspominając o jego mniej lub bardziej tajnych kontaktach.

Jeżeli zatem chciał uzyskać jakieś poufne informacje, sposobów miał co niemiara. Krótko mówiąc, jeśli nawet Fernand żywił jakieś wątpliwości, zachował je dla siebie i twardo wspierał moją wersję faktów.

Nadal odwiedzał mnie codziennie, przesiadując całymi popołudniami. Przynosił mi owoce: „Są zdrowe, mają mnóstwo witamin”. Nie cierpiałam owoców - jagody szczęścia, śliwki nienawiści, jedno warte drugiego. Chwila jednak nie była odpowiednia na polemizowanie, odpowiadałam zatem: „Dziękuję, zjem później”. A wieczorem oddawałam wszystko pielęgniarkom.

Paszę ostatecznie zlokalizowano *extra muros*. Trudno było uwierzyć, że pokonał taką odległość i przeszedł przez granicę niepostrzeżenie.

- Bez przerwy wędruje od dystryktu do dystryktu - wyjaśnił mi Fernand. - Włóczy się. Da się go śledzić, ale może się okazać, że trochę potrwa, zanim go złapią. To Zona, rozumiesz.

- Zona, potworność! Mój kot zszedł na psy! Pokiwał głową. Po zmartwionej minie poznałam, że nie załapał ironii.

W dalszym ciągu stosowałam swoją strategię: zachowywałam się bez zarzutu, byłam spokojna i miła dla personelu szpitala, całkowicie uległa. Wiedziałam z doświadczenia, że w takim systemie otwarta walka zawsze oznacza przegraną z góry. Lepszy był podstęp.

Wysiłki się opłaciły: w końcu poluzowali mi pasy. A następnie, widząc, że nie wykazuję oznak pobudzenia, w ogóle z nich zrezygnowali. To mi przywróciło nadzieję.

- Widzisz? Wszyscy tutaj są ze mnie zadowoleni. Jak myślisz, kiedy będę mogła

wyść? - pytałam Fernanda codziennie.

Nie odpowiadał. Jeszcze się nie wykaraskałam z kłopotów.

Już prawie trzy tygodnie przebywałam w szpitalu i zaczynałam się porządnie nudzić. Oprócz Fernanda nikt do mnie nie przychodził - co prawda na nikogo nie czekałam. Z wyjątkiem ciebie. Wiedziałam, że powinieneś być wrócić już z misji w Zonie, i dziwiłam się, że nie dajesz znaku życia.

- Czy mogłabym dostać mój grammabook?

- Niemożliwe, Lilu. Zabrali go do ekspertyzy.

- Po co?

- Sprawdzają twoją korespondencję, lektury i czego szukałaś.

- Słowem, grzebią we wszystkim.

- Taka jest procedura.

- To ohydne.

- Usiłują tylko zrozumieć, co ci strzeliło do głowy, że popełniłaś takie szaleństwo.

Nic nie powiedziałam. Powinszowałam sobie jednak w duchu, że przezornie za pośrednictwem łączu bibliotecznych prowadziłam poszukiwania mamy. Inspektorzy mogli sobie do woli grzebać w pamięci mojego grammabooka, nic nie znajdą. **Nada, niente**, guzik z pętelką - zawsze to coś.

Odczekałam kilka dni, po czym znów zaczęłam:

- Wiesz może, jak się przedstawia sprawa z moim grammabookiem?

Zauważyłam, że się spiął.

- Jeszcze nie doszłaś do siebie, Lilu...

- Nie odpowiedziałeś na pytanie: czy skończyli już z moim grammabookiem?

- Nie sądzę, żeby lekarze wyrazili zgodę na...

- Bzdura! Lekarze nie mają żadnych obiekcji: rozsadza mnie energia i umieram z nudów. Wiesz co? Problemów nie robią lekarze, tylko ty: ty szukasz każdego pretekstu, żeby mi skonfiskować grammabook!

Spurpurowiał. Kochany Fernand, to jedna z jego zalet: prawie całkowita niezdolność do ukrycia swoich myśli. Co wcale nie przeszkodziło, że jeszcze dobry tydzień się opierał. Przypuszczam, że czuł się spokojniejszy, trzymając mnie zupełnie odciętą od świata, zależną od siebie. Na jego łasce.

W końcu wydebiłam od niego, co chciałam: mając dość słuchania, że jest oprawcą, straciwszy wszystkie argumenty, zdecydował się zwrócić mi grammabook. Pierwszą wiadomość wysłałam do ciebie:

*Drogi Milo, czuję się dobrze. Jak może wiesz, zostałam odstawiona do Centrum Psychiatrycznego w 14. dzielnicy.*

*Mam nadzieję, że niebawem stąd wyjdę. Niecierpliwie czekam na powrót do pracy w bibliotece.*

*Serdecznie pozdrawiam.*

*Lila.*

Nie odważyłam się poprosić, abyś mnie odwiedził, lecz gorąco tego pragnęłam. Jeszcze tego wieczoru otrzymałam odpowiedź:

*Droga Lilu,*

*dziękuję za wiadomość. Przyznaję, że się jej nie spodziewałem po tym, co kazałaś mi ostatnio przekazać. Bardzo się cieszę, że wracasz do zdrowia.*

*Oddany*

*Milo.*

*Drogi Milo,*

*zaniepokoiła mnie Twoja wiadomość. Co rozumiesz przez „po tym, co kazałaś mi ostatnio przekazać”? Nigdy nikomu nie kazałam niczego przekazywać. Oświeć mnie, proszę.*

*Droga Lilu,*

*dziesięć dni temu zjawilem się w szpitalu, żeby Cię odwiedzić. Kazałaś mi jednak przekazać, że nie chcesz mnie już oglądać. Jeśli istotnie tak było, zastosuję się do Twojego życzenia. Ale z Twojego listu zgaduję, że doszło do swego rodzaju qui pro quo.*

*Drogi Milo,*

*qui pro quo. Nie wiem, czy to właściwy termin na określenie samowolnego wypowiedania się przez kogoś w moim imieniu, acz bez mojej wiedzy i pozwolenia. Jeśli jednak tak założymy to owszem, doszło do qui pro quo. Odwiedzaj mnie, kiedy zechcesz.*

*Droga Lilu,*

*wpadnę jutro po południu.*

Fernandowi nic nie powiedziałam. Może powinnam była. Przygotowałby się.

Kiedy wszedłeś do pokoju, zerwał się na równe nogi - niewątpliwie zaskoczony, ale także z całą pewnością wrogo nastawiony. Na tobie jednak wyraźnie nie wywarło to wrażenia. Przywitałeś go skinieniem głowy, po czym podszedłeś do łóżka.

- Jak się czujesz?

- Nieźle.

- Dobrze wyglądasz.

- Bo cieszę się, że przyszedłeś.

Naprawdę tak myślałam, aczkolwiek chciałam również dokuczyć Fernandowi.

- Co mówią lekarze? Długo zamierzają cię tu trzymać?

- Nie wiem. Nic nie chcą mi powiedzieć. Och, Milo, gdybyś wiedział, jak się tu nudzę i jak bardzo bym chciała wrócić do pracy!

- Czekam na ciebie, Lilu. Wszyscy na ciebie czekamy.

Wtedy Fernand przerwał pełne urazy milczenie, w którym dotąd trwał.

- Jeszcze nie wiadomo, czy Lila wróci do pracy w bibliotecę - oświadczył zimno.

Popatrzyłam na niego zdumiona. Spoglądał na ciebie wrogo.

- Rozważa się zatrzymanie Lili na dłużej. Jej próba samobójcza...

- Fernand, nigdy nie chciałam popełnić samobójstwa. Już ci to tłumaczyłam!

- Tak czy owak potrzebujesz pomocy, to oczywiste - odparł ze złością.

Nigdy go nie widziałam w takim stanie. Jakby twoja obecność go przeobraziła.

- Nie ma mowy! Chcę stąd wyjść i wrócić do normalnego życia. Czuję się dobrze.

- Nieprawda, nie czujesz się dobrze. I póki nie zmienią się rozkazy, zostaniesz tutaj!

Od dłuższej chwili starałam się nadrabiać miną, lecz tego już nie mogłam znieść i poszło! istny potok wylewający się spod ciemnych okularów. *Lila lacrimosa*.

- Czemu wszystko komplikujesz? - westchnął Fernand. - Czemu nie chcesz zaufać ludziom, którzy naprawdę martwią się o ciebie?

- A nie dałoby się zastosować czegoś pośredniego? - zapytałeś. - Pozwolić Lili wrócić do pracy w bibliotecę i wspierać ją terapią, jeśli lekarze uznają to za konieczne?

Fernand obrzucił cię lodowatym spojrzeniem.

- W tych okolicznościach nie sądzę, żeby pan był najlepszą osobą do udzielania rad.

- Fernand, co cię napadło? - krzyknęłam przerażona.

Ty jednak, uspokajającym gestem kładąc mi dłoń na rękę, rzekłeś bez emocji:

- Nie trzeba, Lilu, nie trzeba.

Ledwie drgnęłam. Fernand zbladł. Twoja dłoń na mojej rękę, tego było dla niego za

wiele. Zaczął wrzeszczeć:

- To pan nakłonił Lilę do tej szalonej eskapady, tak? Oczywiście, że pan!

- Fernand! Proszę, przestań!

Ale on żołądkował się dalej:

- Więzienie gdzieś w zapadłym kącie Zony! Lila nigdy by się nie odważyła tam pojechać, gdyby nie pan. Za bardzo się boi tłumu i hałasu. Pan ją namówił, dając głowę! Pan!

Patrzył na ciebie wyzywająco, rozdygotany i ziejący nienawiścią. Dobrą chwilę mierzyłeś go spokojnie wzrokiem, po czym odparłeś chłodno:

- Wydawało mi się, że Lila od dawna dążyła do odnalezienia matki. W takim pragnieniu jakoś nie dostrzegam znamion szaleństwa.

- Matki! Ależ ta kobieta nie była jej matką. Była kobietą upadłą. Upadłą, rozumie pan?

- Lila chyba inaczej to widzi.

Fernand znowu wrzasnął:

- Mam panu opowiedzieć o tej matce?

- Fernand, uspokój się! Przestań!

Nie posłuchał.

- Mam panu pokazać, co ta matka zrobiła?

Szlochałam, rękami zasłaniając uszy. Chociaż mocno je przyciskałam, i tak słyszałam wszystko.

- Widzi pan to? - zapytał Fernand, wskazując mój lewy obojczyk. - Widzi pan? To nieleczone złamanie, które zrosło się krzywo. Nie udało się ustalić, jak do niego doszło, bo matka Lili nie była zbyt rozmowna w czasie procesu. Nie potrafiła także wyjaśnić, jak doszło do innych złamań: pięciu żeber i trzech palców u prawej dłoni, które wykazało prześwietlenie dziewczynki! I co pan na to?

Spojrzałeś na mnie zaskoczony, przerażony. Odwróciłam wzrok. Nie mogłam zapanować nad łkaniem.

- A dłonie! Widzi pan jej dłonie? Gojące się poparzenia doprowadziły do zrostu palców. Kiedy Lilę przywieziono do Centrum, miała chirurgicznie rozdzielane palce. I kogoś takiego nazywa pan matką?

Milczałeś. Widziałam przez łzy twoją skonsternowaną minę, co było jeszcze gorsze. Fernand przestał wrzeszczeć. Wydawał się wyczerpany i jakby przytłoczony swoim wybuchem. Po dłuższej chwili głosem bardzo opanowanym powiedziałeś:

- Nie wiem, czy kogoś takiego można nazwać matką. Ale wygląda na to, że Lila tak

właśnie uważa, a ja sędzę, że jej zdanie, choćby wydawało się panu kompletnie błędne, zasługuje na to, aby je wziąć pod uwagę.

Twoje słowa były niczym lodowata woda wylana na gniew Fernanda.

- Oskarża mnie pan, że nakłoniłem Lilę do podróży, której w pańskim mniemaniu nigdy by się nie odważyła przedsięwziąć z własnej inicjatywy. Powiem panu jedno: jeśli pan myśli, że Lila nie była do tego zdolna, znaczy to chyba, że nie zna jej pan tak dobrze, jak się panu zdaje. - I zwracając się do mnie, dodałeś: - Dbaj o siebie. - Po raz drugi położyłeś dłoń na mojej ręce. - Niedługo wpadnę znowu.

I wyszedłeś, nie dodając już ani słowa, nie obdarzając jednym choćby spojrzeniem Fernanda.

Skuliłam się pod kołdrą zwrócona do niego plecami. Nie mogłam znieść myśli, że jestem z nim sam na sam. „No, Lilo, nie bądźże dzieckiem!” Ani drgnęłam. „Powiedz coś, no odezwij się, proszę”. Gadaj zdrow. Nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Czułam się jak po tragicznej katastrofie, w której wszystko uległo zniszczeniu, nic nie zostało oprócz milczenia. Pragnęłam tylko jednego: żeby sobie poszedł. Ale gdzie tam, z uporem powtarzał: „Błagam, odezwij się. No powiedz coś”. Myślałam, że nigdy się nie uciszy.

O dwudziestej zajrzała pielęgniarka, przypominając, że pora zakończyć wizytę. Usłyszałam, jak Fernand bierze swój kapelusz, płaszcz, zapina teczkę, w której nosił grammabook. Nie odpowiedziałam na jego pożegnanie.

Twoją wiadomość otrzymałam wieczorem: „Kiedy mogę Cię bez przeszkód odwiedzić?”. Ulżyło mi, że jeszcze chcesz mnie oglądać po tym, co ukryłam przed tobą ze swojej przeszłości. Mimo wszystko niepokój pozostał. Zastanawiałam się, co o mnie myślisz teraz, gdy wszystko wyszło na jaw, co myślisz o mojej matce. Odpowiedziałam: „Przed południem nikt nie przychodzi”. Następnie poprosiłam o zastrzyk nasenny.

Nie pożałowali mi środków nasennych: byłam półprzytomna, kiedy przyszedłeś.

- Jak się czujesz po wczorajszym?

- Nie wiem.

Usiadłeś przy łóżku i przez chwilę patrzyłeś na mnie w milczeniu. Potem powiodłeś wzrokiem i zatrzymałeś go na moim obojczyku. Natychmiast naciągnęłam pod szyję koszulę nocną. I zaraz pomyślałam, nawet się nie uczesałam - głupie, prawda?

- Lilo, czemu nic mi nie powiedziałaś?

Spuściłam wzrok bez słowa.

- A wydawało mi się, że dowiodłem, że można mi ufać.

- Milo, daję słowo, że to nie kwestia zaufania, tylko... myślisz, że to łatwe? Myślisz,

że da się ot, tak mówić o takich... rzeczach? Nawet gdybym chciała... nie, to niemożliwe.

Ze smutkiem pokiwałeś głową.

- Ty też uważasz mnie za wariatkę?

- Nie osądzam cię.

- Nie wydaje ci się dziwne, że chciałam zobaczyć matkę po... po tym wszystkim?

- Nie osądzam cię - powtórzyłeś.

- Wiesz, ja nie próbuję zanegować tego, co mi zrobiła. Wszystko, o czym mówił Fernand... pamiętam to. Powoli sobie przypominałam. - Spojrzałam na swoje dłonie Ićzące płasko na kołdrze, na delikatne blizny między palcami. - Nawet gdybym tego nie pamiętała, na moim ciele pozostało dość śladów.

Wyciągnąłeś ręce i nakryłeś nimi moje. Pozwoliłam na to z przemożnym wrażeniem, że ciepło twoich dłoni może sprawić, iż blizny znikną.

- A najdziwniejsze, wyobraź sobie, że ona mnie kochała. Tego jestem pewna, Milo: matka mnie kochała. To wyraźnie pamiętam. Tylko jak wytłumaczyć, że mimo miłości mogła... - Przez króciutką chwilę czułam lekki nacisk twoich palców. Nic jednak nie powiedziałeś. - Najtrudniejsza jest niewiedza. Nie rozumiem, jak do tego doszło. Dlatego pojechałam do Chauvigny: chciałam ją zobaczyć, poprosić o wyjaśnienia, jeśli będzie w stanie ich udzielić. Teraz wiem, że nigdy nie uzyskam odpowiedzi, i bardzo mi z tym ciężko. Bez niej nie poznam kawałka swojej historii.

- A w swoich aktach niczego nie znalazłaś?

- Moje akta są wyczyszczone, Milo. Usunięto wszystko, co dotyczyło mojej matki. Podobno taka jest procedura, kiedy matka zostaje pozbawiona praw rodzicielskich. Nie zostaje po niej ślad. W miejsce nazwiska wstawia się ikсы. Gdybym mogła przeczytać jej akta, na pewno znalazłabym choć część odpowiedzi, szczegóły, które by mi pozwoliły zrozumieć. Ale nigdy mi ich nie udostępnią. Oficjalnie ona jest dla mnie nikim. Tyle lat przecież upłynęło, odkąd prawnie wszelkie więzy między nami zostały zerwane.

- Mimo wszystko warto spróbować.

Pokręciłam głową.

- Widziałeś wczoraj, jak zareagował Fernand na samą myśl, że chciałam zobaczyć matkę. Jego zdaniem zwariowałam. A wyobraź sobie, co by się działo, gdybym zażądała wglądu w jej akta! Nie, to beznadziejne.

- W takim razie co zamierzasz?

- Chcę stąd wyjść. Opuścić ten dom wariatów. To w tej chwili mój jedyny cel. Co dalej, zobaczę.



- Lilu, nie jesteś sama. Jestem z tobą, pomogę.

Podziękowałam. Byłam szczerze wzruszona, nawet jeśli nie bardzo wiedziałam, co mógłbyś zrobić w tych okolicznościach. Naraz zerwałeś się na nogi.

- Już idziesz?

- Tak. Muszę.

- Przyjdiesz jeszcze?

- Nie wiem, czy będę mógł. Mam... muszę znów jechać do Zony.

- Przecież dopiero wróciłeś!

- Prawdę mówiąc, tego nie było w planach, ale okazało się to konieczne. Muszę jechać, nie mam wyboru.

Wspomniałam słowa pocieszenia, które od ciebie usłyszałam, „Jestem z tobą, pomogę”, i uśmiechnęłam się z goryczą, chowając ręce pod kołdrę. Złość mnie nagle wzięła na siebie, że pozwoliłam ci ich dotykać. Odchrząknąłeś.

- Zwrócono się do mnie z prośbą, żebym był świadkiem w wywiadzie psychiatrycznym dotyczącym ciebie. Chcą zeznanie na piśmie. Możesz być pewna, że nie napiszę niczego, co mogłoby się stać wodą na ich młyn.

- To miłe, ale wątpię, żeby wystarczyło.

- Nie martw się o ten wywiad. To czysto urzędowa procedura. Nie mają wystarczających podstaw, żeby cię zamknąć.

- Fernand jest innego zdania.

- Nie myśl o Fernandzie. Myśl o sobie. Jestem pewien, że wszystko pójdzie dobrze.

Westchnęłam.

- Kiedy wrócisz?

- Jeszcze nie wiem.

- Mogę do ciebie napisać?

- Lepiej nie.

- Co się dzieje, Milo?

- Nic takiego. Nie pytaj więcej.

Zerknęłam na kamerę, która czujnie omiatała pokój dokładnie nad nami, i zrozumiałam, że nie chcesz mówić przez nią. Nachyliłeś się nade mną i szepnąłeś mi na ucho:

- Nie martw się. Zobaczymy się wkrótce, obiecuję.

- Gdzie?

- Pamiętaj zaulek, do którego poszliśmy, kiedy odwiedziłem cię w mieszkaniu?

Kiwnęłam głową - wracałam tam kilkakrotnie w czasie spacerów, jakbym odbywała

pielgrzymkę.

- Trafisz, jeśli kiedyś dam znać, że tam będę?

Znowu kiwnęłam głową. Ledwie słyszalnie szepnąłeś wtedy:

- Jeśli przypadkiem dostaniesz wiadomość od Lucrezii z pytaniem, co u ciebie słychać, i z życzeniami rychłego powrotu do zdrowia, spotkanie będzie tego samego dnia o dwudziestej. Będę tam. Gdybyś z jakiegoś powodu nie mogła przyjść, spotkanie nazajutrz w tym samym miejscu, o tej samej godzinie. Zrozumiałaś?

Przytaknęłam.

- Nie idź tam prostą drogą. Trzeba kluczyć, jak wtedy, to ważne. Roboty nadzorujące monitoring głupieją, program im się zawiesza i utrudnia namierzenie.

- Rozumiem. Ale dlaczego ta tajemnica? Powiedz, co się dzieje!

- Nic, co by zasługiwało, żebyś się niepokoiła.

Domyślałam się, że to nieprawda, lecz wyglądałaś na tak pewnego siebie, takiego spokojnego, że wolałam udać, iż wierzę we wszystko.

Kiedy wczesnym popołudniem Fernand znów przyszedł, wyglądał jak w najgorszych czasach, w czasach po odejściu Lucienne, gdy zjawiał się rankiem, nie zmrużywszy nocą oka, na jego widok serce się wtedy krajało. Tym razem jednak w ogóle się nie przejęłam. Za bardzo byłam zła na niego za scenę, którą urządził poprzedniego dnia.

- Jak tam, Lilu?

- A jak myślisz?

- Wiem, że masz do mnie żal.

- Na to nie mogę sobie pozwolić.

- Chociaż myślisz...

- Wiem: cokolwiek robisz, robisz dla mojego dobra, nawet jeżeli czasem trudno mi to dostrzec.

- No właśnie.

Zamknęłam oczy, nie odpowiadając.

- Posłuchaj, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Czego ty chcesz, Lilu? Czego naprawdę chcesz?

- Chcę stąd wyjść - odparłam, nie otwierając oczu.

- Uważasz, że to rozsądne po... po tym, co zrobiłaś?

- Już to wyjaśniłam, ale zdaje się, że do ciebie nic nie dociera!

- Ten bezsensowny wyjazd w poszukiwaniu matki...

- Za dużo miałam pytań bez odpowiedzi, Fernand. Chciałam je uzyskać. Każdy by to

zrozumiał.

- Decyzja będzie należała do psychiatrów.

- Decyzję psychiatrzy podejmą na podstawie opinii zebranych na mój temat, zgadza się?

- Owszem.

- Byłeś moim wychowawcą. Twoja opinia będzie decydująca.

- Prawdopodobnie.

Otworzyłam oczy.

- I co w niej zawrzesz? Ze jestem wariatką? Naprawdę tak uważasz?

Obrzucił mnie rozgorączkowanym, pełnym egzaltacji spojrzeniem, pod którym zawsze czułam się nieswojo.

- Nie chcesz tu zostać, prawda?

Pokręciłam głową.

- Ja też nie chcę, żebyś została. To by oznaczało, że wszystko, co zrobiłem dla ciebie, bierze w łeb.

- Czyli jesteś gotów świadczyć na moją korzyść?

- Tak, Lilu, ale pod jednym warunkiem: że nie wrócisz do biblioteki.

- Nie możesz tego ode mnie żądać!

- Nie tylko mogę, ale żądam. Całe zło właśnie z biblioteki się wzięło. Książki i gazety zawróciły ci w głowie.

- Och, Fernand, na litość, nie oskarżaj książek! Miej odwagę i przyznaj, że jesteś zły na Milona!

- Właśnie do tego zmierzałem, jak widzisz, nie unikam tej kwestii. Posłuchaj, nie... nie wiem, co między wami zaszło, ale musisz zrozumieć jedno: ten facet nie jest w porządku. Te jego misje do Zony, kontakty, które tam nawiązał, raporty, które złożył... wszystko wskazuje na zapatrywania szkodliwe politycznie. A idą zmiany, Lilu. Władze nareszcie zdecydowały się posprzątać w Ministerstwie Kultury, zaprowadzić swoje porządki. Milo Templeton stracił wsparcie kilku wysoko postawionych osób. Niedługo będzie miał kłopoty.

Pokręciłam głową.

- Gadanie!

- Wierz mi, to niebezpieczny człowiek. Musisz spalić mosty, wyrwać się spod jego wpływu. Przeszłość bardzo cię obciąża, Lilu. Nie możesz się narażać przez utrzymywanie kontaktów z nim.

- Więc jak, zgoda? Ja będę świadczył na twoją korzyść, a ty zobowiązujesz się odejść

z biblioteki i więcej nie widywać z Templetonem, tak? Zgoda, Lilu?

- Czy mam wybór? - spytałam z goryczą.

Zacisnął usta.

- Nie, nie masz.

Ministerstwo 25 listopada upubliczniło wnioski z autopsji robota, którego zaatakowałam: śmierć była wynikiem przerwania kilku mocno skorodowanych połączeń mózgowych. Protokół z autopsji zawierał ponadto uwagę o zaawansowanym zużyciu maszyny: uszkodzenie kończyn, zniszczenie sztucznej skóry, co pociągnęło za sobą zanieczyszczenie płynów, degradacja stawów i głównych obwodów, osteoporoza... Krótko mówiąc, maszyna ledwie zipała, funkcjonowała na słowo honoru. Wszystko przemawiało więc za tym, że nie ponoszę odpowiedzialności za jej zgon. Robot zmarł „śmiercią naturalną”, jeśli można tak powiedzieć.

Nazajutrz, 26 listopada, ministerstwo oficjalnie wycofało wniesione przeciw mnie oskarżenie o zastosowanie przemocy, która doprowadziła do przypadkowej śmierci.

Biegli psychiatrzy 30 listopada przedłożyli swój raport: ich zdaniem nie stanowiłam zagrożenia dla siebie, wskazywali jednak na „skłonność do zachowań obsesyjnych” i „przejściowe zaburzenia oceny sytuacji”. Wyrazili zgodę na wypisanie mnie ze szpitala, lecz nakładali obowiązek nadzoru psychiatrycznego i regularnych badań najpierw comiesięcznych, później kwartalnych.

Nie powiem, że bym była zachwycona koniecznością poddawania się znowu kontroli bandy biegłych, ale skoro mogłam opuścić wariatkowo, byłam gotowa się z tym pogodzić. W końcu zdążyłam już przywyknąć do różnych specjalistycznych komisji i komitetów. Nie martwiłam się: wiedziałam, jak sobie poradzić z tymi półgłówkami.

Do siebie wróciłam 1 grudnia. Trzy dni później odwiedził mnie Fernand.

- Lilu, mam smutną nowinę: Pasza nie wróci. Kilka dni temu straciliśmy jego sygnał. Był wtedy w dziesiątym dystrykcie. Bóg wie, co mu się tam przydarzyło... Przykro mi.

Uroniłam kilka łez, chociaż wcale nie byłam taka pewna, czy należy żałować Paszy. Umrzeć podczas włóczęgi po miejskiej dżungli to piękna śmierć dla kota salonowego. Prawie mu zazdrościłam. On przynajmniej potrafił wywalczyć sobie wolność.

Wciąż nie miałam wieści od ciebie, gryzłam się więc, wspominając, co Fernand powiedział mi w szpitalu: „Idą zmiany, Lilu... Milo Templeton stracił wsparcie kilku wysoko postawionych osób”. Gdzie się podziewasz? Trudno było żyć, nie wiedząc. Korciło mnie nieraz, by skontaktować się z tobą, lecz tak dobitnie prosiłeś, abym tego nie robiła, że rezygnowałam. Czekałam zatem z narastającym niepokojem.

Fernand 8 grudnia oznajmił mi, że ministerstwo wydało rozkaz zatrzymania cię za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości.

- Powołano go na świadka w sprawie o handel dokumentami. Nie odpowiedział na wezwanie.

- Nie mógł ryzykować. Wykonuje misję w Zonie.

- Nie wykonuje żadnej misji, Lilu. Ucieka. Tak przynajmniej mówi się w ministerstwie. I możesz być pewna, że będzie miał kłopoty, jeśli postawi nogę *in - tra muros*.

Wiadomość od Lucrezii przyszła następnego dnia koło południa:

*Droga Lilu,*

*piszę, abys wiedziała, że myślę o Tobie. Mam nadzieję, że powoli dochodzisz do siebie po przejściach i wkrótce znowu się zobaczymy w bibliotece. Pozdrawiam Cię serdecznie, życząc rychłego powrotu do zdrowia.*

*Z wyrazami przyjaźni*

*Lucrezia.*

Tak na ten liścik czekałam, tymczasem teraz, gdy widniał na monitorze mojego grammabooka, drżałam, że przyszedł. Nie mogłam uwierzyć, że wróciłeś. Przy takim zagrożeniu było to naprawdę szaleństwo.

*Droga Lucrezio,*

*dziękuję za miły liścik, jestem naprawdę wzruszona dowodami przyjaźni. Rozważam każde słowo, na zawsze wszystkie zapadną mi w pamięć.*

*Czuję się już zupełnie dobrze. Niestety, okoliczności zmuszają mnie do rezygnacji z posady w bibliotece. Zapewniam Cię, że bardzo tego żałuję, musiałam jednak dokonać trudnego wyboru.*

*Lucrezio, życzę Ci wszelkiej pomyślności. Uważaj na siebie.*

*Serdeczności*

*Lila.*

Wyruszyłam około wpół do siódmej wieczorem. Pamiętałam o poleceniu: miałam dość czasu, by kluczyć i skutecznie zmylić tropy.

Kiedy nieco przed ósmą dotarłam do zaułka, już tam byłeś. Nosileś brodę. Włosy ci urosły, zmarszczki się pogłębiły. Ale to byłeś ty.

- Milo, czemu wróciłeś? To szaleństwo!

- Ja też się cieszę, że cię widzę.

- To nie pora na żarty! Grozi ci duże niebezpieczeństwo!

- Spokojnie, nic na mnie nie mają.

- Dobrze wiesz, że nie muszą mieć konkretnych dowodów obciążających, żeby cię zamknąć! Czemu tak ryzykujesz?

- Wyobraź sobie, że miałem do załatwienia sprawę *intra muros*. Ważne spotkanie z piękną młodą kobietą w spokojnym miejscu. Randkę, z której się nie rezygnuje.

- To wcale nie jest zabawne!

- Pamiętasz, co ci obiecałem w szpitalu?

- Przyszedłem, że ci pomogę.

Wyjąłeś z kieszeni płytkę.

- Co to jest?

- Daj rękę. - Włożyłeś mi płytkę do ręki i delikatnie zamknąłeś moje palce. - To akta twojej matki.

I załatwione. Dostałam dreszczy.

- Jak je zdobyłeś?

- Mam swoje sposoby.

- Przecież były nie do wyciągnięcia.

- Jak widać, nie. Wiesz, Lilu, mam wrogów, to prawda, ale mam też wielu przyjaciół.

- W głowie mi się nie mieści... nie mogę uwierzyć... Jak mam ci dziękować?

- Znajdź odpowiedzi na pytania, które cię dręczą. Odbądź żalobę.

Powoli pokręciłam głową.

- Z całego serca ci *życzę*, żeby się udało. Później nadejdzie może pora, żebyś zaczęła żyć.

Spuściłam wzrok bez słowa, ponieważ w gruncie rzeczy nic jeszcze nie było przesądzone co do dalszego ciągu. Rozwarłam palce i patrząc na płytkę, spytałam:

- Kiedy mam ją zwrócić?

- Jest twoja. To tylko kopia. Trzymaj ją dobrze ukrytą. Czytaj jak najdyskretniej, nigdy jej nie kopiuj na dysk grammabooka. Po przeczytaniu zniszcz. Nie muszę ci tłumaczyć, na jakie kłopoty byś się naraziła, gdyby znaleziono ją u ciebie. Wybacz, że tak ostro stawiam sprawę, ale chcę mieć pewność, że jesteś świadoma ryzyka i podejmiesz środki ostrożności.

- Nie martw się, Milo, mam wprawę.

Długą chwilę staliśmy bez słowa, patrząc tylko na siebie. W końcu zapytałeś:

- Nie wracasz do biblioteki, tak?

- Tak. Złożyłam wypowiedzenie. Nie miałam wyboru. To część układu związanego z moim... uwolnieniem.

- Dobrze zrobiłaś. Skoro to pomogło ci wyjść ze szpitala, nie było co się wahać. No dobra, muszę się zbierać.

- Kiedy cię znowu zobaczę?

- Nie wiem, Lilu. Wszystko jest jeszcze mocno niejasne.

- Długo tu zostaniesz?

- Jeszcze dziś będę w Zonie.

- A jeśli się okaże, że nie będziesz mógł tu wrócić?

- Wtedy ty przyjedziesz do mnie do Zony. Zrobisz to, prawda?

Powiedziałam:

- Tak, jasne, że przyjadę.

I była to prawda, Milo: czułam się zdolna to zrobić.

Po czym nie wiem, co we mnie wstąpiło - może w poczuciu wdzięczności albo ze strachu, że musimy się rozstać - w każdym razie zrobiłam coś absolutnie spontanicznie: przywarłam do ciebie. Nie rozumiem, jak mi się to udało, słowo daję, nie rozumiem. Objąłeś mnie, objąłeś tak mocno, aż się przeraziłam. Było jednak za późno, aby się wycofać. Spuściłam oczy i pozwoliłam, żebyś mnie tak trzymał.

Twoje usta na moich włosach, skroniach, czole... nie czułam wstrętu, Milo, wręcz przeciwnie. To było takie przyjemne, w życiu bym nie pomyślała, że takie może być. Zadrzałam. Od tak dawna nie zaznawałam radości, jaką niesie dotyk. Kiedy twoje usta spoczęły na moich, rozwarłam wargi bez odrazy, bez wahania. To było jak cud. Czułam, jak krew we mnie tętni, czułam każde uderzenie własnego serca, czułam twoją skórę, język, oddech, nasze ciepło się mieszało i po raz pierwszy od tylu lat miałam wrażenie, że jestem... jak by to powiedzieć?... żywa. Nie znajduję innego słowa. Nareszcie byłam żywa.

Kiedy wypuściłeś mnie z objęć, popatrzyłam na ciebie osłupiała. Nie mogłam uwierzyć, że to już koniec.

- Czekają na mnie. Nie mogę się spóźnić. Rozumiesz?

- Jasne.

Podniosłam rękę, by poprawić ci kołnierz płaszcza. Musiałam cię jeszcze dotknąć. Kiedy poczułam pod palcami jedwabisty dotyk twojej skóry na szyi, odchyliłam lekko połę płaszcza. I wtedy zobaczyłam szalik.

- Nie chciałaś go, a był taki piękny... Nie mogłem go wyrzucić. Chyba nie masz mi

tego za złe?

Pokręciłam głowę. W oczach miałam łzy.

- Skądże! Dobrze zrobiłeś. Pasuje do ciebie... Myślę... myślę, że nikt nie jest go bardziej godny.

Uśmiechnąłeś się.

- Teraz naprawdę muszę już iść. Oczekaj kwadrans i też wracaj, dobrze?

Kiwnęłam głowę.

- Do zobaczenia, Lilu.

- Do widzenia, Milo. Uważaj na siebie.

- Nie martw się. Niedługo się zobaczymy.

Patrzyłam za tobą, gdy szedłeś ze spuszczoną głową, z rękami w kieszeniach. Latarnie ledwie cię oświetlały, znikąłeś jakby pochłaniany przez ciemność. I tak bardzo przypominało to obraz ostatecznego rozstania, Milo, że pomyślałam, to niemożliwe, zobaczę go jeszcze, jestem pewna. Nie do wiary, jakimi ścieżkami chadza nadzieja.



## *Akta, Mojry*

**A** resztowali cię tego samego wieczoru na granicy, gdy próbowałeś ją przekroczyć z fałszywymi dokumentami. Dowiedziałam się o tym nazajutrz od Fernanda. On zaś uzyskał tę informację od przyjaciela z ministerstwa.

- Nikt nie rozumie, dlaczego wrócił *intra muros*, skoro udało mu się ukryć w Zonie. Przecież wszedł prosto w paszczę lwa! Musiał mieć ważny powód, żeby tak się narażać. Śledczy z ministerstwa na pewno niedługo odkryją przyczynę. Mają swoje sposoby, żeby rozwiązać człowiekowi język.

Fernand starał się mówić obojętnym głosem, lecz na jego twarzy widniało takie zadowolenie, aż niedobrze się robiło.

- Mówiłem ci, że tylko patrzeć, a będzie miał kłopoty. Nie przypuszczałem jednak, że tak szybko do tego dojdzie.

Zachichotał nerwowo, jakby go ogarnęła na moment złośliwa uciecha. Była to jego chwila chwały, jego triumf. Poderwałam się na nogi i pobiegłam do łazienki zwymiotować.

Kiedy przepłukiwałam usta wodą, ze stropioną miną stanął w drzwiach łazienki.

- Źle się czujesz?

- Cóż za przenikliwość! - odparłam z goryczą, wycierając twarz.

Biedny Fernand, w jednej chwili zgasiłam jego radość. Już nie było mu do śmiechu.

Wróciłam do salonu i opadłam na kanapę. Usiadł na krześle naprzeciw mnie. Wydawał się niezadowolony i zawstydzony, ale wcale mi przez to nie było łatwiej znieść jego obecność.

Wysunęłam szufladkę niskiego stolika i wyciągnęłam kalejdoskop. Zdjęłam następnie okulary i przytknęłam oko do kalejdoskopu, by popatrzeć na Fernanda. Jego pokawałkowana twarz okraszona tęczkami - zawsze to coś.

- Co ty znowu wyczyniasz?

Nie odpowiedziałam. Obróciłam tylko kalejdoskop, aby kawałki ułożyły się inaczej.

- Do diabła, Lilu, może byś przestała się wygłupiać?

- Masz słuszność, już przestaję.

Odłożyłam kalejdoskop na stolik, znów wsunęłam okulary na nos i bez słowa zaczęłam się wpatrywać w Fernanda. Wyglądało na to, że czuje się coraz bardziej skrepowany. I dobrze. Po długich minutach ciężkiej ciszy powiedział wreszcie głuchym głosem:

- Tak bardzo ci na nim zależy?

- To nie jest tak, jak myślisz.

- Ja nic nie myślę.

- Milo był dla mnie miły. Zawsze mi... zawsze mnie chronił na swój sposób. Więc jeśli koniecznie chcesz to usłyszeć, powiem to na głos: tak, bardzo mi na nim zależy. Tak samo zresztą jak na tobie.

- Niezupełnie tak jak na mnie.

Nic na to nie powiedziałam. W sumie mógł sobie myśleć, co chciał. Wcisnęłam się w kanapę, tuląc do siebie poduszkę.

- Sądzisz, że dasz sobie radę?

- Co mam na to powiedzieć?

- Może... może chcesz, żebym dzisiaj został i dotrzymał ci towarzystwa?

- Fernand, przestań, proszę, albo pomyślę, że masz poczucie humoru!

W milczeniu zniósł przytyk.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Naprawdę chyba dość zrobiłeś. Najlepiej już idź.

Spuścił głowę, zaciskając zęby. Przypuszczam, że w pewnym sensie pojął, iż zasłużył sobie na takie traktowanie. Zamiast jednak wyjść, jak prosiłam, podszedł do przeszklonej ściany i stanął z rękami założonymi za plecy.

- Fernand, co jest?

Nie odpowiedział. Wydawał się głęboko pogrążony w niewesołych myślach.

Fernand ma wiele wad, lecz w gruncie rzeczy nie jest złym człowiekiem. Ilekroć próbuje być zły, zawsze się sparzy, ponieważ realnie w ogóle nie stać go na niegodziwość. Po fakcie odchorowuje to ciężko. I gotów jest zrobić wszystko, byle mu wybaczyć.

- Lilu, nie mogę patrzeć na ciebie w takim stanie.

Nie zareagowałam.

- Jeżeli Milo Templeton tyle dla ciebie znaczy...

- Milczał kilka chwil, potem odetchnął głęboko i odważnie rzekł: - Jak wiesz, mam swoje wejścia w ministerstwie. Spróbuję... zrobię, co się da... żeby się czegoś o nim dowiedzieć.

- Mówisz poważnie? Mógłbyś?

- Tak, Lilu. Zrobię to.

Minęło kilka tygodni. Fernand codziennie do mnie dzwonił. Niczego się o tobie nie dowiedział, a ja szalałam z niepokoju. Fernand utrzymywał, że to nic niezwykłego: w pierwszym okresie po aresztowaniu policja nie puszcza pary z ust. Taki podobno ma zwyczaj,

co pozostawia rozległe pole do domysłów.

- Cierpliwości. W końcu czegoś się dowiemy, obiecuję. A na razie musisz sobie znaleźć jakieś zajęcie, oderwać myśli od tego. Inaczej nigdy nie wyjdiesz na prostą.

Wiedziałałam, że ma słuszość, wiedziałałam również, co będę robiła. Przecież ty dla mnie wróciłeś *intra muros*, chciałeś mi dać płytkę z aktami mojej matki. Schowałam ją w donicy z paprociami. Czekala na mnie, a wraz z nią odpowiedzi. Bo tego właśnie chciałeś, prawda? Żeby znalazła odpowiedzi.

Wiedziałałam, że jestem pilnowana jak każdy, nad kim rozciągnięto nadzór psychiatryczny. Zdecydowałam się zatem na noc - wtedy najmniejsze było ryzyko, że zostanę przyłapana.

Co wieczór kładłam się spać o zwykłej porze i zasypiałam z kieszonkowym budzikiem w ręce.

O drugiej budziły mnie wibracje. Podchodziłam do okna, aby je uchylić, i przy okazji sięgałam do donicy z paprociami, by zabrać płytkę wsuniętą z boku. Następnie udawałam, że idę do toalety - żeby moje wędrówki nie obudziły czujności strażnika, gdyby przypadkiem akurat mnie obserwował.

Garderoba czekała, a w niej mój grammabook. Powolutku uruchamiałam odsuwanie drzwi i kładłam się w środku, w błogiej ciemności. Czekalam, aż garderoba się zamknie, stanie się hermetyczna, i wtedy dopiero wsuwałam płytkę do grammabooka i zaczynałam czytać.

Niedługo przed świtem kończyłam. Na powrót chowałam płytkę w donicy z paprociami, potem kładłam się do łóżka. Spałam nie dłużej niż dwie, trzy godziny - dłuższy sen mógłby wzbudzić podejrzenia. Tyle i tak mi wystarczało.

Koło południa szłam pobiegać na dawnej obwodnicy, tak dla odmiany, aby móc powiedzieć, że coś zrobiłam w ciągu dnia. Fernand był zadowolony.

-Dobrze, że znowu wychodzisz, wróciłaś do biegania. To bardzo zdrowe.

Tak, to istotnie bardzo zdrowe. A skoro stwarzało wrażenie, że mam się lepiej, czegoż więcej żądać?

Co noc chowałam się w ciemności garderoby. Czasami brałam ze sobą puszkę kocięj karmy - jeszcze mi kilka zostało. Trzymałam je na wyjątkowe okazje, kiedy czułam, że czytanie staje się zbyt trudne.

Trwało to prawie rok. Tyle czasu potrzebowałam, aby się zapoznać z 6765 stronami akt mojej matki. Z setkami dokumentów: raportów, zeznań świadków, protokołów, kart zdrowia, wyciągów bankowych, rejestrów karnych, korespondencji, życiorysów,

stenogramów z procesu, książeczką więzienną, raportem z autopsji... Chciwie wszystko czytałam, nie pominęłam niczego, ciągle licząc, że w trakcie gorzkiej, bolesnej lektury znajdę odpowiedzi. Moje nadzieje ziściły się w pełni, Milo. Wszystko ci opowiem.

Pierwszy dokument w aktach mojej matki to zeznanie złożone 3 maja 2069 roku na posterunku żandarmerii w Cormeil-sur-Marne w 3. dystrykcie przez niejaką Marie Duncan, lat 28, sprzątaczkę w centrum handlowym w Cormeil. Marie Duncan oświadcza w nim, że tegoż ranka znalazła noworodka w pomieszczeniu, gdzie przechowywane są kontenery na śmiecie w centrum handlowym. Dziecko płci żeńskiej było zawinięte w różowy kocyk, pępowinę miało zawiązaną sznurówką. Wyglądało na zupełnie zdrowe.

Moja matka była zatem „znajdą”, jak to się mówi. Zdaje się, że wtedy nierzadko coś takiego się zdarzało. Było to niedługo po ustanowieniu granicy i wzniesieniu muru. Ludzie bali się przyszłości. A najważniejsze, że bezdziejnym łatwiej było otrzymać certyfikat rezydencji *intra muros*.

Niemowlę odstawiono do Centrum dla Nieletnich w 3. dystrykcie, niedaleko miejsca, gdzie je znaleziono. W dniu 4 maja zapisano je w urzędzie stanu cywilnego pod imieniem Mojra. Nazwiska nie odnotowano zgodnie z obowiązującą praktyką.

Dziwne, ale nigdy nie wyobrażałam sobie żadnej swojej rodziny oprócz matki. Nigdy nie pomyślałam, że gdzieś tam mogą żyć moi wujowie, ciotki, dziadkowie. Dla mnie istniała tylko ona. Dobrze wyczułam: Lila K, córka nieznanego ojca i matki znajdy. Drzewo genealogiczne mam nadzwyczaj nędzne, nie da się ukryć. Dwie krótkie gałązki. Los zdecydowanie sobie nie żałował, manipulując sekatorem.

Pierwsze piętnaście lat życia moja matka spędziła w Centrum dla Nieletnich w Cormeil. Nie odnotowano w tym czasie nic zdrożnego. Wyniki w nauce przeciętne, sądząc po wykazach ocen, ale niewątpliwy talent muzyczny, głównie głos. Opinie nauczycieli mówią o samotnym, marzycielskim dziecku. Zwracają uwagę na problemy z koncentracją.

W roku 85 restrukturyzacja opieki społecznej pociąga połączenie kilku ośrodków dla nieletnich. Wszyscy wychowankowie z Cormeil zostają przeniesieni do Grigny w 5. dystrykcie. Moja matka ma szesnaście lat. Raporty psychologów i wychowawców sygnalizują zaburzenia w odżywianiu i skłonność do zamykania się w sobie, podkreślają jednak, że Mojra bez problemów poddaje się dyscyplinie Centrum. Wyniki w nauce nadal przeciętne z wyjątkiem śpiewu - tu otrzymuje noty celujące i zachęty ze strony nauczycieli.

Wśród dokumentów zawartych w aneksie znalazłam taką oto sporządzoną przez nią notatkę z czerwca 85 roku: „Mojra, lista możliwych matek i ojców”.

I dziesiątki nazwisk aktorek i celebrytów, z którymi łączyło ją niejaki podobieństwo -

takie same usta, oczy, kości policzkowe... Na samym końcu jest nazwisko Johna Steinera. I dopisek pod nim: „Właściwie niema podobieństwa. Tylko bym chciała, żeby to był on”.

I faktycznie będzie to on. Dwa lata później, gdy moja matka osiąga pełnoletniość, wybiera sobie nazwisko Steiner: Mojra Steiner, nieślubna córka jednego z największych piosenkarzy rozrywkowych swojego pokolenia. Nie udało mi się dojść, kogo wybrała sobie w marzeniach na matkę.

W czerwcu 87 roku moja matka zostaje zatrudniona jako kelnerka w barze w sektorze *intra muros* (39. dzielnica) - aby objąć tę posadę, skorzystała z prawa dyskryminacji pozytywnej obejmującego wychowanków państwa. Dzięki tej pracy otrzymuje ograniczone prawo pobytu w strefie *intra muros*. Taki status najwyraźniej jej odpowiada. W aktach nie ma śladu, by podejmowała jakieś kroki w celu uzyskania karty stałego pobytu.

W roku 88 opuszcza Centrum dla Nieletnich w Grigny i wprowadza się do jednopokojowego mieszkania również w Grigny. Będzie je zajmowała do roku 92. Praca pozwala jej żyć wygodnie.

Znaleziony w aneksie dokument:

*Mojra Steiner, mażenia i qbicje na 1-szy styczeń 89:*

- stracić akcęt z Zony, naluczyć się muwićjak w intra muros
- mieć wyglond dystyngowany, uwaga na powiesz - chowność
- naluczyć się rużnych żeczy (wogle kultury, spraj życiowych, jak na pszyjenciach)
- kiedyś pojechać w podrusz (Wiochy, Ameryka)
- znaleźć miłość
- mieć dwa dzieci: dziefczynkę i chłopaka. Jakby jedno dziecko było: dziefczynka.

W lipcu 89 roku rutynowa kontrola stanu zdrowia pracowników wykazuje, że moja matka jest w ciąży. W raporcie lekarskim stoi: „Pacjentka utrzymuje, że nie wiedziała, iż jest w ciąży. Twierdzi również, że nie zna nazwiska ojca. Ponieważ na ciążę nie uzyskano wcześniej zgody, zostanie przerwana pod warunkiem, że nie upłynął dopuszczalny okres 20 tygodni. W razie przekroczenia dopuszczalnego okresu donoszenie ciąży, zgodnie z obowiązującym prawem, będzie uzależnione od stanu zdrowia płodu”.

Badanie ultrasonograficzne wykonane 6 lip - ca wykazuje, że płód jest płci żeńskiej i ma około dwudziestu czterech tygodni. Dwa tygodnie później szczegółowe badanie kariotypu pozwala sformułować konkluzję: „Nie wykazano żadnej anomalii”. Administracja wyraża zgodę na donoszenie ciąży, żąda jednak ścisłego nadzoru lekarskiego ze względu na brak jakichkolwiek informacji dotyczących przodków.

Wszczęta przeciw mojej matce procedura związana ze złamaniem ustawy o poczęciu

zostaje zamknięta z początkiem sierpnia, gdy ekspertyzy jednoznacznie wykazują defekt implantu antykoncepcyjnego, który założono jej dwa lata wcześniej, przed opuszczeniem Centrum dla Nieletnich w Grigny. Niemniej przesłuchania trwają. Służby socjalne usiłują dociec, dlaczego moja matka nie zgłosiła ciąży. Ona jednak podtrzymuje swoje pierwsze zeznanie: nie zdawała sobie sprawy. I trudno się dziwić, nawet lekarze muszą to przyznać - do piątego miesiąca ciąży moja matka nie przytyła ani grama. Brzuch ma płaski. Mówi: „Nic nie widać, jakby nic w nim nie było”.

Nie czekała na mnie, to pewne. Co nie znaczy, koniec końców, że mnie nie chciała. Pominąwszy zaskoczenie i wstrząs, myślę, że była szczęśliwa, dowiedziawszy się, że będzie miała dziecko. Świadczą o tym jej wyciągi bankowe: 24 lipca kupuje trzy różowe kaftaniki w rozmiarze dla noworodków w drogim butik w sektorze *intra muros*. Zwróć uwagę, Milo: 24 lipca. W przeddzień wyniki badań genetycznych potwierdziły, że płód rozwija się prawidłowo, ciąża zatem może być donoszona. Za kaftaniki zapłaciła jak za zboże. Czy to nie dowodzi, że była szczęśliwa, nosząc mnie? To nie wszystko: między lipcem a październikiem wiele razy jeszcze kupuje środki higieny i ubranka dla niemowląt. Wydaje na to majątek. Mam nazwy wszystkich marek, rozmiary, ceny. Mogę ci pokazać, jeśli zechcesz.

Przyszłam na świat w terminie, 19 października 2089 roku, w szpitalu w Grigny. W aktach matki znalazłam raport z porodu, który był także w moim dossier. Tyle że tutaj figuruje pełne nazwisko Mojry Steiner. Jest również zdjęcie - nie wiem, co jej wpadło do głowy, pewnie namówił ją jeden z tych fotografów, którzy chodzą od pokoju do pokoju, by uwieczniać młode mamy z noworodkami i sprzedawać zdjęcia za niebotyczną kasę. Matka trzyma mnie ostrożnie lekko przechylona, żebym dobrze wyszła na ujęciu. Uśmiecha się. Wygląda na dumną i kruchą. Mam na sobie jeden z różowych kaftaników kupionych 24 lipca.

Początkowo wszystko szło dobrze. Byłam jej księżniczką, jej cudem. Wydawała na mnie prawie wszystko, co zarabiała. Mam rachunki, Milo: ubranka, lekarstwa, jedzenie, zabawki... Niczego mi nie brakowało. Mam także raporty z okresowych badań lekarskich. Żadnej wizyty nie opuściła. Stan mojego zdrowia był dobry: rozwój psychoruchowy w normie; ważyłam nieco poniżej średniej, za to intelektualnie rozwijałam się szybciej. Miałam wzorową matkę. I pewnie to by się nie zmieniło, gdyby nie „wydarzenia”.

Rozruchy zaczęły się we wrześniu 2090 roku. Nie miały nic wspólnego z zamieszkami, które cztery miesiące wcześniej wybuchły w Zonie, niemniej rozumiem, że ludzie się wystraszyli, zwłaszcza że siły porządkowe nie patyczkowały się, zaprowadzając spokój. Przypuszczam, że to właśnie skłoniło moją matkę do złożenia w początkach października podania o stały pobyt w strefie *intra muros*. Wypełniła wszystkie pola

formularza swoim starannym pismem, dołączyła wszelkie wymagane dokumenty: zaświadczenie o zarobkach, świadectwo zdrowia, wyciąg z rejestru karnego, rekomendację pracodawcy, zaświadczenie o dobrym prowadzeniu się. W polu „uzasadnienie prośby” wpisała: „Chce lepsze życie dla mnie i dla mojej curki”.

W grudniu 90 roku Ministerstwo Imigracji powiadomiło ją, że jej podanie po zbadaniu zaopiniowano pozytywnie. Pozostaje tylko poczekać na ostateczną zgodę i zatwierdzenie decyzji przez Radę. To czysta formalność. Jeszcze dwa miesiące i otrzyma kartę stałego pobytu.

Wielkie rozruchy wybuchły w pierwszych dniach stycznia 91 roku. Miałam tylko piętnaście miesięcy, lecz trochę pamiętam - podobno zdarza się to w wypadku traumy. Przypominam sobie krzyki w dole na ulicy, strzały, wybuchy, które wprawiały w drżenie budynki i rzucały czerwone refleksy na ściany pokoju. Przypominam sobie również śmigłowce, które dzień i noc latały nisko nad dachami, omiatając fasady domów snopami światła, od którego robiło się jasno w mieszkaniach.

Przez prawie pięć tygodni ludzie żyli w uwięzieniu. Zamknięto granice. Wstrzymano transport publiczny. Pięć tygodni bez pracy, bez przychodów. Zarówno dla mojej matki, jak i dla wielu innych to była prawdziwa katastrofa.

Kiedy wszystko się skończyło, kiedy zamieszki zduszono i połowę Zony obrócono w ruiny, zaczęto wcielać w życie plan bezpieczeństwa, wzmocniono kontrolę na granicach i wprowadzono obostrzenia imigracyjne. Ludzie mieszkający *intra muros* próbowali się chronić, trudno mieć im to za złe. Jednakże dla mojej matki i dla mnie to zmieniło wszystko.

W marcu 91 roku moja matka otrzymuje z Ministerstwa Imigracji pismo informujące, że podniesiono wymagany pułap dochodów umożliwiający zamieszkanie *intra muros*. Wobec czego jej podanie zostaje odrzucone. Pismo precyzuje: „Niemniej zachowuje Pani pozwolenie na pracę i na pobyt czasowy, które dotąd Pani przysługiwały”.

Matka udała się do szefa, aby go poprosić o zgodę na pracę w nocy. Oczywiście miała świadomość, że to niedozwolone dla kobiety samotnie wychowującej dziecko. Liczyła jednak, że jakoś da się to załatwić. Szef odmówił. Na procesie oświadczył: „Bardzo źle to przyjęła. Powiedziała, że złoży podanie o wyjątkowe odstąpienie od przepisów. Mnie zszokowało, że chce zostawiać dziecko na noc, by iść do pracy. Naprawdę mnie to zszokowało”. Nie tylko jego. Zawtórowali mu wszyscy poczciwcy. Jakby mojej matce łatwo było coś takiego zrobić! Durnie. A przecież nietrudno to zrozumieć, wystarczy policzyć: gdyby pracowała przez sześć nocy zamiast przez sześć dni, miałaby dwa razy wyższą pensję. I dzięki temu znowu by spełniała kryterium wysokości dochodów wymaganej do uzyskania

prawa pobytu stałego.

Właśnie wtedy zaczęły się jej problemy finansowe. Przez pięć tygodni, kiedy nie pracowała, nie otrzymywała poborów. Zrobiła się jej pokaźna dziura w budżecie, lecz poradziłyby sobie, gdyby uważała. Problem w tym, że nie potrafiła. Nadal kupowała mi ubranka, zabawki i produkty kosmetyczne - na wyciągach wiele jest takich pozycji. Między majem a początkiem lipca otrzymała trzy ostrzeżenia z banku. Grozili, że wejdą jej na pobory. W końcu dotarło do niej, że to nie może dłużej trwać.

W lipcu 91 roku wyprowadza się z mieszkanek w Grigny i przenosi dalej na zachód, do Coblaincourt w 13. dystrykcie, okolicy zdecydowanie gorszej, lecz jeszcze obsługiwanej przez kolej. Czynnosc jest o połowę niższy niż w Grigny. Mam przed oczami to mieszkanie: salonik, sypialnia, mała kuchnia, łazienka. Garderoby nie ma.

\*\*\*

Przyszli po mnie 3 lutego o świtaniu. Pokazali mi nakaz: „Musisz pani z nami iść mamy kilka pytań proszę się szybko ubrać”. Byli uśmiechnięci, spokojni, grzeczni, co było tym bardziej niepokojące. Na szczęście nie próbowali mnie dotykać.

Zawieźli mnie do Conciergerie i zaprowadzili do dużego pomieszczenia bez okien w podziemiu. Kazali mi usiąść przy stoliku, na którym stał wielki reflektor. Zgaszony. Niemniej zapytałam, czy będę mogła zostać w ciemnych okularach z powodu braku tolerancji na światło. Roześmiali się.

- Proszę się nie obawiać, nie zamierzamy używać reflektora. To tylko dekoracja.

Po czym jeden zdjął mi okulary i położył je na stole.

- Niech się pani odpręży. To rutynowa rozmowa. Później pozwolimy pani odejść.

Kazali mi mówić o tobie, o twojej działalności. Chcieli, żebym im wszystko opowiedziała. Odparłam, że nic nie wiem.

- Ale przecież była pani blisko z panem Temple - tonem. Nawet w zażyłości.

- Tego bym nie powiedziała.

Jakby na dowód, że było inaczej, pokazali mi nagranie, na którym szliśmy ulicą obok siebie podczas naszego pierwszego i jedyne go spaceru. Mieli kłopot, ponieważ roboty zgubiły nasz ślad, kiedy kluczyłeś wtedy.

- Potrafiłaby pani powiedzieć, dokąd poszliście tamtego dnia?

- Nie pamiętam. Szliśmy długo. Wtedy pierwszy raz wypuściłam się tak daleko. Nie znałam tych okolic.

Chyba moja odpowiedź niezbyt im się spodobała. Obejrżeli się na człowieka, który trzymał się na uboczu w rogu pomieszczenia.



- To możliwe - przyznał. - Wtedy jeszcze nigdy nie wyruszyła poza swoje osiedle inaczej niż w wahadłowce.

Z rezygnacją pokiwali głowami, po czym znów przystąpili do ataku.

- Zapomniała pani, którądy szliście, w porządku. Ale może pamięta pani, o czym rozmawialiście?

- Słabo. Pewnie o moim zdrowiu. Pochorowałam się, a pan Templeton zajrzał do mnie, żeby się dowiedzieć, co słyhać. To była zwykła kurtuazyjna wizyta.

Bez przekonania patrzyli na mnie.

- Pan Templeton przyszedł do pani tego dnia o czternastej dwadzieścia dwie. Zaświadcza o tym nagranie z monitoringu przy wejściu, o tu, proszę spojrzeć.

Następnie pokazali mi nagranie, na którym żegnaliśmy się przed wejściem do mojego bloku. Widniała na nim godzina 18.36.

- Ponad cztery godziny. Trochę długo jak na kurtuazyjną wizytę, nie uważa pani?

Puścili mi także wiele innych nagrań: my razem na placu przy Memoriale; nasze rozmowy w twoim gabinecie albo gdzieś w korytarzu biblioteki; twoje odwiedziny w szpitalu łącznie z wybuchem Fernanda. Mieli wszystko. Z wyjątkiem naszego spotkania w zaułku.

Nie udało mi się dowiedzieć, czego właściwie dotyczą podejrzenia ani o co jesteś oskarżany. Kiedy o to zagadnęłam, odparli: „My tu zadajemy pytania, proszę pani, możemy zacząć od początku punkt po punkcie, jeśli pani chce”. Odparłam: „A proszę bardzo”.

Znasz mnie, Milo: twarda ze mnie zawodniczka i bardzo inteligentna. Wiedziałam, że te głupki nic na nas nie mają, dlatego nie dałam się speszyć. Ponad sześć godzin wytrwałam w krzyżowym ogniu pytań.

Kiedy głosy na nagraniu były zupełnie niezrozumiałe albo z silnymi zakłóceniami - często się to zdarzało, zwłaszcza na zewnątrz - żądali uściślenia, czego dotyczyła rozmowa. Mówiłam prawdę, kiedy tylko mogłam - nie było potrzeby kłamać, nic by to nie dało. O reszcie nie pisałam ani słowa. Nie powiedziałam nic kompromitującego. Zmyślałam bez trudu. Wystarczało mi sięgnąć do standardowych dialogów, których swego czasu Fernand kazał mi się nauczyć na pamięć.

Szczególnie jedno nagranie przykuwało ich uwagę: z twojej ostatniej wizyty w szpitalu, kiedy szeptałaś mi do ucha, jak się z tobą spotkać w zaułku.

- Pan Templeton dość długo coś pani klarował. I zdaje się, że nie bardzo chciał, by zostało to zarejestrowane... Pamięta pani, o czym mówił?

Zarumieniłam się nagle i udałam wahanie. W końcu niechętnie wyszeptałam:

- Mówił... mówił o sprawach... osobistych. Takie tam... miłe słówka.

Uśmiechnęli się kpiąco.

- A przecież na początku naszej rozmowy stwierdziła pani, że nie byliście blisko z panem Templetonem.

- To nie tak, jak panowie myślą - odparłam, rumieniąc się jeszcze mocniej.

Po ich rozradowaniu zrozumiałam, że wypadam wiarygodnie w roli cnotki przyłapanej na gorącym uczynku. Co nie znaczy, że mnie to bawiło - wiedziałam po prostu, że muszę im pozwolić na ten drobny tryumf. Na pocieszenie dać im moje zmieszanie. Bo koniec końców nie puściłam pary z ust.

Przesłuchiwali mnie jeszcze godzinę czy dwie wyraźnie po to tylko, by sprawić wrażenie, że panują nad wszystkim. Czułam jednak, że w gruncie rzeczy robią to bez przekonania. Udało mi się przekonać ich, że nic ciekawego ze mnie nie wyciągną.

Kiedy mnie zwolnili w godzinach popołudniowych, byłam wyczerpana, lecz dumna, że wyrolowa - łam te mendy. Myślałam przede wszystkim o tobie: gdziekolwiek byłeś, wiedziałam, że moje milczenie cię chroni. Zadzwoiłam do Fernanda, by po mnie przyjechał. Po czym zemdlalam na chodniku.

\*\*\*

Upadek mojej matki zaczął się od przeprowadzki do 13. dystryktu. Kłopoty finansowe, brak widoków na przyszłość, odleglejsza granica, a także samotność - już samo to tłumaczy wszystko.

Między lipcem a październikiem otrzymała pięć upomnień w związku z powtarzającymi się spóźnieniami. Trzeba zaznaczyć, że wtedy w tej części Zony transport publiczny niezbyt dobrze funkcjonował. Normalnie matka potrzebowała ponad dwóch godzin, by dojechać do pracy. W razie zakłóceń nie wiem, ile to trwało.

W dniu 20 listopada 91 roku zjawia się w pracy w stanie upojenia alkoholowego. Szef natychmiast wzywa uprawnionego do kontroli lekarza, który sporządza protokół. Badanie krwi wykazuje 1,32 promila alkoholu. W szafce mojej matki znajdują również paczkę zawierającą pięć papierosów. Zostaje zwolniona w trybie natychmiastowym za poważne wykroczenie, a dwa dni później staje przed sądem 39. dzielnicy, który skazuje ją na roczne wydalenie mogące ulec przedłużeniu oraz wydaje nakaz przymusowego leczenia. W dole dokumentu widnieje rytualna formułka: „Ja, niżej podpisana Mojra Steiner, zamieszkała przy rue de la Brèche aux Loups 27 w Coblaincourt, 13. dystrykt, oświadczam, że jest mi znana treść artykułu L 314-620 kodeksu cywilnego, który pozwala wnieść odwołanie od niniejszego wyroku listem poleconym za potwierdzeniem odbioru w terminie dwóch tygodni od ogłoszenia, i mam świadomość, że po upływie tego terminu nie przysługuje mi prawo do

podważania go”. Poniżej jej podpis, nieporadny, złożony drżącą ręką. Sąd rozpatrzył sprawę w niecałą godzinę.

Moja matka nie wniosła odwołania od wyroku. Nigdy nie starała się o przywrócenie posiadanych wcześniej praw. Takie postępowanie długo trwa, jest bardzo skomplikowane. Każą ci najpierw wystawać godzinami w kolejce, potem, nie zajrzawszy nawet do akt, odsyłają cię z kwitkiem pod pretekstem, że brakuje jakiegoś dokumentu. Sposób dobry jak każdy inny, by pozbyć się najmniej zmotywowanych, a zatem najsłabszych. Moja matka należała do takich osób. Nie miała już wtedy siły. Poddała się. Toteż z roku na rok przedłużano jej karę automatycznie - w gruncie rzeczy było to dożywotnie wydalenie.

Pod koniec listopada, po otrzymaniu reszty wynagrodzenia od byłego szefa, moja matka dysponuje kwotą 317,56 euro.

Na początku grudnia stawia się w biurze zatrudnienia w 13. dystrykcie, aby się zarejestrować jako poszukująca zajęcia. Już 8 grudnia otrzymuje propozycję pracy w charakterze kelnerki nocnej - w Zonie obowiązują mniej rygorystyczne prawa: kobieta samotnie wychowująca dziecko może legalnie pracować w nocy. Pensja nie rzuca na kolana, za to bar jest położony w pobliżu naszego domu. Moja matka bez wahania przyjmuje posadę.

Bar nazywał się Anatolia. W aktach znalazłam kopię umowy o pracę mojej matki. Nocne kelnerki mogły dorabiać do pensji, proponując klientom świadczenia w naturze, za które opłatę ustalały same. Lokal udostępniał im pokoiki na tyłach oraz przylegające do nich sanitariaty. W zamian zobowiązane były oddawać pracodawcy 70 procent zarobionych kwot. Powiedzmy sobie wprost: Anatolia była burdelem, a jej szef skurwysyńskim sutenerem.

Moja matka jednak w ten sposób nigdy nie zarabiała na chleb. Na procesie jej szef zeznał, że nigdy nie korzystała z pokoiów na tyłach. „Zgrywała świętoszkę. Mówiła, że to wstrętne. Też coś! Potem przestało być wstrętne!” I zwracając się do mojej matki, dodał: „W końcu człowiek przywyka, jak ja”. Sędzia przywołał go do porządku.

W 13. dystrykcie moja matka nikogo nie знаła. Zdaje się, że w ogóle nigdzie nie miała znajomych. Zarabiała za mało, aby płacić opiekunce. Nie miała zatem wyboru - musiała zostawiać mnie samą na noc.

Nigdy się nie bałam. W każdym razie nie pamiętam, żebym się bała. Czekala pewnie, aż zasnę, i dopiero szła do pracy. Kiedy budziłam się rano, zawsze leżała obok mnie. W mieszkaniu było tylko jedno łóżko, w którym spałyśmy obie.

Całe dni spędzałam, patrząc, jak mama śpi. Przytulona do niej czekałam w bezruchu, aż się obudzi. Jej ciepło i zapach pozwalały mi zapomnieć o głodzie.

Moja matka bardzo pilnowała obowiązkowego leczenia nakazanego wyrokiem sądu -

zagrożono, że jeśli mu się nie podda, pozbawią ją praw rodzicielskich do mnie. Chodziła więc co tydzień na spotkania. Nadal jednak zażywała narkotyki.

Pamiętam ją palącą przy zamkniętym oknie, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Trzymany między palcem wskazującym a wielkim papieros zakreśla półokręgi. Dym pomału wylatuje z jej rozchylonych ust. Przymulona do niej chłonę z zamkniętymi oczami wonne dymki.

Moja matka nie miała ochryplego głosu, co rzekomo jest cechą narkomanów. W moich wspomnieniach jej głos jest piękny, łagodny, bardzo melodyjny.

Kłopoty finansowe trwają. Wyciągi bankowe świadczą o sporych niedoborach na koncie. Z miesiąca na miesiąc większych. W sądzie bez trudu udowodniono, że powodem było kupowanie środków odurzających.

Tak, moja mama była narkomanką przesyconą nikotyną, alkoholem i innymi świństwami. Ale to nie przeszkadzało jej być dobrą matką, czego dowodzą fakty: co miesiąc chodziła ze mną do miejscowego Zakładu Opieki Zdrowotnej nad Matką z Dzieckiem. W ciągu dwóch i pół roku nie opuściła ani jednej wizyty. Ostatni raport jest z 26 kwietnia 92 roku - już ci chyba o nim mówiłam: „Wspaniałe dziecko. Mówi płynnie”. Czy zaniedbane dziecko mówi płynnie w wieku dwóch i pół roku? Czy kupuje mu się tyle ubranek i zabawek? Na przykład 13 kwietnia 92 sukieneczkę w rozmiarze na trzy lata, dwie koszulki i spodenki. Potem 22 kwietnia trzy sukieneczki i dwie pary bucików. A 24 czerwca ciemnoczerwony sweterek i szarego pluszowego kotka. Mama wydaje pieniądze, na nic nie patrząc. Rujnuje się dla mnie.

W maju przestaje płacić czynsz, rachunki za wodę i prąd. Przychodzą kolejne wezwania do zapłaty, lecz moja matka nie reaguje. Są także w aktach inne pisma - od sąsiadów adresowane do właściciela budynku. W jednym jest mowa o smrodzie narkotyków, „tytoniu i innych (sic)”, dochodzącym z naszego mieszkania. Niejaka pani P. - nazwisko usunięto z akt na prośbę zainteresowanej - oświadcza, że znalazła moją mamę leżącą w sieni o 7 rano „kompletnie naćpaną”. W czerwcu 2092 roku, niecały rok po wprowadzeniu się tam, właściciel wszczyna procedurę eksmisji.

Komornicy zjawili się 30 czerwca rano. Nic z tego nie pamiętam; i pewnie tak jest lepiej.

Wykaz zajętych ruchomości: stelaż szerokości 140 cm z materacem, kwadratowy stolik (75x75 cm) z drewna sosnowego, krzesło także sosnowe, metalowa lampa koloru czerwonego, dwa talerze z białej porcelany w kwiatki, dwie szklanki, kasetka ze stali nierdzewnej zawierająca dwa noże, dwa widelce, dwie łyżki, dwie łyżeczki, stalowy garnek o średnicy 22 cm, salaterka z niebieskiego szkła, wózek dziecięcy, srebrny pierścionek, złoty

łańcuszek i wisiołek w kształcie serduszka. Całą resztę - pościel, odzież, zabawki, przybory toaletowe - zostawiono nam.

Służby socjalne tego samego dnia skierowały nas do schroniska w 36. dystrykcie. Wiesz, jak tam jest, nie będę więc opisywać. W tej okolicy już nic nie jeździ, ani pociągi, ani wahadłówki, nic. Wszystkim wiadomo: poza 30. dystryktem to już nie życie. Za dużo tam przegranych spraw, rozpaczliwych przypadków. Służby socjalne nie są w stanie nad tym zapanować. Policja także. W pewnym sensie złożyło się dla nas szczęśliwie: gdyby urzędnicy zrobili, co do nich należy, już wtedy odebrano by mnie matce.

\* \* \*

Lucrezię aresztowano pod koniec kwietnia. Sześć dni później w wiadomościach krajowych poinformowano o zlikwidowaniu konspiracyjnej siatki w Wielkiej Bibliotece. Na szeroką skalę obchodzono cenzurę, korzystając z kilkudziesięciu nielegalnych skanerów. Lucrezię wymieniano jako jednego z aktywnych członków organizacji. Chyba się przyznała. Podejrzewano także kilku pracowników działu cyfryzacji. W wiadomościach mówili także o tobie, Milo, jako o domniemanym organizatorze i szefie siatki.

Zdaje się, że Copland bardzo się przysłużył policji. Od twojego aresztowania on kieruje działem, toteż niewątpliwie z radością to uczynił. Ministerstwo wystosowało podziękowanie za współpracę.

Na Fernanda padł błady strach, udało mu się go jednak zwalczyć. Nic nie powiedział. Ani słowa nie pisnął przeciwko tobie. Kochany Fernand! Domyślam się, ile go to musiało kosztować, ale zdecydował się wspierać mnie do samego końca.

- Co mu grozi, Fernand? Co mogą mu zrobić?

- Nie szalej, Lilu: skoro mówią „domniemany organizator”, to znaczy, że nic konkretnego nie mają, tylko podejrzenia. Najwyraźniej ta dziewczyna, Lucrezia, nie wydała go.

- Ale może go wydać, dobrze wiesz! Potrafią z człowieka wszystko wydusić!

- Nie szalej - powtórzył Fernand. - Na razie nic nie mają i to się liczy. Żyjemy w państwie prawa, Lilu. Nie skazuje się ludzi na podstawie samych podejrzeń.

Cały czas myślałam o tobie, Milo, cały czas, gdy nie byłam w garderobie. Fernand stawał na głowie, by dowiedzieć się czegoś w ministerstwie. Wszystko na nic. Ten brak wieści był nie do zniesienia.

Starłam się niczego po sobie nie pokazywać z powodu tego cholernego nadzoru psychiatrycznego. Musiałam ich wywieść w pole. Nadal więc codziennie biegałam, spacerowałam po mieście, aby „pozostawać w kontakcie” ze społeczeństwem, dwa razy na

tydzień odprawiałam seans z Sensorem, zamawiałam potrawy zgodnie z jadłospisem opracowanym przez dietetyków. Krótko mówiąc, udawałam, że jestem mniej więcej normalna.

Któregoś dnia Fernand przypomniał mi naszą umowę zawartą, kiedy otrzymałam posadę w Wielkiej Bibliotece: jeśli zechcę, w każdej chwili mogę podjąć studia.

O pieniądzu nie muszę się martwić. Centrum sfinansuje wszystko zgodnie ze swoim zobowiązaniem.

- Studia znakomicie by ci zrobiły. Miałybyś cel, perspektywy na przyszłość. Jesteś taka zdolna, Lilu!

Odparłam:

- No tak, studia, czemu nie...

Dzięki studiom zyskałabym wizerunek dziewczyny przedsiębiorczej, pragnącej pokonać traumę i iść naprzód. Idealna przykrywka. Wszyscy by się uspokoili i na pewno wreszcie przestaliby się wtrącać w moje życie.

-Masz jakieś wyobrażenie, co byś chciała robić?

- Jeszcze nie... a raczej mam za dużo pomysłów.

Muszę się zastanowić. Nie chcę podejmować nieodpowiedzialnej decyzji.

- Popieram w stu procentach!

- Dasz mi parę miesięcy, żebym to przemyślała, zanim się zdecyduję?

- Ile tylko chcesz! Jeśli tylko masz jakieś plany...

I w taki oto sposób, Milo, zyskałam święty spokój: zamawiałam tony dokumentów na temat rozmaitych zawodów, dogłębnie studiowałam programy różnych kierunków studiów, funkcjonowanie uczelni, perspektywy dla absolwentów... Kiedy 1 czerwca zgłosiłam się na szóste badanie kontrolne w ramach nadzoru terapeutycznego, byłam przystrojona, opancerzona, uzbrojona po zęby w radość życia i plany na przyszłość. Aby jednak wypaść wiarygodnie, przyznałam się mimo wszystko do napadów znużenia i chwil zniechęcenia. Ze zrozumieniem pokiwali głową: „To normalne po tym, co pani przeszła. Trzeba czasu, żeby się pozbierać”. Wypichcili bardzo przychylny raport. „Nadzór można od tej chwili ograniczyć do badań kwartalnych”. I puścili mnie wolno.

\* \* \*

Nie zostałyśmy długo w schronisku w 36. dystrykcie. Już 15 lipca przeniosłyśmy się do umeblowanej kawalerki na szóstym piętrze starego bloku z końca ubiegłego wieku - nie wiem, jak mama wyniuchwała to mieszkanie.

W opisie lokalu jest mowa o pękniętych ścianach i przeciekaniu sufitu, rozbitych

drzwiach, ubytkach płytek ceramicznych w łazience, uszkodzonej instalacji elektrycznej i zepsutych bateriach w ujęciach wodnych. No cóż, prezentowało się to niewesoło. A raczej ponuro. Tyle że czynsz miałyśmy niski i byłyśmy przynajmniej na własnych śmieciach. W dole umowy najmu podpis mojej matki - drżące, coraz bardziej niepewne pismo.

Mam plan tej kawalerki, Milo: pokój o powierzchni zaledwie dziesięciu metrów kwadratowych, wnęka kuchenna, mała łazienka z ubikacją. Garderoba.

Powstały jakieś problemy związane z przekazaniem akt. Akta mojej matki przesłano do administracji 36. dystryktu, moich natomiast nie. Kiedy szukano ich kilka lat później, gdy przyjmowano mnie do Centrum, odkryto, że przez pomyłkę zostały oddane do archiwum. Przez ponad trzy lata dla administracji po prostu nie istniałam: moje nazwisko zniknęło z kartotek i wszelkiego rodzaju wykazów. Skończyły się wezwania na badania lekarskie, nie było obowiązku uczęszczania do szkoły. Zostałam wymazana, zapomniana, oficjalnie nie istniałam. W sumie wszystko było gotowe, abym przestała istnieć także dla mojej matki.

Przez blisko dwa miesiące po przeprowadzce do 36. dystryktu nadal pracowała w Anatolii. Nie wiem, jak sobie radziła z dojazdami - zajmowały jej co najmniej cztery, pięć godzin dziennie, to nie było życie.

Mogła sobie poszukać czegoś innego, bliżej domu. Ale nie, wolała się trzymać tej roboty, chociaż była niewdzięczna i nędznie opłacana. Być może korzystnie wpływało na jej samopoczucie przebywanie codziennie w sektorze jeszcze dość bliskim granicy. A niewątpliwie pomagało pogodzić się z myślą o zesłaniu do zapadłego kąta na rubieżach Zony bez nadziei na powrót.

Wieczorem układała mnie do snu dużo wcześniej, aby zdążyć do pracy. Nie przeszkadzało mi to, łatwo zasypiałam. Miałam twarde sen. Noc mijała jak z bicia strzelił. Kiedy się budziłam, mama zawsze była, spała obok. Było tak jak niegdyś, tylko budziła się później. Czekałam na to przytulona do niej, nie śmiąc się poruszyć, chociaż byłam głodna i chciało mi się siusiu. Bałam się, że ją obudzę. Kiedy strach przed zmoczeniem pościeli stawał się silniejszy, w końcu schodziłam z łóżka. Dreptałam do łazienki. Z trudem wspinałam się na sedes. Staralam się załatwić jak najszybciej z powodu płytek ceramicznych nad umywalką. Te wszystkie gwiazdziste spękania na środku, poobtlukiwane ostre, kanciaste krawędzie - kojarzyło mi się to z przemocą, przerażało mnie.

Później na powrót kładłam się przy niej i cierpliwie czekałam, aż otworzy oczy. Przebudziwszy się kilka godzin później, dawała mi jeść. Potem znowu wracałyśmy do łóżka przytulone do siebie i leżałyśmy tak bez ruchu do wieczora. Przy niej było mi dobrze. Niczego więcej nie pragnęłam. Mówię ci, Milo: żadne dziecko nie ogrzało się lepiej niż ja w

cieple swojej matki.

Przełom dokonuje się w początkach października: nikogo nie uprzedziwszy, bez słowa wyjaśnień moja matka likwiduje swoje konto bankowe i przestaje jeździć do Anatolii. Po prostu przestaje. Zostaje zwolniona 6 października za porzucenie pracy. I tak dłużej nie mogło to trwać ze względu na czas potrzebny na dojazdy.

Nie stawiała się w biurze zatrudnienia w 36. dystrykcie. Z takim kontem jak jej - problemy z narkotykami, dwukrotne zwolnienie dyscyplinarne - wiedziała, że nie ma szans legalnie dostać jakąś pracę. Postanowiła zatem sama sobie poradzić.

Nie sądzę, żeby decyzję podjęła bez zastanowienia. Na pewno myślała o tym od jakiegoś czasu, może nawet odkąd znalazłyśmy się w 36. dystrykcie. Na ostatnim wyciągu bankowym widnieją tylko trzy pozycje zakupów: sukienka czerwona, sukienka niebieska i winylowe botki do połowy ud. Porzucając posadę w Anatolii, dokonała wyboru i doskonale wiedziała, na co się decyduje. Akceptowała to.

Od listopada roku 2092 moja matka żyła na poły legalnie - aż do aresztowania. W aktach nic nie ma z tego czasu: ani dowodów wypłaty pensji, ani wyciągów bankowych, ani raportów z medycznych badań kontrolnych, ani żadnych potwierdzeń wypłaconych zasiłków. Mojra Steiner znika z kartotek administracji, prześlizguje się przez oczka spisu ludności, nie ma jej nawet na listach wyborczych - zdaje się, że to nierzadko się zdarza w najbardziej oddalonych dystryktach. Moja matka, tak samo jak ja, przestaje istnieć dla świata.

Widzę ją, jak nerwowo opróżnia garderobę z naszych rzeczy, które upycha w kartonie. Odwraca się, uśmiecha do mnie.

- Kochanie, zrobimy ci tu łóżeczko. Śliczne łóżeczko.

Patrzę na nią zdziwiona.

- Tak trzeba z powodu pracy mamusi. - Przytula mnie, pieści i szepcze: - Mamusia musi zarabiać pieniążki dla swojej córeczki. Rozumiesz?

Kiwam głową. Wypuszcza mnie z objąć, wraca do krzątaniny. Układa w garderobie poduszkę i kołdrę. Pod tylną ścianą umieszcza moje przytulanki.

- No, tu ci będzie dobrze - mówi rozradowana.

Zapadła noc. Mama się uczesała, umalowała. Włożyła czerwoną sukienkę, błyszczące wysokie botki. Bie-

rze mnie na ręce, taka piękna, całuje, podchodzi do garderoby, której drzwi odsuwa nogą. Ostrożnie się schyla i stawia mnie tam.

- Połóż się, kochanie.

Oczarowana patrzę w jej czułe oczy, na niepewny uśmiech. Okrywając mnie kołdrą,



zaczyna śpiewać:

*Summertime, and the livin is easy*

*Fish are jumpin' and the cotton is high*

*Oh, your daddy's rich and your ma is goodlookin*

*So hush little baby,*

*Don't you cry...*

Nie rozumiem słów, pojmuję natomiast to, co najważniejsze: wszystko gra, ponieważ mama mnie kocha. Jej usta sprawiają, że świat jest przyjazny i dobry. Nic nie może mi się stać.

- Teraz będziesz spała. Będziesz spała, prawda?

Przytakuję. Mama się uśmiecha.

- Nie wychodź stąd, póki po ciebie nie przyjdę, dobrze?

Znowu przytakuję. Mama mnie całuje.

- Miłych snów, żabciu.

Zasuwa drzwi garderoby. Słyszę, jak się oddala, słyszę stukanie jej obcasów. Wyszła. Nie boję się. Ufam jej całkowicie. Już zaczyna mnie ogarniać senność, powieki mi ciążą.

Przyprowadzała klientów do mieszkania. Na procesie zeznawali w tej sprawie sąsiedzi. Niektórzy twierdzili, że „nie było temu końca”, bywało nawet dwadzieścia wizyt na noc. Często przychodzili dziwni faceci, nie wiadomo skąd wzięci. Narkomani jak ona. Takich zeznań jest cała masa. Banda wstrętnych kapusiów, można by sądzić, że całymi nocami wystawali z okiem przyklejonym do judasza.

Dwudziestu klientów. Pomyśl tylko, dwudziestu! Matka nie mogła - przecież pozwolić, żebym to oglądała. I nic w tym dziwnego moim zdaniem. Nie wspominając już o zboczeńcach, którzy mogliby mnie skrzywdzić. Dlatego ulokowała mnie w garderobie. Żeby chronić córeczkę. Z miłości. Bo nie miała innego wyjścia. Jak to się stało, że o tym nikt nigdy nie pomyślał?

\*\*\*

Pewnego grudniowego wieczoru usłyszałam za oknem miauczenie. Było ciemno, nie widziałam dobrze. Podeszłam, nie śmiać uwierzyć. A jednak - był tam z pyszczkiem przyciśniętym do szyby, dorodny, ognistoczerwony, pokierszowany. Otworzyłam drzwi balkonowe.

- Kiciu, żyjesz!

Miauknął, pochylając łebek. Jedno ucho miał urwane, lewe, to, do którego miał niegdyś zamocowany nadajnik. Poglaskałam go po pyszczku.

- Brakowało mi ciebie, wiesz?

Zmrużył ślepką.

- Chodź do domu, Pasza.

Ani drgnął.

- No chodź, kiciu. Na dworze jest zimno. Znowu miauknął, wyciągając łebek ku mrokowi, jakby chciał mi coś pokazać. Wpatrzyłam się w ciemność zaintrygowana i wtedy dostrzegłam drugiego kota, który powoli kroczył przy gzymsie.

- Gdzieś ty go znalazł? W jakiej zapadłej dziurze? Skierował na mnie spojrzenie swych pięknych oczu koloru wodnej toni, spojrzenie tak spokojne, tak wymowne, aż przeszedł mnie dreszcz. Drugi kot podchodził coraz bliżej, stopniowo wyłaniając się z ciemności. Doszedłszy do końca gzymsu, zeskoczył na balkon, po czym usiadł obok Paszy. Wtedy zrozumiałam: Pasza już nie był singlem. Miał towarzyszkę. Piękną kocicę dachowca o zaokrąglonym ciężkim brzuszku.

Ulokowałam koty w łazience, jak najdalej od głównej kamery. Domyślałam się, że gdyby je odkryto, wybuchłaby straszna awantura. Co rychło potwierdził Fernand.

- Nie możesz ich zatrzymać, Lilo - powiedział. - To wbrew prawu.

- Wiem o tym, Fernand, wiem.

- Z Paszą nie będzie problemu: wystarczy anulować akt zgonu i wszczepić nowy implant. Ale ta... kotka to zupełnie inna para kaloszy. Musisz bezwzględnie powiadomić o niej służby sanitarne!

- Co z nią zrobią?

- Nie wiem. Pewnie ją uśpią. Najprawdopodobniej nie jest zarejestrowana.

- Ale to przecież wybranka Paszy! Poza tym widzisz, że jest kotna!

- Co za kit mi tu wciskasz? - uniósł się Fernand. - Pasza jest nieplodny jak wszystkie koty wyprodukowane metodami inżynierii genetycznej! Niemożliwe, żeby był ojcem!

- Potworność! - zauważyłam cierpko. - Rozpustna dzika kocica puściła się z jakimś dachowcem i wmówiła Paszy ojcostwo. Koniec świata!

- W tym nie ma nic śmiesznego!

- Fernand, proszę, pozwól mi zatrzymać je na trochę. Powiedzmy... póki małe nie przyjdą na świat. To już chyba niedługo.

Popatrzył zaskoczony.

- Wiesz, co ci grozi, jeśli służby nadzoru się zorientują?

- Fernand, bądź tak dobry! Tylko na trochę. Do rozwiązania. Obiecuję, że później je zgłoszę.

Spurpurowiał.

- Kompletnie ci odbiło! W razie jakiejś kontroli... W ogóle nie wiem, dlaczego z tobą dyskutuję: sama ta rozmowa jest przestępstwem!

- Dobrze wiesz, że mało prawdopodobne, by nas akurat teraz podsłuchiowano. Złagodzili mi nadzór psychiatryczny. I tyle ludzi mają do pilnowania.

- Mimo wszystko...

- Zaryzykuję, Fernand.

- A czym je będziesz żywić? Namierzą cię, jak tylko zamówisz kocią karmę.

- Tym się nie martw, poradzę sobie. Przeznaczę dla nich część swoich racji. A jeśli to nie wystarczy, wyprawię Paszę na Iowy. Tyle czasu się wałęsał, że na pewno się nauczył, jak sobie radzić.

- Nie podoba mi się to.

- To znaczy, że się zgadzasz?

- To znaczy, że przymknę oczy, póki się nie okoci. Ale uprzedzam: jeśli później ty ich nie zgłosisz, ja to zrobię!

Uśmiechnęłam się.

- Dzięki, Fernand. Wiesz, naprawdę bardzo mi zależy, żeby trochę u mnie pobyły.

Nie kłamałam: wspomnienia były z każdym dniem boleśniejsze, toteż potrzebna mi była obecność żywej istoty.

\* \* \*

Na początku wszystko szło bardzo dobrze. Po odejściu ostatniego klienta mama zabierała mnie z garderoby i przenosiła na łóżko. Przez resztę nocy spałam z nią jak wcześniej. I jak wcześniej do samego wieczora czekałam, aż się przebudzi. Prawie nic się nie zmieniło.

Potem jej się pogorszyło. Oczywiście przez narkotyki, które ją wyniszczały. Ale nie umiem sobie wyobrazić, jak bez nich zdołałaby to znieść. Do dwudziestu klientów na noc!... Trzeba było przecież za coś żyć.

Przestała zabierać mnie z garderoby, kiedy skończyła pracę. Właściwie mi to nie wadziło. Po przebudzeniu odsuwałam drzwi i patrzyłam na nią, jak śpi. Dopóki ją widziałam, byłam spokojna.

Spała coraz dłużej. Domyślałam się, że to nie jest normalne. Dzieci zwykle wyczuwają takie rzeczy. Czasem spała tak długo, że wydawała mi się martwa. Kiedy niepokój stawał się zbyt silny, wstawałam, aby sprawdzić, czy mama oddycha. Kładłam się na podłodze przy łóżku i czyhałam na każdy jej oddech.

Po przebudzeniu mówiła: „A, jesteś tu, zabciu...”. Uśmiechała się do mnie blado, po czym szeptała z wysiłkiem: „Połóż się, proszę, mamusia jest zmęczona”, wskazując palcem garderobę. Uspokojona posłusznie wykonywałam polecenie. Nie przeszkadzało mi siedzenie po ciemku i czekanie, skoro ona była w pobliżu. Skoro uśmiechała się do mnie, mówiła. Niczego więcej nie żądałam.

Pod wpływem narkotyków często mówiła od rzeczy. Czasami tak ją oszołamiały, że przez kilka dni nie wstawała z łóżka kompletnie odurzona. Kiedy była w takim stanie, bywało, że o mnie zapominała.

Do złamania obojczyka doszło właśnie z tego powodu: zapomniała o mnie i trwało to dłużej niż zwykle. Przez dwa dni nie dawała mi jeść. Słyszałam, jak jęczy na łóżku, nie wychodziłam jednak z garderoby, żeby jej przypadkiem nie przeszkodzić. W takich chwilach lepiej było z nią nie zadzierać.

Rankiem trzeciego dnia postanowiłam mimo wszystko wyjść. Naprawdę byłam już bardzo głodna. Mama spała. Jeśli uda mi się nie stuknąć niczym, nawet nie zauważy, że wychodziłam.

Puszki stały rządkiem wysoko na półce. Szereg par zielonych oczu, które wpatrywały się we mnie. Przysunęłam pudło, które pełniło rolę taboretu, weszłam na nie i próbowałam dosięgnąć puszek. Chociaż jednak stawałam na czubkach palców, ledwie muskałam opuszkami brzeg półki. Zielone oczy ciągle na mnie patrzyły, niewzruszone i przenikliwe, i przez to pustka w brzuchu była tym boleśniejsza.

Pudło naraz usunęło mi się spod nóg, uczepliłam się więc skrajowi półki. I przez kilka chwil tak zwiślałam. Po czym z przeraźliwym łoskotem wszystko runęło. Poczulałam przejmujący ból w ramieniu. I ogarnęła mnie ciemność.

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że mama pochyla się nade mną. W całym ciele czułam ból, od którego przed oczami latały mi zielone i niebieskie plamy.

- Rany boskie, coś ty zrobiła? Popatrz na ten pieprznik!

Obróciłam głowę i pomiędzy migającymi plamkami ujrzałam zerwaną półkę, gipsowy pył, pośród jakichś skorup rozrzucone puszki. Jęknęłam.

- No nie, nie będziesz mi się tu mazgaić na dodatek!

Jęknęłam głośnie.

- Kurde, ucisz się! - Złapała mnie za rękę. Wrzasnęłam. - Zamknij się! - Zaciągnęła mnie do łazienki. - Oszaleję przez ciebie!

Trzasnęła drzwiami. Rozryczałam się na dobre potwornie przerażona. Wiedziałam, że jestem w pomieszczeniu o popękanych płytkach, których okropnie się bałam, bałam się

bardziej niż kompletnej ciemności, w jakiej się znalazłam, bardziej niż gniewu matki. Nawet ból w ramieniu nie był w stanie zagłuszyć tego strachu.

Nie wiem, jak długo płakałam - dzieci nie mają poczucia czasu, co bywa użyteczne. Kiedy przestałam beczeć, zapadła absolutna cisza. Zgaduję, że matka na powrót się położyła. Ja zasnęłam na posadzce łazienki. Obudziłam się dopiero, gdy do niej weszła.

- No chodź, żabciu. Już po wszystkim. - Podniosła mnie i zaprowadziła do pokoju. - Co cię napadło, skarbie? - Przywarłam do niej. - Obiecujesz, że więcej nie będziesz taka niegrzeczna? Obiecujesz? - Kiwnęłam głową. - No to dobrze, myszko.

Przytuliła mnie mocniej, przez co ramię jeszcze bardziej zabołało.

- Co się stało? - spytała, dotykając obojczyka. - Boli cię? - Skrzywiłam się. - Zrobiłaś to sobie, jak się przewróciłaś, tak?

Nie śmiałam powiedzieć słowa. Wyglądała na wstrząśniętą.

- To straszne, żabko! Zajmę się tym... wyleczymy rączkę... ale nie teraz. Teraz nie mogę... Muszę pracować. Przez parę dni nie mogłam. Dziś już muszę.

- Uśmiechnęła się, pogłaskała mnie po policzku. - Jutro się o ciebie zatroszczę. Jutro będę miała dużo czasu. Kocham cię, skarbie.

Nie chcąc, żebym się ruszała, nakarmiła mnie łyżeczką. Znów była czuła i cierpliwa. Zamknęłam oczy, by lepiej rozkoszować się szczęściem. Później zaniósła mnie do garderoby i ostrożnie położyła. „Miłych snów, żabciu”. Uśmiechnęłam się wdzięczna za ten ból, dzięki któremu mama była taka troskliwa.

Nie zajęła się mną nazajutrz. Widocznie nie była w stanie. Pod wieczór odsunęła nieco drzwi garderoby, postawiła mi puszkę karmy i butelkę wody, po czym zamknęła mnie na powrót. W następnych dniach robiła tak samo. Sądzę, że zapomniała, iż coś ze mną nie w porządku.

Któregoś ranka chciałam uchylić drzwi garderoby, aby sprawdzić, czy mama oddycha, i okazało się, że są zablokowane. Pewnie przystawiła je jakimś pudłem czy skrzynką, żebym ich nie otworzyła. Próbowałam pchnąć mocniej, lecz byłam za słaba. Usiadłam więc spokojnie wsłuchana w ciszę, czyhajac na jakiś znak, dźwięk, na cokolwiek, co by świadczyło, że mama jest blisko i żyje. W końcu usłyszałam, jak jęknęła przez sen, i ulżyło mi wtedy. Później chyba ja także zasnęłam.

Wiem, że ta sytuacja nie była normalna. Oczywiście, że wiem. Ale też trzeba jasno powiedzieć jedno: nie byłam nieszczęśliwa, mieszkając w garderobie. Byłam jak w ciasnym kokonie. Czulałam się bezpieczna. Leżałam bez ruchu otoczona pluszakami. Było mi dobrze. Rurki grzewcze wpuszczone w podłogę ogrzewały beton. Całymi dniami drzemałam łub

nasłuchiwałam. Jej oddechu. Szelestu pościeli, kiedy z rzadka się poruszała. Jej kroków, gdy wstawała. Nigdy się nie bałam. Cienkie strużki światła wpadały przez szczeliny na obwodzie przesuwanych drzwi. To wystarczało, aby mi przypominać, że istnieje coś takiego jak dzień.

Kiedy stwierdzałam, że te szczeliny nikną, wiedziałam, że zapada wieczór. Moja ulubiona pora. Pora, gdy mama wreszcie ożywała, wstawała z łóżka, szykowała się do pracy. Z uchem przyklejonym do drzwi usiłowałam zgadywać, co akurat robi. W pomieszczeniu obok leje się woda - mama się myje. Szelest materiału - mama wkłada sukienkę. Którą wybrała? Czerwoną? Niebieską? A może inną, której nie widziałam? Dźwięk kroków - mama wciąga wysokie botki. Drzwi garderoby troszkę się odsuwają, mama wstawia puszkę i butelkę wody, zamyka. Trzaskają drzwi wejściowe - mama wyszła. Podczołguję się do puszek, zanurzam w niej palce i podnoszę do ust. Jem. Zaspokajam głód, rozmyślając o mamie. Przepenia mnie niemal rozkosz. Kiedy wszystko jest wyjedzone, zapadam się łagodnie w kojące objęcia ciemności, ciepła betonu, gulgotania rur. Czuję się, jakbym się znajdowała w brzuchu, w żywym, niosącym spokój brzuchu, który tuli mnie i kołysze. Nie chcę z niego wychodzić.

Czasami w jakimś zrywie mama znajdowała siły, aby się mną zająć. Pamiętam zbliżające się kroki. Nie reaguję. Jestem zbyt zmęczona. Słyszę przepychanie kartonu, który blokuje drzwi. Ich skrzydło naraz się przesuwają i na tylną ścianę pada światło słoneczne. Ten blask rani mi źrenice. Zwijam się w kłębek z rękami na twarzy. To straszne. Chciałabym na nią popatrzeć, lecz nie mogę otworzyć oczu. I chociaż tak pragnę pobyc z nią, wołałabym, aby zamknęła garderobę, odcięła mnie od światła, które rani mi oczy tysiącem igiełek. „Boże drogi, jakaś ty brudna!” Głos ma stropiony. Kulę się jeszcze bardziej. „Jakaś ty brudna! Nie do wiary...” Próbuje mnie postawić na nogi. Nie jestem w stanie iść. Bierze mnie więc na ręce, dźwiga z jękiem, jakby wymagało to od niej straszego wysiłku. Czuję, jak drży i chwieje się na nogach w drodze do łazienki. Kładzie mnie w wannie. Uchylam oczu, na kilka chwil jedynie, aby na nią zerknąć. Zmieniła się. Na twarzy ma jakieś ślady. Mimo to nadal jest piękna. Bogini, która mnie olśniewa. Światło, piękno mamy - jak to boli! Zamykam oczy.

Zaczyna płynąć woda. Gorąca. Mama manipuluje przy baterii i leje się lodowata woda. Powtarza bez przerwy z przerażeniem: „Boże drogi, jakaś ty brudna. Boże drogi, jakaś ty brudna”. Szlocha, polewając mnie z prysznicza.

Woda mnie smaga, najpierw gorąca, później lodowata i znowu gorąca. Boli, milczę jednak, tak bardzo się boję zepsuć tę chwilę. Z przymkniętymi oczami czuję pieśczość jej rąk, kiedy energicznie mnie namydla, czuję ukąszenia płynącej wody. Mam mydło na twarzy, w oczach. Nie reaguję. Tylko wdycham zapach mydła, wciągając przesycone parą powietrze.

Koniec. Mama zamyka kurek. Obejmuje mnie, dźwiga, niesie na łóżko. Pozwalam na wszystko. Rozciera mnie, masuje, naciera mleczkiem. „Żabko, mój skarbie”. Jak dobrze słyszeć jej głos. Niechby to się nigdy nie skończyło, niechby zawsze mnie dotykała, szepcząc: „Żabko, mój skarbie”.

Ubiera mnie w czystą odzież, lecz nic nie pasuje, ani spódniczka, ani spodenki. Koszulka sięga do pępka. Naciąga ją trzema mocnymi pociągnięciami. Nic to nie daje. „Ależ urosłaś! W głowie się nie mieści”. Trudno, zostaję w majtkach i koszulce. I tak nie ma to znaczenia. W garderobie nigdy nie jest zimno.

Stawia mnie, tuli. Czuję jej kości. Wychudła, jej uścisk boli, kłuje. Nic nie mówię. Głowę opieram na jej szyi. Mama kołysze mnie, poddaję się łagodnym ruchom. „Moje kochanie, moje kochanie”. Jestem jej miękką pachnącą laleczką.

Układa mnie obok siebie pod kołdrą. „Zostaniesz tu ze mną. Wygodnie ci?” Mrużę oczy na potwierdzenie. Czuję się zbyt zmęczona, by to powiedzieć. A może już zapomniałam mówić.

Na podłodze przy łóżku stoi przepelniona popielniczka. Obok dwie strzykawki ze skrzywionymi igłami. Łóżko pachnie mamą, narkotykami i jakimiś innymi woniami, obcymi, nieprzyjemnymi. W gruncie rzeczy śmierdzi, jest uświnione, nie zdaję sobie jednak z tego sprawy, a przynajmniej nie w pełni. Bo i cóż z tego, skoro mama jest ze mną? Mówi mi, że wszystko będzie dobrze, że jestem jej córeczką, kochaną żabką. Słucham jej. Wierzę.

Wieczorem przed samym wyjściem do pracy zanoszą mnie do garderoby i zasuwają drzwi, które starannie blokuje kartonem.

I tak sobie żyłyśmy razem, racząc się odrobiną czułości, ilekroć mama mogła. Nie zdarzało się to często. Czasami wpadała w złość. Przez narkotyki nie wiedziała, co robi. Ze mnie bije, nie zdawała sobie nawet sprawy, jestem tego pewna. Za poparzenia też nie ponosi odpowiedzialności. Bateria w łazience była niesprawna, pamiętasz? Jest to zaznaczone w protokole z wizji lokalnej.

Nie umiem powiedzieć, ile czasu spędziłam w garderobie. Kilka miesięcy, może kilka lat. Nikt tego nie wie tak naprawdę. Co do tego lekarze nigdy nie doszli do porozumienia.

Niebawem już nie odróżniałam dnia od nocy, wieczoru od ranka. Zawisłam w jakiejś nieokreślonej porze doby pogrążona w wiecznym półśnie, ledwie świadoma rzeczywistości. Przystawałam zwracać uwagę na dźwięki, było to zbyt męczące. Niemal zapomniałam, że poza garderobą istnieje jakiś świat. Było mi dobrze, niczego nie pragnęłam ani nie potrzebowałam. Pozwalałam, by nosił mnie cieplutki brzuch, w którym byłam zamknięta.

Po czym naraz pewnego dnia, a raczej pewnej nocy oprzytomniałam. Jak, nie potrafię

powiedzieć. Może w jakimś zrywie pod wpływem instynktu przetrwania, może w odruchu ciała, które nie chciało się poddać. A może po prostu facet pyskował głośniejsz niż inni. I raptem się ocknęłam z zamroczenia. Wyrwało mnie z niego coś jak uderzenia, silne, klaszczące, i jęki matki, i męski głos mówiący: „No masz, bierz go! Bierz, przeklęta kurwo!”. Zaczęłam dygotać. Jakiś człowiek krzywdził moją mamę. „No bierz, bierz”. Nie broniła się. Jej jęki rozbrzmiewały w ciemnym pokoju niczym straszny lament.

Później mężczyzna wrzasnął: „Obróć się!”. Nie dość szybko zareagowała. „Obróć się, mówię!” Usłyszałam klaśnięcie uderzenia, skrzypnięcie materaca. „No, teraz dobrze. O tak”.

Znów zaczął bić, mocniej i szybciej, a mama jęczała, moja skrzywdzona mama, nad którą ten obcy się znęcał. „Wiem, że to lubisz, ty przeklęta kurwo!” Nie broniła się, tylko jęczała coraz głośniejsz. Ależ to było przejmujące, przerażające! Nie wytrzymałam.

Namacalam brzeg drzwi garderoby. Wczepiłam się w niego palcami i zaczęłam z całej siły ciągnąć, aby się odsunęły. Jak zwykle były zastawione. Udało mi się jednak odrobinę je ruszyć, o jakieś dwa, trzy milimetry. Orałam paznokciami okleinę. Nie poddawałam się. Spróbowałam raz jeszcze. Mama wciąż krzyczała bita przez tego szubrawca, a on nadal wyrzaskiwał jakieś swoje pogroźki.

Dotąd mocowałam się z drzwiami, aż zdołałam poszerzyć szparę, wsunęłam w nią dłoń, całą rękę, ramię. Jeszcze jedno pchnięcie i wreszcie się przesunęły wystarczająco.

Chciałam iść do niej, bronić mojej mamy. To było ledwie kilka metrów, parę kroków, lecz dla mnie za dużo, nie miałam tyle sił. Wyczołgałam się z garderoby na czworakach, ale opadłam na podłogę, nie dając rady podejść bliżej.

W ciemnościach zawołałam: „Ama! Ama!”. Nie potrafiłam wymówić słowa „mama”. „Ama!” Usta miałam pełne krwi z popękanych strupów na wargach. Ile sił w płucach zawołałam: „Ama!”. Tyle że te siły były naprawdę mikre, wydałam z siebie jakieś owadzie brzęczenie, stłumione miauknięcie tak ciche, że nie ma o czym mówić.

Kiedy naraz zapaliło się światło, zwinęłam się w kłębek, jakbym się chciała ukryć przed grożącym mi niebezpieczeństwem. „Kurwa mać! A to co?” To ten facet się odezwał, w jego głosie pobrzmiwał strach. „Coś takiego! Własnym oczom nie wierzę!” Był tuż obok. Skuliłam się jeszcze bardziej, jęcząc sparaliżowana strachem. „Niemożliwe!” Mama odezwała się bełkotliwie:

- Co jest? Wracaj!
- Zamknij się, szajbusko! Stul pysk!

Mama jednak nalegała:

- No chodź, nie skończyłeś.



- Stul pysk!

Usłyszałam, że zbiera swoje rzeczy. Bez przerwy powtarzał: „Niemożliwe! Niemożliwe!”. Wydawał się przerażony. Nie wiem nawet, czy się ubrał. Trzasnęły drzwi, a mama krzyknęła:

- Ty gnoju! Nie zapłaciłeś!

Z trudem podniosła się z łóżka. Z trudem podeszła do mnie. Leżałam bez ruchu, szcękając zębami, z kulą strachu w brzuchu. Wiedziałam, że byłam niegrzeczna. „Czemu mi to zrobiłaś, skarbie?” Nie było gniewu w jej głosie, raczej zdziwienie. „Czemu mi to zrobiłaś?” Wyglądała na niezbyt przytomną. A ja płakałam przez to światło.

Wtem zobaczyłam, że szeroko otwiera oczy, jakby przytomniała. „Skarbie, jak ty wyglądasz!” Wzięła mnie na ręce i dygocząc, zaniósła do łóżka. „Jak mogłaś się doprowadzić do takiego stanu?” Patrzyłam na nią bez słowa. Uśmiechnęła się. Na policzku miała różową pręgę. „Będzie dobrze, kotku. Zajmę się tobą”. Zwiesiłam głowę. Nie mogłam mówić. „Ale najpierw się prześpisz, odpoczniesz, to ci dobrze zrobi”. Położyła się koło mnie. „Mamusia też odpocznie”. Nim zamknęłam oczy, zobaczyłam, że wyciąga rękę po strzykawkę leżącą na kartonie, który pełnił rolę szafki nocnej.

Ludzie w czerni wpadli o szóstej rano. To jest napisane w raporcie. Wszystko potoczyło się bardzo szybko: wrzaski mamy, pałka na jej szyi, piersi wystające spod szlafroka, knebel, kaftan bezpieczeństwa. Raptem kilka minut.

Patrzyłam na to, co się działo, nijak nie mogąc zareagować. Byłam jak we śnie, w którym każdy gest wykonuje się w zwolnionym tempie, usta się otwierają, lecz nie wychodzi z nich żaden dźwięk, chcesz biec i nie możesz, choć grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Bezsilna i zagubiona pozwoliłam, by dokonał się największy dramat mojego życia.

\*\* \*

Kotka się okociła pewnej styczniowej nocy. Byłam w garderobie ze swymi wspomnieniami, gdy usłyszałam miauczenie kociąt. Nie wyobrażasz sobie, jak wielkiej pociechy dostarczyły mi te malutkie stworzonka, które przyszły na świat w łazience tuż obok. Wierz mi, bardzo tego potrzebowałam. Naprawdę potrzebowałam.

\*\* \*

Odstawili moją mamę do aresztu w 36. dystrykcie. Badanie lekarskie przeprowadzone po zatrzymaniu wymienia ślady oparzeń w różnych miejscach ciała, ślady nacięć na plecach i udach (samookaleczenie?), świeżą bliznę długości ośmiu centymetrów na lewym policzku (samookaleczenie?), dwa złamane zęby trzonowe, siedem nie leczonych ubytków w zębach, skrzywienie przegrody nosowej w wyniku urazu. W

raporcie jest także mowa o niedożywieniu, odwodnieniu, zakażeniu różnymi pasożytami. Zdjęcie radiologiczne świadczy, że płuca są zdrowe. Badanie krwi ujawnia obecność alkoholu i heroiny. Moja matka ważyła wtedy 46 kilo przy wzroście 1,72 metra.

\* \* \*

Było ich czworo, wisały wczepione w sutki kocicy. Cztery puchowe kulki w kolorowe pręgi, fiołkowe, żółte, różowe i błękitne. Pasza spoglądał na nie, dostojnie siedząc obok bez ruchu. Rzekłbyś, sfinks koloru ognia. „Możesz być z siebie dumny, moje śliczno - ści. Dobrze się spisałeś”.

Postanowiłam, że nic nie powiem Fernandowi. Nie mogłam się zdecydować na pozbycie się kotów. Potrzebowałam jeszcze trochę czasu, by dokończyć czytanie akt.

\* \* \*

Objawy głodu narkotykowego przyszły szybko: poty, dreszcze, bóleści, biegunka, torsje... Wszystko opisano w aktach. Przypięli ją pasami do łóżka i zostawili wrzeszczącą na trzy dni. Później więcej nie usłyszano jej głosu. W aktach widnieje adnotacja: „Koniec detoksykacji” z datą 20 listopada 2095 roku. I dopisek lekarza: „Stan zadowolający”.

Odmawiała jedzenia, zrzucała talerz i wypluwała pożywienie, które pakowano jej do ust. Znowu ją przywiązali do łóżka, założyli jej sondę gastryczną, w zgięciu łokcia podłączyli kroplówkę z glukozą. Dziwnie pomyśleć, że w tym samym czasie ze mną robiono dokładnie to samo w Centrum. Jakby między moją matką a mną istniała jakaś tajemnicza więź cierpienia, której nie zerwało rozdzielanie.

Kiedy przyszli ją przesłuchać, milczała. W raporcie stwierdzono: „Odmawia współpracy”. Rzeczywiście odmawiała czy po prostu nie była w stanie mówić? Faszzerowano ją środkami uspokajającymi i antydepresantami, żeby zmniejszyć jej cierpienie - a przy okazji żeby ją utemperować. Czy po czymś takim mogła mieć jeszcze siłę i jasność umysłu?

Proces mojej matki zaczął się 10 grudnia, niecały miesiąc po aresztowaniu. Prokuratura dysponowała dziesiątkami świadków: sąsiadów, byłych pracodawców, urzędników służb socjalnych. obrońca był z urzędu. Nie zadał sobie trudu, by przeczytać akta. Gdyby nawet chciał, nie miałby na to czasu.

W ciągu całego procesu mama nie odezwała się słowem. Nie reagowała, gdy przywoływano fakty, wydawało się, że nie poznaje żadnego z wezwanych świadków. Nie okazała ani śladu skruchy. To jasne, że myślami była gdzie indziej, w innym świecie, w którym, mam nadzieję, nie cierpiała.

Wyrok ogłoszono 13 grudnia: szesnaście lat więzienia, pozbawienie praw rodzicielskich. Tak czy owak to było z góry przesądzone. Tego samego dnia mamę

przewieziono do zakładu karnego w Chauvigny, który niedawno otwarto. Tydzień później, 20 grudnia, Zgromadzenie Narodowe uchwaliło Ustawę o nadzorze i ochronie stosunkiem 539 do 37 głosów przy 66 wstrzymujących się. Pięć dni później świętowano Boże Narodzenie.

\* \* \*

W końcu wyjawiałam Fernandowi, że kocięta przyszły na świat. Gdy uzmysłowił sobie, że stało się to już przed dwoma tygodniami, skrzywił się paskudnie. To jednak było niczym w porównaniu z jego miną, kiedy zobaczył kocięta: w ciągu tych dwóch tygodni kolory na futerkach stały się jeszcze intensywniejsze, przecinały je płowe pręgi odziedziczone po matce.

- Ależ... ależ to niemożliwe!
- Obawiam się, że raczej tak.
- Niemożliwe - powtórzył.
- Trzeba się pogodzić z faktami.
- Przecież tęczowe abisyńczyki są nieplodne. To udowodnione naukowo!
- Życie jest pełne tajemnic - rzekłam z uśmiechem.
- Proszę?
- Nic, nic.

Chwilę trwało, zanim się otrząsnął ze zdziwienia. Stał wpatrzony w kocięta, które bawiły się przy nas. Czasem któryś zwierzak wspinał mu się na but, a Fernand ani drgnął, jakby wciąż nie dowierzał własnym oczom.

Nagle ocknął się z oniemienia. Z rozpaczą na twarzy potrząsnął nogą, by zrzucić kulkę niebieskiego futerka uczeploną dołu jego nogawki.

- Paskudztwo!

Spojrzałam na niego z wyrzutem.

- Och, nie próbuj mnie zmiękczać, to na nic! Nawet jeśli te zwierzaki są potomstwem Paszy, niczego to nie zmienia: to nieplanowane bękarty. Nie mają co szukać u ciebie. Masz zaraz wezwać służby sanitarne, żeby zabrały całe towarzystwo!

- Fernand, rozumiem twoje stanowisko. Przemawia przez ciebie rozsądek. Ale tak bym chciała jeszcze trochę je zatrzymać!

- Chyba żartujesz!

- Nie, wcale nie żartuję. - I nie dopuszczając go do głosu, ciągnęłam: - Bardzo bym chciała, żeby jeszcze troszkę ze mną zostały. Wiesz, to dla mnie bardzo trudne. Przywiązałam się do tych zwierzaków, a... tyle rozstań już przeżyłam.

Zmrużył oczy.

- Nie próbuj grać na moich uczuciach!

Skromnie spuściłam oczy.

- Cholerna z ciebie manipulatorka. Uśmiechnęłam się.

- Daję ci tydzień - burknął. - I ani dnia dłużej. Jeśli po tym terminie nie zgłosisz kotów, ja to zrobię. A jeśli wcześniej wykryją je u ciebie, uprzedzam, że będziesz musiała poradzić sobie sama.

- Tydzień... Tydzień wystarczy. Dzięki, Fernand.

Podjęłam czytanie akt jeszcze tego wieczoru i przez siedem dni prawie nie spałam, w ogóle rzadko opuszczałam garderobę. Chciałam skończyć, zanim przyjdzie pora rozstania z kotami. Słyszałam małe miauczące w salonie, mruczenie ich matki i czasami szelest ocierania się o drzwi - to Pasza dawał znać, że jest. Dobrze było mieć je w pobliżu. Nie wiem, czy bez nich bym to zniosła.

\*\* \*

Moja mama była wzorową więźniarką: milczącą i posłuszną, nie mającą żadnych żądań ani wymagań, jedzącą, co jej dawano, przesypiającą większość doby. Bo i cóż innego mogła robić taka nafaszerowana prochami? Gdybyś wiedział, Milo, jakie świństwa w nią pchali! I to z czasem coraz więcej. Wszystko jest dzień po dniu zapisane w książeczce więziennej: dawkowanie, zalecenia... Czasem dawali jej prochy na zmianę ze stymulantami, żeby ją zmusić do wyjścia z łóżka, poruszania się.

Zaczęła potwornie tyć. W listopadzie 2098 roku ważyła 96 kilo, pięćdziesiąt więcej niż zaraz po aresztowaniu trzy lata wcześniej. Nie sądzę, żeby cokolwiek próbowano zrobić, aby to zahamować. W tym celu trzeba by przerwać podawanie jej psychotropów. Nikomu nie chciało się w to bawić.

Problemy kardiologiczne zaczęły się w roku 2099 - arytmia i nadciśnienie tętnicze. Zaczęli jej podawać Rythmodiol i Cardiolan. Nadal przybierała na wadze. W aktach widnieją wpisy o kilku zatorach: w grudniu 2099, maju 2100, styczniu 2101. I nota ze stycznia 2102 roku o lekkim wylewie krwi do mózgu, którego skutków nie dało się jednoznacznie oszacować „ze względu na wcześniejsze zaburzenia u pacjentki”.

Moja matka umarła we śnie 22 marca 2102 roku. Sekcja zwłok przeprowadzona 23 marca wykazała zatrzymanie akcji serca. Raport lekarza sądowego precyzuje: serce 376 g, płuco prawe (nieznaczny obrzęk) 465 g, płuco lewe (nieznaczny obrzęk) 420 g, wątroba 1890 g, śledziona 190 g, nerki 350 g każda, mózg 1440 g. Dziwne, że zainteresowali się ciężarem organów wewnętrznych. Kiedy żyła, nikt nigdy nie próbował sprawdzić, jakie ciężkie ma serce.

Ostatnim dokumentem w aktach mojej matki jest zaświadczenie o pochowaniu 24 marca 2102 roku na cmentarzu przy więzieniu w Chauvigny: alejka 12, kwatery 6820 między punktami orientacyjnymi 57 i 58. Miała niecałe trzydzieści trzy lata i ważyła 124,6 kilograma. W więzieniu spędziła sześć lat, trzy miesiące i dziewięć dni.

Przez te wszystkie lata nie wypowiedziała ani słowa, nawet mojego imienia. Nigdy go nie wymówiła. Nigdy się nie domagała widzenia ze mną. Czy w ogóle pamiętała, że ma córkę?

\* \* \*

Kiedy wyszłam z garderoby, ledwie się trzymałam na nogach. Udałam się do kuchni i otworzyłam sobie puszkę karmy - ostatnią - którą zjadłam palcami, tyłem do kamery. Później weszłam pod prysznic. Długo pod nim stałam, niestety, w ten sposób nie da się przegonić smutku.

Ubierałam się, gdy Pasza zaczął mi się ocierać o nogi. „Kiciu... - Przykucnęłam przed nim. - Kiciu, posłuchaj”. Pomyślałam, że pewności nie mam, ale trzeba spróbować, trzeba powiedzieć mu to, patrząc w oczy. Może zrozumie. „Muszę zgłosić, że wróciłeś. Ale muszę też zgłosić twoją dziewczynę i malutkie. Nie mam wyboru, naprawdę nie mam. Jak się dowiedzą, zabiorą i mamę, i kociaki, rozumiesz?” Nie zareagował. „Och, Pasza, gdybyś wiedział, jak mi ciężko!” Ledwie drgnął mu nosek. Westchnęłam. „Na razie, Pasza”. Przed samym wyjściem z domu otworzyłam drzwi na balkon.

Służby sanitarne przyjęły moje zgłoszenie. Powiedzieli mi, że pod wieczór przyjadą, by zabrać kocicę z małymi. Nie odważyłam się zapytać, co z nimi zrobią.

Później wyszłam pochodzić. Kilka godzin błąkałam się ulicami. Nie miałam odwagi wrócić do domu. Kiedy w końcu zdecydowałam się na to, zastałam mieszkanie puste. Po kotach nie było ani śladu. Wiatr zawiewał przez uchylone drzwi balkonowe. Za nimi posadzka usiana była kolorową sierścią. Pozbierałam ją pieczołowicie i długo trzymałam w ręce, spoglądając na miasto. Potem wyrzuciłam ją do spalarki śmieci. I rozplakałam się. Ze smutku, ale także z radości. Wiedziałam, że Pasza nie wróci.

## *Epilog*

Mija pięć miesięcy, odkąd skończyłam czytać akta, półtora roku od twojego aresztowania. Wciąż nie zostałeś oficjalnie oskarżony. I nie mam żadnych wieści o tobie.

Fernand stara się jak może dodawać mi otuchy: „Nie ma oskarżenia, to dobry znak. Bo oznacza, że nic na niego nie mają”. Zapewnia, że w tych okolicznościach nie będą cię mogli w nieskończoność trzymać - mimo wszystko żyjemy przecież w państwie prawa. Mówi, żeby się uzbroić w cierpliwość. Ale widzę, że z ministerstwa nie potrafi niczego wyciągnąć.

Stwarzam więc tymczasem pozory: czytam, biegam, chodzę po mieście. Moje paprocie rosną na potęgę. Na Polach Elizejskich znów otworzyli sady. Zboża urosły wysokie. To pora czereśni. Kupiłam sobie dwie sukienki, niebieską i czerwoną. Nie sądzę, żebym się odważyła je nosić. We wrześniu na nowo podejmę naukę, tak będzie lepiej. Jeszcze nie wiem, jaki kierunek wybiorę. Mam trochę czasu, aby zdecydować.

Komisja postanowiła zakończyć nadzór psychiatryczny. Wygląda na to, że ozdrowiałam. Pewnie powinnam się cieszyć, lecz bez ciebie to bardzo trudne. Czasami czuję się jak martwa.

Z początkiem wiosny znowu pojechałam do Chauvigny. Fernandowi nic o tym nie powiedziałam - moja matka, Zona to drażliwe tematy. Wsiadłam do pociągu o świcie. Było szaro. Przez to widoki po obu stronach torów wydawały się jeszcze bardziej posępne. Nie odwracałam wzroku. To moja historia. Muszę przywyknąć.

Żwawym krokiem szłam z dworca do więzienia. W ogóle się nie bałam. Wiedziałam, dokąd idę i co chcę zrobić. Strażnik, który się mną zajął, był nowy i dziarski. Szedł tak szybko, że z trudem za nim nadążałam alejką prowadzącą na cmentarz. Otworzył mi bramę, po czym takim samym mechanicznym głosem jak jego poprzednik wygłosił identyczną rytualną formułkę: „Mojra Steiner, alejka 12, kwatera 6820 między punktami orientacyjnymi 57 i 58”. Tym razem wszystko było klarowne, jasne, zrozumiałe. Nie zatrzymywałam strażnika, odszedł bez przeszkód, a wiatr nadal dmuchał między nagrobkami.

Ostateczne pożegnanie na pewno właśnie to oznacza: człowiek się godzi z tym, że świat kręci się dalej niezmienny, nawet jeżeli odeszła istota bezwzględnie do tego potrzebna. Że linie proste nadal są proste, a kolory intensywne. Że życie musi toczyć się dalej.

Znalazłszy właściwą kwaterę, usiadłam na płycie nagrobnej. I płasko położyłam na niej dłoń. W geście prostej pieśczoły mówiącym, że tu jestem. W cemencie powstały głębokie szczeliny. Nazwisko zniknęło pod porostami i mchem, które pokryły nagrobek. Nie

sądziłam, że jej grób będzie aż tak zapuszczony.

Zdrapałam porosty zasłaniające inskrypcję, pozrywałam jeden po drugim kłaczki mchu. Po czym wolniutko powiodłam palcem po literach i cyfrach wyciśniętych w cemencie: MOJRA STEINER (2069-2102). I takie krótkie wydało mi się to życie pod palcami, takie krótkie, że zmusiłam się, by zanadto o tym nie myśleć.

Długo czekałam; nie chciałam niczego przyspieszać. Słowa przyszły same, kiedy były na to gotowe: „Wiem, mamó. Wiem, co przeżyłaś. Jaki miałaś los. Zrozumiałam za nas obie. Zrozumiałam, co najważniejsze”. Potem dodałam: „Wydobyłam się z chaosu. Chcę, byś wiedziała, że nie żywię do ciebie żalu”. Powiedziałam to na głos, aby zyskać pewność, że naprawdę tak myślę.

Miałam świadomość, że nie słyszy mnie: mówiłam do zmarłej, do rozłożonych już zwłok otyłej kobiety nafaszerowanej prochami. Jednakże nie tak chciałam widzieć rzeczy. Kiedy człowiek za wszelką cenę szuka odrobiny ukojenia, woli sobie wyobrazić matkę śpiącą tam, pod spodem, z twarzą rozluźnioną, pozbawioną szram, z uśmiechem na ustach jak w najlepszych czasach. Inaczej przyszloby wpaść w czarną rozpacz.

Przyniosłam ze sobą płytkę. Wyjęłam ją z kieszeni i przez chwilę trzymałam w zaciśniętej ręce. Jeszcze pomyślałam bez pośpiechu o tym, co zawiera, o raportach, zeznaniach, sprawozdaniach, notatkach.

O wszystkich ludziach, którzy byli w to wmieszani - sędziach, lekarzach, psychologach, bankierach i ekspertach wszelkiej maści, urzędnikach i zwykłych uczciwych obywatelach, którzy starali się wypełnić swój obowiązek, zeznając przed sądem. O całej energii wydatkowanej na zebranie tych materiałów. I o dbałości, jaką trzeba się było wykazać, aby mieć baczenie na każdy krok mojej matki, póki nie sięgnęła dna. Wszystkim tym ludziom nie przyszło nawet do głowy, że w swej bezrozumnej gorliwości produkowali dla mnie istny skarb: całe połączenie utraconej pamięci. Niepodważalny dowód, że mama kochała mnie.

Przyznaję, że nie zawsze była wzorową matką, ale czy ktokolwiek jej pomógł - to znaczy naprawdę pomógł - kiedy walczyła z życiem? Czy łatwo jest kochać jak należy dziecko niechciane, zwłaszcza jeśli jego przyjście na świat burzy wszystkie plany i nagle tak bardzo komplikuje życie?

Zastanawiam się czasami, jak potoczyłyby się jej losy, gdyby mnie nie miała, gdyby implant wszczepiony pod skórę nie miał defektu. Czy nadal by miała gładką, świeżą twarz z moich dziecięcych wspomnień? Czy zrealizowałaby swoje marzenia: pozbyłaby się akcentu mieszkańców Zony i „nałuczyła się różnych żeczy”, zobaczyła Włochy i Amerykę?

Wspominam piosenkę, którą mi śpiewała jako kołysankę. „Summertime”. Niewątpliwie takiego życia pragnęła dla mnie: ciepła lata, bawełnianej miękkości. Bogatego taty. Eleganckiej mamy. I żadnych krzyków, żadnego płaczu w pięknym świetle kończącego się dnia. Powtarzała mi: „Uniesiesz się, uniesiesz do nieba”. O tym dla mnie marzyła, dla mnie, swojej córki, chociaż moje przyjście na świat podcięło jej skrzydła. Na koniec mówiła: „Nie stanie ci się krzywda, mamusia i tatuś są tu, przy tobie”. Tylko w połowie było to prawdą.

Nie twierdzę, że nie była niczemu winna; mówię tylko, że robiła, co mogła. I jedynie to się liczy.

Płytką parzyła mnie w palce. Powoli wsunęłam ją w jedną ze szczelin w nagrobku, głęboką i niewidoczną, z wierzchu przysypałam kłaczkami mchu. Posiedziałam jeszcze kilka minut na brzegu płyty, po czym szepnęłam: „Do widzenia, mamó”. I odeszłam.

W drodze powrotnej nie odrywałam spojrzenia od widoku wzdłuż torów. Od ponurych, wymarłych okolic, takich samych jak wcześniej. Mimo to, pomyślałam, przyjadę tu znowu. Chcę wrócić. Może ze względu na te dzieci, które grały w piłkę na ugorach. A może po prostu dlatego, że przywykłam.

Chodzą plotki, że coraz więcej ludzi opuszcza miasto i przenosi się do Zony. Władze najpierw stanowczo temu zaprzeczały, później jednak potwierdziły fakty, aczkolwiek minimalizując je: dotyczyło to raptem garstki osób z marginesu, już dawno notowanych działaczy ekstremistycznych. Ale to nieprawda. Grzebiąc w sieci, udaje się natrafić na świadectwa, zanim zostaną usunięte. Ludzie wyjaśniają, dlaczego zdecydowali się odejść. To żadni nawiedzeni ani buntownicy, co to, to nie, tylko zwykli ludzie jak ty czy ja - zwłaszcza jak ty. Ludzie normalni.

Jeszcze kilka miesięcy temu za absurd uznałabym chęć opuszczenia miasta, rezygnacji z bezpieczeństwa na rzecz mieszkania *extra muros*. Teraz zaczynam rozumieć. Ja też chciałabym czasami, żeby to się skończyło: analiza moczu co rano po przebudzeniu, skanowanie tęczówki, ilekroć wchodzę do budynku publicznego, kontrola zakupów, jadłospis ustalany przez dietetyków, wezwanie na pierwszy zabieg ostrzykiwania twarzy, nadajnik wszczepiony za mostkiem, do czego bardzo mnie namawia Fernand, i ta wiecznie włączona kamera za dużym lustrem.

Wcześniej uważałam, że tak właśnie ma być, że nie mam tu nic do gadania. Teraz jednak oczy mi się otworzyły. Pamiętam gazety, które dostawałam od ciebie do czytania w Wielkiej Bibliotece: granica, rozruchy, wizy, strefy *intra* i *extra muros*. Cyfryzacja, cięcia w artykułach, konfiskata dokumentów papierowych. Zaczynam rozumieć, jak to funkcjonuje,



chwytam, co oznacza. Wiesz co, Milo? Nie mam pojęcia, czy jesteś winny. Ale cokolwiek zrobiłeś, na pewno miałeś słuszość.

Bywa, że wspominam portrety w twoim gabinecie, myślę o tym, co mi opowiadałeś na temat Zony, o bibliotekach, w których ludzie wciąż mogą czytać normalnie książki, i mówię sobie, że może dobrze byłoby tam żyć mimo brudu i zagrożeń. Tak sobie mówię. Niczego nie jestem pewna.

Kilka dni temu dostałam z sieci reklamę nowego przedstawienia doktora Vesaliusa - pamiętasz doktora Vesaliusa, „przyjaciela monstrów i odrzuconych”. Jego cyrk ma w tej chwili tournée w Zonie. „Triumfalne tournée”, mówi reklama. Gwoździem programu jest cudowny sześciopiółatek. Urodził się bez rąk, lecz wyrobił sobie taką zręczność palców u stóp, że bez problemu wykonuje wszystkie czynności życia codziennego: sam się ubiera na arenie, potem siada do stołu, swobodnie posługuje się nożem i widelcem, pije z kryształowej szklanki, nie rozlewając ani kropli. Strzela z łuku, ślicznie rysuje i tak gra na skrzypcach, aż wyciska łzy. Dziecko sześciopiółetnie. Mały muzyk. Oczywiście natychmiast przyszło mi na myśl, że to mógłby być syn Lucienne.

Długo uważałam, że świat mnie nie interesuje. Znałam tylko jeden powód, aby żyć: odnalezienie matki i zrozumienie, co mi się przydarzyło. Dziś wiem, że się myliłam, że to o wiele bardziej skomplikowane. Można się bardzo nawet starać, a i tak człowiek zawsze się angażuje bardziej, niżby chciał. Spotkałam różnych ludzi i pokochałam ich. Pana Kauffmanna, Lucienne, Justiniena. Jest Fernand, zawsze obecny, zawsze niezmienny. Gdzieś tam jest Pasza z damą swojego serca i przychówkiem. Jest Zona, w której chciałabym częściej bywać. Jest to dziecko, które rysuje i tak smutno gra na skrzypcach. Jesteś ty.

Niedawno przydarzyło mi się coś nieprawdopodobnego w wieczór seansu z Sensorem. Przyszło nagle, bez ostrzeżenia. Przeszyło mi wnętrzości. Potężne przeżycie, jakiego jeszcze nie zaznałam. Po raz pierwszy miałam orgazm. Może nie powinnam ci tego mówić, zrobię to jednak: myślałam o tobie, Milo, kiedy to się stało. To znaczy o nas. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

W ostatnich miesiącach często się zastanawiałam, czy powinnam kontynuować, czy też dać sobie spokój. Dziś nie zadaję już sobie tego pytania. Mówię sobie, że piękno i szczęście istnieją. Rzadko się to zdarza, niemniej jest możliwe i tej właśnie myśli chcę się trzymać. Chcę żyć. Czuć. Być dotykana. Nie wiem, czy mi się to uda, lecz spróbuję, ponieważ naprawdę uważam, że warto. Tak, Milo, chcę żyć. Ale nie bez ciebie.

Po powrocie z odwiedzin na grobie matki złamałam pieczęcie na paczce papieru i butelce atramentu, które ongiś podarował mi pan Kauffmann. Wzięłam leżące na komodzie

piękne srebrne pióro. I znów zamknęłam się w garderobie. Wiedziałam, że bardzo ryzykuję, rozpakowując te luźne kartki, lecz nie bałam się. Tak czy owak musiałam to zrobić.

Nic się nie stało. Nie przywołano mnie do porządku, nie aresztowano. Tak właśnie myślałam: mają za dużo roboty, nie są w stanie pilnować wszystkich. Nie będę przez to płakała.

Noc po nocy zapisywałam kartki przy świetle mojego grammabooka. Atrament pachniał fiołkami; papier był gładki pod krawędzią dłoni. Słowa przychodziły z łatwością - tak wiele chciałam ci powiedzieć po tylu latach milczenia.

Przed wszystkim jednak uważałam, że moje słowa mają pewną moc: chronią cię. Dopóki ktoś gdzieś do ciebie mówi, pisze dla ciebie, nie możesz umrzeć. Jesteś na tym świecie; należysz do niego. Byłam o tym przekonana, Milo, i dlatego na szalę rzuciłam wszystko: chciałam ci opowiedzieć swoją historię, zwłaszcza jednak utrzymać cię przy życiu.

Już skończyłam. W butelce nie ma atramentu, wszystkie kartki są zapisane. Ułożyłam je w równy stos, po czym schowałam w pudełku po butach. Są tutaj, ukryte w głębi garderoby. Czekają na ciebie, lecz nie ma cię tutaj.

Stoję przy oknie. Patrzę na miasto w świetle zachodzącego słońca, ogromnego i czerwonego. Można by powiedzieć, że to wielkie serce, które krwawi nad dachami i podpala pola. Niebawem schowa się za Wielkim Łukiem i powoli cienie zawładną przestrzenią.

Kiedy zapadnie noc, pójdę się położyć w garderobie, gdzie nikt nie może mnie zobaczyć ani dosięgnąć. Czubkami palców zasunę drzwi. Będę spokojna. Nie będę się bała. Skrzyżuję ręce na piersi, przywołam uśmiech na usta niczym kamienny posąg. I niczym kamienny posąg zamknę oczy. I będę na ciebie czekała.